

**jerzy
parfiniewicz**



**zbrodnia
rodzi
zbrodnię**

**Jerzy
Parfiniewicz**

**zbrodnia
rodzi
zbrodnię**

**WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY
NARODOWEJ**

Okładkę projektowała
ELIZA MAZURKIEWICZ
Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny

ZOFIA SZYMAŃSKA

Pięć tysięcy osiemset pięćdziesiąta

publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1976 r.

Wydanie I

Nakład 120.000+350 egz.

Objętość 7,41 ark, wyd., 6,25 ark, druk.

Papier druk, sat. VII kl. 65 g, rola 63 cm

z Głuchołaskich Zakładów Papierniczych.

Oddano do składu 12.IV.76 r.

Druk ukończono we wrześniu

w Wojskowych Zakładach Graficznych

w Warszawie.

Zam, nr 359 z dnia 13.04.1976 r.

Cena zł 15.-

J-117

Rozdział 1

Na tle gęstego lasu ukazała się czerwona plama Fiata 125 p. Przed siedzącym za kierownicą mężczyzną rozciągnęła się dolina pokryta soczystą zielenią, przecięta jasnym, łagodnym łukiem szosy, która ginęła między pierwszymi domkami jakiegoś miasteczka. Na lewo od szosy tuż przy pierwszych zabudowaniach błyszczało srebrno-granatową powierzchnią jezioro. Dolinę okalała ściana gęstego lasu. Z błękitu nieba, przesłanianego od czasu do czasu delikatną bielą obłoków, spływały na ziemię promienie słońca. Rozedrgane, falujące od gorąca powietrze otulało lekką mgłą ten uroczy pejzaż. Dokoła panowała cisza. Rozleniwione upałem zwierzęta i ptaki skryły się w gęstwinie lasu.

Mężczyzna nie zwracał uwagi na otoczenie. Był zamyślny. Prowadził wóz jedną ręką. Drugą oparł o uchylone okno samochodu. Wpadający do wnętrza wozu wiatr tylko w nieznacznym stopniu chłodził rozgrzane ciało. Na widok mijanej tablicy z napisem „Grzybień” kierowca westchnął z ulgą. Już za chwilę wyjdzie z tego rozgrzanego pudła, splucze pot

zimną wodą, napije się czegoś orzeźwiającego. Wyjechał z Warszawy o siódmej, teraz była jedenasta. Chciał dotrzeć do celu przed południem, aby uniknąć tego piekielnego upału, ale nie udało się. Trudno.

Kapitan Antoni Osial pracował w organach milicji ponad pięć lat. Początkowo w Komendzie Stołecznej MO, następnie, od dwu lat, w Komendzie Głównej. Przez ten czas przyzwyczaił się do nerwowego, nie uregulowanego trybu pracy – przestępcy nie przestrzegali godzin urzędowania. Pogodził się z tym, wie, że na to nie ma żadnej rady. Ale do niespodziewanych wyjazdów w teren, o których dowiadywał się zawsze w ostatniej chwili, nie przyzwyczaił się chyba nigdy. Dziś było tak samo, stąd jego fatalne samopoczucie.

Ale jest jeszcze coś, co nie daje mu spokoju. Kilka dni temu, na akademii z okazji Święta Lipcowego, otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Był w Biurze Dochodzeniowo-Śledczym Komendy Głównej najmłodszym posiadaczem tego odznaczenia. Mimo swych dwudziestu siedmiu lat i niewielkiego stażu pracy, miał za sobą kilka szybko i dokładnie przeprowadzonych dochodzeń. Te sukcesy nie dały mu jednak pełnej satysfakcji. Były to zwykłe włamania i niewielkie kradzieże. A on marzył o sprawie na miarę komisarza Maigret... Tymczasem po odznaczeniu, kiedy spodziewał się dużej, trudnej sprawy, jedzie jako oficer nadzoru do zwykłego pożaru! Żeby jeszcze podpalenia! Ale pożaru... To już nie pech, to zwykła złośliwość przełożonego. Chwali, poklepuje po ramieniu... I wydaje

polecenie, które mógłby wykonać zwykły nowicjusz.

Drażni go panujący upał, drażni go spokój i cisza. Chciałby jak najszybciej skończyć tę sprawę i wracać do. Warszawy...

Samochód stoczył się z pochyłości szosy i wjechał między pierwsze domki Grzybienia. Miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego.

To zrozumiałe! – pomyślał kapitan. Pożar kościoła w takiej dziurze to sensacja. Co oni tu mają za atrakcje? Trzy razy w tygodniu kino... Telewizja, powtarzająca do znudzenia te same filmy. A pożar? Zawsze jest na co popatrzeć...

Jeszcze kilka łagodnych zakrętów między czystymi willami, potem przejazd aleją przez osiedle trzypiętrowych bloków i Fiat kapitana Osiala wjechał na rynek.

Widocznie wojna obeszła się okrutnie z tym miastem. Dookoła rynku same nowe domy. Zaledwie trzy kamieniczki z osiemnastego wieku przytulały się bojaźliwie do ścian swego młodszego rodzeństwa. Po lewej stronie rynku, na niewielkim wzniesieniu, stał kościół. Otoczony niskim murem z czerwonej cegły, tonął w morzu zieleni. Mimo to kapitan mógł wyraźnie dostrzec zniszczenia, dokonane przez pożar. Spalony dach nad głównym ołtarzem straszyl osmalonymi krokwiami. Popękane witraże okopcone czarnymi smugami sadzy. Jeden róg budowli zwalony. Widocznie stary mur nie wytrzymał naporu walącego się dachu. Nad wszystkim unosiła się jeszcze lekka mgiełka szaro-niebieskich dymów. Czuć było ostry zapach spalenizny. Niższe partie kościoła zasłaniał kapitanowi

gęsty tłum ludzi. Z boku stały dwa wozy strażackie. Strażacy powoli znosili do nich niepotrzebny już sprzęt.

Postanowił podjechać do kościoła. Komendant powiatowy powinien być na miejscu pożaru.

Okrążył powoli klomb z pomnikiem ku czci żołnierzy polskich i radzieckich poległych w walce z hitlerowcami, zatrzymał się przed kościołem, zamknął samochód i wolno ruszył w kierunku kłębiącego się tłumu. Coraz większą niechęć odczuwał do tej sprawy.

Przedarł się przez zwartą grupę gapiów. Mimo widocznych zniszczeń musiał przyznać, że kościół sprawiał imponujące wrażenie.

Do wrót kościelnych wiodło osiem stopni o szerokości równej fasadzie kościoła. W cieniu kolumnady frontonu troje potężnych, dwuskrzydłowych drzwi z ciemnobrązowego drewna. Kolumny łączyło potrójne zwieńczenie z pięknym, bogato rzeźbionym tympanonem. Po bokach budowli wznosiły się dwie wieże, kryte półkulistymi hełmami. Wszystko połączone w niezwykle harmonijną całość.

Kapitan podszedł bliżej. Przez otwarte na oścież odrzwia w miejscu głównego ołtarza zobaczył niesymetryczną kratownicę belek stropowych, Posadzka pokryta była płatami blach skręconych w przedziwne kształty. Już chciał podejść do jednego z milicjantów, czyniącego bezowocne wysiłki, by namówić tłum do rozejścia się, gdy po prawej stronie, w głębi, zobaczył dwu oficerów milicji. Szli w towarzystwie księdza do bielejącej wśród drzew plebanii. Ruszył w kierunku

dyskutującej zawzięcie trójki.

– Towarzyszu majorze! – zwrócił się do starszego stopniem oficera. – Melduje się kapitan Antoni Osiał z Komendy Głównej, skierowany do sprawy jako oficer nadzoru.

– A! To świetnie, kapitanie! – Twarz majora ożywił szeroki uśmiech. – Bardzo się cieszę! Jestem tutejszym komendantem. Major Górski... – Uścisnęli sobie ręce. – A to porucznik Sułkowski, zastępca naczelnika wojewódzkiego laboratorium kryminalistyki... i nasz proboszcz, ksiądz Morawski... – Dokonawszy prezentacji major Górski ciągnął dalej: – Muszę przyznać, że nie spodziewałem się przedstawiciela z Warszawy tak prędko. Liczyłem się z przyjazdem dopiero wieczorem, Ale im wcześniej, tym lepiej. Nie chciałbym być w tej sprawie sam. W czasie pożaru spłonął cenny obraz olejny z piętnastego wieku... Zgodnie z instrukcją dotyczącą ochrony dzieł sztuki zawiadomiłem niezwłocznie Komendę Główną, żeby przysłali mi inspektora nadzorującego... Myślałem tylko, że będzie to ktoś starszy...

– Bardzo przepraszam, że was zawiodłem. – W głosie kapitana Osiała wyczuwało się lekką ironię. – Widocznie w Warszawie uważali, że sprawa nie jest aż tak poważna. A za parawan ja też wystarczę.

– Och, proszę się nie gniewać. Nie miałem nic złego na myśli. Nie należę do ludzi zasłaniających się w razie niepowodzeń decyzjami innych osób. Nie po to prosiłem o inspektora nadzorującego, by w razie niepowodzenia umyć ręce.

Nie lubię zwalać winy na bliźnich.

– Przepraszam, majorze! Może trochę za ostro się wyraziłem. Proszę mnie zrozumieć: ten upał, nagły wyjazd... Jestem nieco rozdrażniony.

– Nic nie szkodzi. Pozwólcie na plebanię. Ksiądz proboszcz nie będzie miał nic przeciwko temu, że się umyjecie i trochę odpoczniecie. Poza tym na plebanii panuje przyjemny chłód!

– Proszę, dobrodzieju! – zagrzmał tubalnie ksiądz Morawski. – Czym chata bogata! Umyjemy, nakarmimy! Sprawa nie ucieknie! Zresztą, co tu da pośpiech. Obraz i tak przepadł.

Ogarnął ich chłód plebanii. Ksiądz wprowadził gości do czystego, ładnie umeblowanego pokoju. Osiałowi wskazał łazienkę.

Kiedy kapitan umyty i odświeżony znalazł się ponownie w pokoju, na stole, przy którym siedzieli obaj oficerowie i ksiądz, stały już szklanki, a w bogato rzeźbionym dzbanie perlił się orzeźwiający napój.

Z rozkoszą pił zimny, lekko kwaśny płyn. Ogarniało go błogie lenistwo. Wzdrygnął się na myśl, że zaraz trzeba będzie opuścić ten chłodny pokój i przystąpić do wykonywania czynności służbowych. Rzeczywiście. Minęło kilka minut i major Górski zaproponował obejrzenie miejsca pożaru.

– Coś mi się zdaje, kolego kapitanie, że nie bardzo się tym pożarem zajmujecie – zaczął niepewnie. – A dla mnie to ogromny wstrząs... Nie ustrześliśmy wartościowej rzeczy przed zniszczeniem, – Kapitan milczał. Nie miał najmniejszej

ochoty na rozmowę, a poza tym nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. – Kościół wyszedł z wojny obronną ręką – ciągnął dalej major. – Mimo kilku poważnych uszkodzeń został szybko odbudowany. Ludzie, jak chcą, to potrafią być szczerzy i bezinteresowni. Ale chodźmy już. Szkoda czasu. Proszę spojrzeć na tę fasadę – zaczął, kiedy znaleźli się przed frontem kościoła. – Jej dwie kondygnacje wzajemnie się uzupełniają. A te pilastry! One dają smukłość całej budowli. Proszę zwrócić uwagę na okno w górnej części elewacji. To jedyne źródło światła dla przedniej części kościoła...

Kapitan spojrzał w górę, na okno wskazane przez majora.

– Proszę dobrze przyjrzeć się fasadzie. Czy nie jest fascynująca?

Kapitan wpatrywał się uważnie w każdy szczegół fasady.

– Tak z ręką na sercu, to nie widzę nic ciekawego Zresztą, chcę się usprawiedliwić. Nie znam się zupełnie na architekturze.

– Niech kolega spojrzy w górę. Z żadnego miejsca nie widać zwężeń filarów, okien, gzymsów. Mistrz, by zrekomensować niedokładności oka ludzkiego, tak zaprojektował poszczególne elementy, że wydają się idealnie równoległe.

– Skąd to wiecie, towarzyszu majorze?

– Bo to moje hobby. I mój właściwy fach. Skończyłem technikum budowlane. Z oceną bardzo dobrą. Znalazłem dobrze płatną pracę. Ale stosunki były pod psem. Już w pierwszych miesiącach spotkałem się z nadużyciami, klikami.

Wystąpiłem na zebraniu z ostrą krytyką. W końcu musiała wkroczyć milicja. W czasie tej sprawy namówili mnie, żebym przeszedł do nich do pracy. Zainteresowała mnie ta propozycja. W tym roku właśnie obchodziłem dwudziestą rocznicę służby w MO. Ale ciągoty do budownictwa pozostały.

Major Górski machnął ręką i wprowadził kapitana do wnętrza kościoła.

– Teraz wygląda wszystko okropnie. Ale przed pożarem było tu pięknie – zamilkł na krótką chwilę. – Najbardziej ucierpiało prezbiterium. Tu znajdowało się źródło pożaru. Jak przypuszczamy, przyczyną było iskrzenie przewodu doprowadzającego światło do lampy palącej się dzień i noc przed obrazem. Instalacja tu stara, jeszcze przedwojenna. Prawdopodobnie najpierw zapaliły się kapy i ozdoby, później obraz. Tu, widzicie, kapitanie, wisi tylko kawałek nadpalonej ramy. Pozostała część spadła na ziemię. Popękały też witraże w przedniej części kościoła. Szkoda! Były bardzo piękne i cenne. Gdyby pożar zauważono wcześniej, zniszczenia byłyby minimalne. Straż nie używała środków chemicznych, by nie uszkodzić polichromii i pozostałych obrazów.

– O której godzinie zauważono pożar?
– Około drugiej nad ranem.
– Czy przesłuchaliście wszystkich, którzy mogliby coś na ten temat powiedzieć?

– Skąd, kapitanie! Widzieliście ten tłum przed kościołem? Każdy z nich ma coś do powiedzenia. Przesłuchaliśmy kilkanaście osób, ale bez rezultatu. Jeśli kolega kapitan sobie

życzy, możemy zacząć jeszcze raz w waszej obecności.

– Dobrze. Chciałbym być przy tym obecny. Ale przesłuchamy tylko tych, którzy naprawdę coś wiedzą. Muszę mieć niezbite dowody i całkowitą pewność, że nie wchodzi w grę podpalenie. Chociaż zgodnie z instrukcją musimy rozważyć dwie możliwości: przypadek i podpalenie. Tak jak przy samobójstwie nie można negocjować morderstwa...

– Zawsze tak robimy, kapitanie. Łatwiej później jedną z wersji odrzucić, niż zaczynać od nowa dochodzenie pod innym kątem.

– Proszę mi powiedzieć, co dotychczas zrobiliście?

– Postępowałem zgodnie z zaleceniami i wytycznymi, Po przyjeździe na miejsce pożaru objąłem kierownictwo nad akcją ratowniczą. Nasi funkcjonariusze zaprowadzili porządek wokół kościoła i zapewnili ochronę mienia – relacjonował major. – Przeprowadziliśmy wstępne rozmowy na temat okoliczności pożaru i jego przyczyn. Spisaliśmy dane personalne świadków. Gdy przybyły grupy operacyjno-dochodzeniowe, wzmocniłem nimi siły wyznaczone do utrzymania porządku. Referenci operacyjno-dochodzeniowi i technicy dochodzeniowi mogli spokojnie rozpocząć pracę.

– Czy w okolicy były jakieś pożary?

– Nie, nie było. Ostatni miał miejsce dwa lata temu. Jeden z gospodarzy pa pijanemu zapalał papierosa i rzucił płonąca zapałkę w drzwiach swojej stodoły.

- Podpaleń nie było żadnych?
- Nie, ani jednego przez cały czas mojej służby.
- Ogień zauważono o drugiej w nocy?
- Wszyscy przesłuchani podali tę godzinę.
- Kto pierwszy zauważył pożar?
- Żona tutejszego organisty.
- Gdzie mieszka?
- Na plebanii.
- Czy mieszka tam tylko ksiądz i organista?
- Nie! Przez cały lipiec są goście. Rodzina organisty z Warszawy. Jego brat z córką. Przyjechali tu na urlop.
- Czy proboszcz ma wrogów? Rozumiecie, chodzi mi o ludzi, którzy z jakichś powodów, prywatnych czy rodzinnych, mogą odczuwać do niego niechęć lub nienawiść.
- Ksiądz Morawski? – major Górski zastanawiał się chwilę. – Nie sądzę. Proboszcz jest tutaj lubiany.
- Nie ma na świecie człowieka, który nie miałby wrogów.
- Może i ma, ale ja o tym nie wiem. Wszyscy go chwalą. Nie pozwolą złego słowa na niego powiedzieć... A z drugiej strony dochodzą mnie często słuchy, że proboszcz laską dość często skórę na plecach garbuje. A rękę ma ciężką...
- Widzicie, towarzyszu majorze! Więc trochę tych wrogów by się znalazło!
- W takim razie musimy zbadać, tak na wszelki wypadek, czy ktoś nie podpalił kościoła przez zemstę.

Rozdział 2

Kapitan Osiał podszedł do stołu. Oparty jedną ręką o blat obserwował z uwagą księdza Morawskiego, który dyskutował o czymś zawzięcie z majorem Górskim. Osiał lustrował powoli każdy szczegół ubioru, zachowania i wyglądu księdza. Ksiądz Morawski był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o dość wydatnie zarysowanym brzuszku. Czarna marynarka z trudnością stawiała opór chcącym się z niej wyrwać okrągłościom. Spod kamizelki widać było skrawek koloratki przysłoniętej przez trzy nakładające się na siebie podbródki. Głowa księdza Morawskiego przypominała gruszkę, której zwężający się ku górze owal pokryty był rzadkimi, siwymi włosami. Grube rysy twarzy i bystre oczy, patrzące bez przerwy na rozmówcę, wyrażały siłę i zdecydowanie.

Kapitan patrzył uważnie, jakby z ruchów księdza i jego wyglądu chciał dowiedzieć się wszystkiego o tym człowieku. Od niego bowiem zamierzał zacząć przesłuchania.

– Towarzyszu majorze! Czy można? – Głos kapitana Osiała nie dopuszczał sprzeciwu. Zagadnięty przerwał rozmowę i spojrzał na kapitana. – Chciałbym zacząć przesłuchiwanie księdza Morawskiego.

– Ach, tak! Proszę bardzo. – Major usiadł obok kapitana. Przez chwilę panowała cisza.

– Proszę księdza. – Kapitan nie spuszczał wzroku z twarzy proboszcza. – Chcielibyśmy przesłuchać księdza w sprawie

pożaru. Prosilibyśmy o możliwie dokładne i wyczerpujące odpowiedzi.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– To dobrze. Kto pierwszy zauważył pożar?

– Organista. Usłyszałem jego krzyk. Z początku nie wiedziałem, o co chodzi. Wskoczyłem z łóżka, narzuciłem na siebie byle co i wybiegłem przed plebanię. Gdy zobaczyłem, że kościół się pali, wróciłem do przedpokoj, by wziąć klucze z wieszaka.

– Która to była godzina?

– Nie myślałem wtedy o patrzeniu na zegar. Ale podczas akcji ratowniczej słyszałem, jak ktoś mówił, że jest dwadzieścia po drugiej. Z tego wnioskuję, dobrodzieju, że obudziłem się parę minut po drugiej. No, może przed drugą.

– Kto biegł z księdzem na ratunek?

Ksiądz Morawski zastanowił się chwilę i zaczął powoli wyliczać:

– Organista, jego brat, bratanica... Poza tym od strony rynku biegli jacyś ludzie. Ale nie widziałem dokładnie ich twarzy. Ktoś dzwonił na alarm.

– Co ksiądz robił na miejscu pożaru?

– Otworzyłem kluczem drzwi od zakrystii i rzuciłem się ratować monstrancję.

– Kiedy nadjechała straż ogniowa?

– Gdy zaczęliśmy ratować główny ołtarz. To było, dobrodzieju, jakieś dwadzieścia minut po alarmie.

– W jakim stanie był ołtarz, gdy ksiądz ratował monstrancję?

- Ledwie zdążyłem ją wyciągnąć z tabernakulum. Cały ołtarz płonął. Nie było już obrazu. Tylko ramy się dopalały. Palily się kapy i boczne zasłony. To była jedna ściana ognia.
- Czy oglądał ksiądz ołtarz po ugaszeniu pożaru?
- Tak. Oglądałem...
- Może ksiądz stwierdzić, czy zginęły jakieś wartościowe rzeczy?
- Tylko obraz spłonął. Być może zginęły jakieś wota. Ale tego nie mogę stwierdzić na pewno.
- Dlaczego?
- Część ich stopiła się. Inne być może leżą jeszcze w popiele.
- Ile ich było, też ksiądz nie wie?
- Nie, dobrodzieju. Nie prowadziłem takiej ewidencji. Kto chciał, mógł ofiarować kościołowi coś cennego. Niektórzy nawet sarni wieszali, bez mojej wiedzy.
- Mówił ksiądz o kluczu. Że wziął go z wieszaka w przedpokoju.
- Tak. Klucze były u mnie.
- Nie miał ksiądz zaufania do organisty?
- Nie! Nie to chciałem powiedzieć! U niego mieszkanie było słabiej zabezpieczone. A klucze są unikalne. Stara, artystyczna robota kowalska.
- Z tego wnioskuję, że tylko ksiądz miał klucze do kościoła?
- Nie, miał je i organista. Były to jednak, dobrodzieju, klucze dorobione. Ot, zwyczajne, standardowe klucze.
- Dawno ksiądz w Grzybieniu?

– Och, dobrodzieju, od czterdziestego czwartego roku. Ja nietutejszy. Ale przez tyle lat wrosłem w tą ziemię. W ogóle to pochodzę z Chodakowa koło Warszawy. W pierwszych latach wojny wywieźli mnie Niemcy do Stutthofu, to znaczy do Sztutowa. Po wyzwoleniu obozu przez Armię Radziecką moją pierwszą myślą był powrót do Warszawy. Idąc na południe napotkałem na mej drodze Grzybień. Mieli akurat kilka pogrzebów. I tak zostałem...

– Czy przed pożarem nic kręcili się w pobliżu jacyś podejrzani ludzie?. Może ktoś obcy interesował się kościołem lub obrazem?

– Nie rozumiem pytania. Dla mnie nie ma terminu „podejrzani ludzie”. Dla mnie wszyscy są jednacy. A czy ktoś obcy interesował się obrazem? Nie było dnia, dobrodzieju, by kościoła nie odwiedzali ludzie obcy. A już w okresie turystycznym przez kościół przeciągały całe wycieczki. To przecież znany w Polsce zabytek.

– Może zauważył ksiądz, że jakaś osoba szczególnie interesowała się obrazem? Może ktoś zaglądał tu kilka razy?

– Za dużo ode mnie wymagacie. Mamy wielu stałych miłośników naszego terenu. Przyjeżdżają tu rokrocznie. A inni? Musiałbym bez przerwy obserwować ludzi. To niemożliwe...

– A przewodnicy?

– Oni? – zachnął się ksiądz Morawski – znam ich wszystkich! To są fanatycy swego zawodu! Od nich dowiedziałem się wiele o historii kościoła. Dostarczane przez nich fotografie pozwoliły zrekonstruować uszkodzone szczegóły.

Nie pomogliby w odbudowie, nie dbaliby o kościół, by go zniszczyć.

- Czy nikt nie zadawał księdzu pytań, może robił szkice?
- Dobrodzieju! Ja swoje, a wy swoje! Przecież tłumaczę od początku, że nie patrzę ludziom na ręce.
- Ale my chcemy ustalić, czy to był wypadek, czy podpalenie! I ksiądz musi nam w tym pomóc!
- Tu nie ma mowy o żadnym podpaleniu!
- Skąd ta pewność?
- Bo kto by podpalił? I dlaczego?
- My stykamy się zbyt często ze złem, by wierzyć wszystkim ludziom i traktować ich jak anioły!
- Jeśli był taki ktoś, to go spotka kara boska.
- Widmo piekła nie odstraszy ludzi od przestępstw. Tylko doraźne, skuteczne kary mogą zapobiec złu. Jeśli przestępca podpalił jeden kościół, to oczekując na karę Bożą może podpalić jeszcze kilkadziesiąt. My chcemy go wyeliminować ze społeczeństwa. Umożliwić uczciwym ludziom spokojne życie. Proszę to zrozumieć.

Ksiądz Morawski milczał. Kapitan Osiał, wyraźnie rozdrażniony, podrzucał nerwowo ramionami. Tylko major Górski siedział spokojnie, wpatrując się spod przymrużonych powiek w księdza, jakby chciał go skłonić do szczerości. I ksiądz przemówił.

- Na wycieczki zwracam mniejszą uwagę – zaczął przyciszonym głosem. – Rozmawiam z niektórymi, pomagam przewodnikowi. Wielu chce się wypowiedzieć. Spełniam więc

ich prośbę. Gdy zaś kościół odwiedza pojedynczy osobnik, wtedy dokładniej go obserwuję. Bo mam tu trochę cennych rzeczy. Niestety, nie zawsze jestem w kościele. Czasami zostaje w nim organista. Bo on lubi grać na organach A jak on gra, dobrodzieju! To prawdziwy artysta!

– Prosiłbym księdza! – kapitan Osiał przerwał dość ostro.

– Och, przepraszam! Więc co ja takiego chciałem? Aha! Kręcił się tu pewien sprzedawca świętych obrazów. Zdiera z ludzi pieniądze, dając im w zamian okropne oleodruki. Obrazy bez wartości. A ludzie kupują, choć ostrzegam ich z ambony. W naszej księgarni są reprodukcje Madonny z Dzieciątkiem pędzla znanych mistrzów włoskich. Te mogą kupować. Ale cóż! Obraz w skromnej ramie nie nadaje się. Musi być w złoconej!

– Coś ten sprzedawca wszedł księdzu za paznokcie!

– Bo to jakiś niepewny typ. Kiedyś powiedział mi, że niektóre obrazy wymagają renowacji. Mógłby znaleźć ludzi, którzy zrobiliby to tanio i dobrze. Odmówiłem. Kościół znajduje się pod opieką konserwatora powiatowego, na którego nie narzekam.

– Może nam ksiądz podać bliższe dane tego „mecenasa sztuki”?

Proboszcz szukał chwilę w szufladzie kredensu. Wyjął wreszcie jakąś kartkę i podał majorowi, który odczytał na głos jej treść:

– Jan Grosz, Warszawa, ulica Grzybowska czterdzieści

osiem. Artystyczna pracownia obrazów. Renowacja, konserwacja, oprawianie. Kopie znanych obrazów. – I zwracając się do kapitana Osiala, stwierdził z zadowoleniem: – To już jest coś!

Tymczasem na twarzy kapitana malował się wyraźny zawód.

– Przeciwnie. Gdyby zamierzał popełnić przestępstwo, nie zostawiłby wizytówki. Mimo to trzeba będzie sprawdzić. A może ksiądz przypomni sobie jeszcze jakiś szczegół? – kapitan Osial nie rezygnował.

– Nie chcę rzucać podejrzeń. Nie chcę oskarżać.

– Jeśli okaże się niewinny, nikt go do więzienia nie wsadzi. A jeśli to podpalenie, to powinno księdzu zależeć na ukaraniu winnego.

– Stało się. Wola boska! Tego, co spłonęło, nie wróci żadna kara. A to musi być bardzo nieszczęśliwy człowiek.

– Nie możemy tolerować przestępstw. Już to księdzu tłumaczyliśmy.

– Dobrodzieju, ja naprawdę chcę wam pomóc. Ale nie wiem nic konkretnego. Może jeszcze taka rzecz... – ksiądz zastanawiał się.

– Proszę śmiało! – ponaglał kapitan Osial.

– Był tu w ubiegłym roku turysta z Włoch. To był prawdziwy miłośnik sztuki. Ze znanstwem mówił o architekturze. Ale jego oczy błyszczały szczególnym blaskiem, gdy rozmowa zesła na malarstwo. Mimo to nie podobał mi się. Miał bez przerwy rozbiegane oczy. Nie patrzył wprost na rozmówcę. Nie lubię takich, co mi podczas rozmowy nie patrzą w oczy.

Ale znał się na rzeczy, to trzeba mu przyznać.

– Wie ksiądz o nim coś więcej?

– Nic, dobrodzieju. Tylko to, że był Włochem... – ksiądz Morawski rozłożył bezradnie ręce.

– A organista? To człowiek zaufany?

– Mieszka tu z żoną od wielu lat. Nic mu nie można zarzucić. Spokojny, kulturalny, uczciwy. Nie pije, nie awanturuje się. A jak gra! To wielki talent. Gdy zacznie improwizować podczas mszy, bywa, że przerywam na chwilę ceremoniał i słucham. Gdyby dobrodziej posłuchał tej gry, poczułby się, jak w raju!

– Nie byłem tam i nie wiem, jak jest w raju. Wierzę księdzu na słowo, że to talent. Dlaczego więc pracuje jako organista i to tu, w małym mieście?

– Nie jest skory do zwierzeń. Myślę, że przeżył jakąś tragedię. Jego żona cierpi na bezwład nóg. Spędza czas przeważnie w oknie swego pokoju. Organista ma w mieszkaniu fortepian. Dobrej marki, specjalnie strojony. Ale rzadko na nim gra. Woli organy. Często gra tylko dla mnie. Przypuszczam, że komponuje utwory świeckie. Gdy jadę do województwa, prosi mnie o papier nutowy.

– A jego rodzina? Ten brat, bratanica?

– O rodzinę to już jego pytajcie. Co ja mogę na ten temat powiedzieć?

– Prosimy o uwagi księdza.

– Zastrzegam się, że to, co powiem, jest wyłącznie moim osobistym wrażeniem. Więc tak: dla mnie to ludzie przeciętni,

bez wyrazu. Organista to człowiek inteligentny. A ten jego brat to raczej prymitywny osobnik.

– Interesowali się kościołem? Obrazem, złotymi wyrobami?

– Nie zauważyłem. Do kościoła na nabożeństwo niedzielne, owszem, przychodzili.

– Organista był dla nich serdeczny?

– Tego nie wiem. Ale zastanowił mnie pewien szczegół. On lubił grać dla mnie. Gra jego nabierała rumieńców, gdy w kościele była jedna, dwie osoby. Ale kiedy wchodził brat, przerywał grę.

– Czym to należy tłumaczyć?

– Moim zdaniem, dobrodzieju, dumą artysty nie docenionego przez rodzinę. Lekceważenie okazywane przez osobę o niższych wartościach intelektualnych okropnie boli.

– Wróć jeszcze do pytania postawionego na początku rozmowy. Czy ksiądz ma wrogów? Proszę wymienić ich nazwiska.

– Powiedziałem już dobrodziejowi: „któż ich nie ma”. Ale to nie są wrogowie niebezpieczni. Staram się być dla wszystkich przykładem, wychowawcą, ojcem...

– Ale ksiądz, jak słyszałem, bije laską swych parafian?

– To już dobrodziejowi powiedzieli. A za co biję, też powiedzieli?

– Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że się dowiem od księdza.

– I dowie się dobrodziej. Nie robię z tego tajemnicy. Bo to jest tak: młodzi, jak to młodzi. Kochają się. I chcą zaraz do

zeniacki. Gdy widzę, że małżeństwo nie będzie zgodne, odradzam. Lecz jeśli nalegają, cóż mam robić? A po ślubie zaczyna się psuć. Upije się taki jeden z drugim i wali żonę. Żeby nie zapomniała, kto w rodzinie jest panem. Wtedy ja wkraczam. Najpierw tłumaczę głupkowi: prosiłeś, przyrzekałeś, obiecywałeś? A teraz co wyprawiasz? Jeśli wysłucha i zrozumie, dobrze. Ale jak mi mówi: „to moja sprawa”, to wtedy ja mu dam dowód, że i moja. Przyłożę parę razy laską po grzbiecie. Tak, żeby sąsiedzi widzieli. I co dobrodziej powie? W mojej parafii nie ma rozwodów. Niech dobrodziej przyzna, po co biedna kobieta ma czas tracić po sądach, walczyć o alimenty? Krnąbrne dziecko trzeba skarcić. Lepiej, że ja to zrobię, niż wy...

– Jednak to mało pedagogiczny sposób... – próbował oponować major Górski.

– A co, dobrodziejku? Wasz poprawczak lepszy? – odparował zaczepnie ksiądz.

– Nie czas teraz na roztrząsanie tych spraw – przerwał kapitan Osiał. – Jak więc z tymi wrogami?

– Mam wrogów, prawda. Ale więcej mam przyjaciół... Słuchają mnie, ufają mi. To bardzo dużo...

– Dobrze. Zakładamy, że nie zrobił tego żaden z księdza wrogów. – Kapitan Osiał przerwał wywody energicznego proboszcza. – Przejdźmy więc do innej sprawy. Kto stwierdził, że spalony obraz przedstawiał wartość zabytkową? I skąd się wziął w Grzybieniu? Przecież to małe miasteczko, a i w okolicy nie było nikogo tak bogatego, by zafundował kościołowi

obraz malowany przez jakiegoś znanego malarza.

– To długa i niezwykle skomplikowana historia, dobrodzieju! Jest ona w wielu punktach co najmniej niejasna. – Ksiądz Morawski mówił powoli, z zastanowieniem. – Badałem dostępne dokumenty. Mnie też interesowała historia obrazu. Dotarłem do ksiąg niemieckich. Szukałem nawet w pamiętnikach hrabiego Ciano, ministra spraw zagranicznych Włoch. W każdym razie z akt wynika, że obraz trafił do Grzybienia w latach okupacji. Dokładnie w czterdziestym pierwszym roku. W lipcu. Podarował go tutejszemu kościołowi gauleiter Erich Koch.

– Skąd u Kocha tak wspaniałomyślny gest? Kradł raczej dla siebie.

– Tu zmarł ktoś z jego rodziny. Ktoś, kogo bardzo kochał, do kogo był niezwykle przywiązany.

– Proszę, coś nowego! – kapitan Osial nie powstrzymał się od komentarza. – U kata sentymentalny odruch!

– Młody jesteś, dobrodzieju! Nie znasz tych spraw. Choć zdziwienie jest całkowicie uzasadnione. – Twarz księdza przybrała poważny wyraz. – Ja się z nimi stykałem w różnych okolicznościach. Byłem przecież więźniem obozu koncentracyjnego w Sztutowie. I to jednym z pierwszych. Nie mogłem tych ludzi zrozumieć. Do dziś me mogę im wybaczyć i znaleźć żadnego wytłumaczenia ich postępowania. Niespodziewane, zaskakujące przejścia od miłości do bestialstwa. Od liryki do

sadyzmu. – Głos księdza Morawskiego zawisł w powietrzu. Proboszcz milczał, zajęty swymi myślami. Nagle drgnął, jak gdyby zbudzony niespodziewanie ze snu. – Ale to już przeszłość! – westchnął ciężko. – Smutna przeszłość. Nie wracamy do niej! Mówmy lepiej o obrazie.

– Nie ma ksiądz racji! – zaproponował major Górski. – Do tych lat trzeba wracać. Nie wolno o nich zapomnieć...

– Tak, panowie! – wtrącił kapitan Osial. – Ale teraz nie czas i miejsce na wspomnienia okupacyjne. Skąd Koch miał ten obraz? Też ksiądz wie?

– Wiem, wiem, dobrodzieju. Koch przywiózł go z terenu lubelszczyzny. Obraz pochodził z pałacu Sapiehów w Koleniu.

– Więc obraz przewędrował całą Polskę.

– Nie tylko. By trafić do Polski odbył długą drogę z Rzymu.

– Z Rzymu? – Kapitan Osial był zaskoczony.

– A tak, dobrodzieju! Z Rzymu, We włoskich źródłach znalazłem historię obrazu i jego wędrówki do Polski. Było to około tysiąc pięćsetnego roku. Wtedy to ksiązę Sapieha, pan na Litwie, udał się z pielgrzymką do Rzymu, by złożyć pokłon papieżowi, Aleksandrowi VI Borgii. W czasie wizyty w Rzymie wpadł mu w oko jeden z obrazów sławnego malarza włoskiego.

– Co to za malarz? – przerwał Osial.

– Był to niejaki Paolo di Dono, zwany także Uccello. Bardzo utalentowany. Malował sceny batalistyczne i z życia świętych. Jego dziełem są piękne freski i mozaiki, zdobiące

kościoty Florencji i Wenecji...

– I co dalej z tym Sapięgą? – Kapitan Osial uznał wyjaśnienie za wystarczające.

– Opuszczając Rzym, Sapięha zabrał obraz ze sobą. Szukałem śladu tego wydarzenia w dokumentach rodzinnych ksiąząt. Wspomina się w nich, że obraz był darem od papieża...

– No tak! Sprawa nie do wyjaśnienia! Dziś w zeznaniach oskarżonych trudno odróżnić darowiznę od kradzieży, a co dopiero wtedy!

Kapitan Osial tym żartobliwym akcentem zakończył właściwie przesłuchanie. Zdawał sobie sprawę, że niczego więcej od księdza Morawskiego się nie dowie. Był już zresztą bardzo zmęczony. Po trudach podróży i zapewne z upału zaczynała go lekko pobolewać głowa. Usiadł wygodniej, przymknął na chwilę oczy i przestał myśleć o sprawie. Z rzadka tylko docierały do niego pojedyncze słowa ożywionej, acz przyciszonymi głosami prowadzonej rozmowy. To major Górski z księdzem Morawskim kontynuowali ten interesujący i tak w ich sytuacji aktualny temat.

– To aż takie rozmiary przybrały kradzieże dzieł sztuki! – Zdziwiony okrzyk księdza Morawskiego przywrócił go do rzeczywistości.

– Z pewnością zainteresuje księdza, że ofiarą złodziei padają najczęściej dzieła sztuki z małych, leżących na uboczu i pozbawionych opieki kościołów – kapitan włączył się do rozmowy.

– Złodzieje mają w tym przypadku ułatwione zadanie.

Brak dostatecznego nadzoru stwarza okazję nie do pogardzenia. Co może poradzić ksiądz nawet młody i silny, wspomagany przez staruszka zakrystiana, gdy w kościele buszują złodzieje – dodał major Górski.

– Powiedzcie mi, dobrodzieje, jako fachowcy w tej dziedzinie, dlaczego kradzieże dzieł sztuki stały się ostatnio takie modne? Nie mogę tego w żaden sposób zrozumieć. – Ksiądz rozłożył ręce w geście bezradności. – Rozumiem: pieniądze, kosztowności! Choć to też grzech! Ale dzieła sztuki? Przecież to i sprzedać trudno, a i z transportem też niełatwo.

– Nad tym zjawiskiem zastanawia się policja całego świata. Dotychczas sprecyzowano właściwie dwie podstawowe przyczyny. Jest to najlepsza chyba lokata kapitału, a poza tym dotychczas dzieła sztuki można było dość łatwo ukraść.

– To prawda – dorzucił major Górski. – W muzeach praktycznie nie było dostatecznej ochrony. Nie mówiąc już o małych muzeach regionalnych czy kościołach...

– Słynne zbiory muzealne i często bezcenne dzieła sztuki w kościołach znalazły się w niebezpieczeństwie, jakiego dotąd nie notowano – z emfazą w głosie oświadczył kapitan Osial.

– Dobrodzieju! – przerwał ksiądz. – Tak nie można mówić! Przecież wiemy, co mamy. Nie pozostawiamy tych dzieł na pastwę losu! Zapewniamy im ochronę. Przecież nikt nie może bezkarnie wynieść z muzeum dzieła sztuki. Jeszcze z kościoła, na to mogą się zgodzić! Ale z muzeum?

– Chce ksiądz przykładów? Proszę bardzo! Są to przypadki zanotowane w kronikach milicyjnych z tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątego czwartego roku. – Kapitan Osiał wyjął z bocznej kieszeni marynarki notatnik dość dużych rozmiarów, przerzucił kilka kartek i zaczął wylizywać: – Dyrekcja muzeum w Rzeszowie przechowywała eksponaty w pomieszczeniach biurowych. Na strychu znajdował się skład materiałów łatwopalnych. Komisja inwentaryzacyjna nie mogła się doliczyć prawie siedmiuset wartościowych przedmiotów... Po zgłoszeniu milicji przez dyrekcję muzeum w Chojnowie faktu kradzieży funkcjonariusze znaleźli na strychu dwie skrzynie pełne zabytkowej broni. Kolekcja ta nie była nigdzie zewidencjonowana. W muzeum w Krakowie ujawniono brak kilkuset eksponatów. Od kilku lat nikt nie wiedział, że w zbiorach są takie braki. To tylko nieliczne przykłady. Ksiądz powie, że to nie dotyczy kościoła. Chcę księdza tylko przekonać, jak niefrasobliwie podchodzi się do ochrony dzieł sztuki. Jak ułatwia się działalność złodziejom. A dzisiaj mamy już do czynienia z przestępcami znającymi wartość dzieł sztuki. Kradną oryginały, a w ich miejsce wstawiają bezwartościowe, ale świetnie podrobione kopie. W ten sposób kradzież może być ujawniona dopiero po latach. Kierownik jednego z domów kultury w województwie gdańskim, notabene historyk sztuki, człowiek o wysokiej kulturze, okradł kilka kościołów. Proboszcze byli zdumieni, gdy funkcjonariusze milicji zwrócili im oryginały. Kradzież w ogóle by się nie wydała, gdyby nie fakt, że jeden z pracowników „Desy” znalazł w katalogu reprodukcję sprzedanego niedawno obrazu. Katalog podawał również miejsce,

w którym ów obraz winien się znajdować.

Ksiądz Morawski milczał, nie mogąc znaleźć żadnego kontrargumentu. Skorzystał z tego major Górski:

– Pan, kapitanie, operował przykładami z naszego, polskiego podwórka. Pozwólcie, panowie, że ja dorzucę kilka liczb dotyczących sytuacji we Włoszech. Sprawozdania policyjne podają, że w latach 1957–1965 skradziono tam prawie pięć tysięcy dzieł sztuki. Lecz już w 1970 roku zanotowano cztery tysiące kradzieży. W roku 1972 liczba ta wzrosła do czterech tysięcy sześciuset.

– Całe szczęście, że nie jesteśmy we Włoszech – zażartował ksiądz Morawski.

– Bo też i dzieł sztuki mamy znacznie mniej. Już trzydzieści lat temu byli u nas tacy, co się postarali, by zabrać nam jak najwięcej – major Górski nie był usposobiony do żartów.

– Tak! Ale to bolesne dzieje. Może spróbujemy powrócić do dnia dzisiejszego?

W tej chwili ktoś energicznie zapukał do drzwi.

– Proszę! – ksiądz Morawski wykrzyknął to słowo jakby z przestachem.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich jeden z funkcjonariuszy.

– Obywatelu majorze! Przed plebanią czeka świadek, który widział samochód marki „Żuk” pędzący w nocy szosą z Grzybienia do Warszawy. Miał stłuczony kierunkowskaz.

– O której to było?

– Kilkanaście minut po dwunastej.

– To po co nam zawraca głowę! – wybuchnął major

Górski. – Niech poinformuje o tym drogówkę!

– Tak jest! – milicjant wyprężył się służbiście.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, porucznik Osiał zwrócił się do księdza Morawskiego:

– Dziękujemy księdzu za rozmowę. Chociaż tak prawdę powiedziawszy, to nadal nie wiemy nic konkretnego. Ten Włoch, ten renowator obrazów... Może. Lecz to bardzo nikłe ślady. Będziemy szukać dalej.

Przez chwilę stali w milczeniu. Ksiądz Morawski zwrócił się do majora Górskiego:

– Miałbym jedno pytanie. Czy można?

– Prosimy bardzo!

– Dobrodzieje mówią stale o podpaleniu. Czy to pewne, że kościół został podpalony?

– Ależ nie! Wcale nie jesteśmy tego pewni. Nie mamy na to żadnych dowodów. – Major Górski uspokajał proboszcza. – Dokładnych danych dostarczą nam laboranci z laboratorium kryminalistyki. Ale taka jest zasada prowadzenia dochodzeń. Należy rozważyć różne wersje, aby wyeliminować niewłaściwe.

– No, to trochę się uspokoiłem. Bo skądże tu podpalenie? – ksiądz Morawski westchnął z ulgą.

Do drzwi znów ktoś zapukał. Jednak tym razem nie czekał na zaproszenie, tylko natychmiast wszedł do pokoju. Był to porucznik Sułkowski, zastępca naczelnika laboratorium kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej w Olsztynie. Zasalutował i zwracając się do majora Górskiego zameldował:

– Towarzyszu majorze. Przywożę wyniki ekspertyz dotyczących pożaru!

– Przecież to nic ważnego! Nie musieliście specjalnie przyjeżdżać. Można było pocztą specjalną...

– Ale mam dla towarzysza majora ważną wiadomość. Chciałbym przekazać...

– No to walcie śmiało! – odezwał się rubasznym tonem major Górski.

– Jednak, jeśli można, chciałbym na osobności... – nalegał porucznik Sułkowski.

– Wobec tego dziękujemy księdzu. – Major Górski skinął głową w stronę księdza Morawskiego. – Chodźmy, kapitanie. Posłuchamy tych rewelacji naszego alchemika.

Gdy wyszli przed plebanię, porucznik Sułkowski wyciągnął z teczki zapieczętowaną szarą kopertę.

– Oto wyniki ekspertyzy!

– No, dobrze. Mówiłem już, że to nic ważnego. Normalny pożar. Widzieliście instalację elektryczną? Założona w dwudziestym siódmym roku. Ledwie się trzyma kupy. Do tego na przewodach przeznaczonych do żarówki piętnastowatowej siedzą teraz po dwie czterdziestki lub sześćdziesiątki! Raport możemy napisać jutro., Mówcie lepiej, co za tajemnicę chcecie nam przekazać?

– Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy... Nie muszę tłumaczyć, że zbadanie przyczyny pożaru jest czynnością niezmiernie skomplikowaną. Wymaga wyjaśnienia takich rzeczy, jak panujące w chwili wybuchu ognia warunki

atmosferyczne, sąsiedztwo obiektu pożaru, sam obiekt, stan pogorzeliska, znalezione ślady i przedmioty...

– To wszystko wiemy! Nie musicie nam mówić! – przerwał zniecierpliwiony major.

– Na podstawie stanu zniszczeń ustaliliśmy ognisko pożaru. Wybuchł on za głównym ołtarzem. Potwierdzają to zeznania świadków. Sprawdziliśmy instalację elektryczną. Rzeczywiście, jest ona w bardzo złym stanie technicznym. Przeszarżała, do tego nie konserwowana od lat... Jednak nie instalacja elektryczna była przyczyną pożaru. Biegły wykazał, że bezpieczniki nie były uszkodzone. Na złączach nie dostrzeżono też śladów zwarcia. Charakter pomieszczenia eliminował inne przyczyny, mogące spowodować uszkodzenie instalacji. Mam na myśli środki chemiczne, wilgoć i temu podobne... Nie zachodziła też możliwość zaprószenia ognia, gdyż ostatni wychodził z kościoła organista wraz z księdzem, a obaj nie palą. Była to godzina dwudziesta pierwsza. Należy również wykluczyć, by od ewentualnego zaprószenia ognia pożar wybuchł dopiero o drugiej nad ranem. Pogaszone były świece, które zapala się tylko podczas nabożeństwa...

– Więc co było przyczyną pożaru?

– Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Otóż nasi technicy, szukając śladów w rejonie miejsca powstania pożaru, zwrócili uwagę na ścianę za ołtarzem. Nie była ona otynkowana, jak wyjaśnił nam ksiądz Morawski, ze względów oszczędnościowych. Otóż na tej ścianie odkryto żółty nalot. Miał on kształt choinki. Technik dochodzeniowy zebrał nalot

na wilgotny papier wskaźnikowy, a ten zabarwił się na czerwono.

– A więc jakaś substancja kwaśna?! – wykrzyknął kapitan Osial,

– Tak. A taka substancja nie może powstać w wyniku pożaru.

– Mówcie jaśniej, bo nie znam się na chemii – fuknął major Górski.

– To znaczy, że za ołtarzem, przy ścianie, w miejscu znalezienia żółtego nalotu znajdował się fosfor żółty... Fosfor zapala się w chwili połączenia z powietrzem. W tym przypadku podpalacz lub podpalacze zastosowali zapłon fosforu z opóźnieniem. W miejscu położenia fosforu znaleźliśmy spalone kawałki tektury. To znaczy, że przestępcy położyli fosfor na zwilżonej tekturce. Zapalił się on dopiero wtedy, gdy wilgoć z tekturki wyparowała. Opóźnienie zapłonu uzależnione jest od warunków atmosferycznych.

– Więc przestępstwo miało miejsce znacznie wcześniej, a nie o drugiej nad ranem? – major Górski był wyraźnie zaskoczony tym odkryciem.

– Nie! Biorąc pod uwagę warunki atmosferyczne panujące w nocy oraz temperaturę w kościele, można przyjąć, że zapalenie się fosforu nastąpiło w dwie do trzech godzin od chwili jego podłożenia.

– Z tego wniosek, że kościół podpalono około dwunastej w nocy – zapytał kapitan Osial.

– Tak! Mniej więcej w tym czasie.

– Czyli nasze dotychczasowe ustalenia są funta kłaków

warte! – westchnął z rezygnacją major Górski. – Nie dość, że trzeba wszystko zaczynać od początku, to jeszcze przestępca może mieć świetne alibi. Godzina tolerancji, to dużo.

– Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że na zamkach nie znaleźliśmy śladów mechanoskopijnych – uzupełniał porucznik, Sułkowski. – To znaczy, że podpalacze otworzyli drzwi kościoła kluczami oryginalnymi, a nie wytrychem.

– Więc ktoś z domowników?

– I jeszcze jedno, towarzyszu majorze. – Porucznik Sułkowski powstrzymał szykującego się już do odejścia majora Górskiego. – Za ołtarzem znaleźliśmy kawałki ramy z wiszącego nad ołtarzem obrazu. Niektóre fragmenty były tylko nadpalone. To pozwoliło nam ustalić, że przed pożarem wycięto z tych ram obraz. W miejscach przymocowania obrazu do ramy zostały tylko paski płótna.

– Chcecie przez to powiedzieć, że skradziono obraz! – W majora Górskiego jakby piorun strzelił.

– Właśnie o to chodzi – potwierdził porucznik Sułkowski. – Obraz o dużej wartości muzealnej został skradziony. By zatuszować kradzież, złodzieje podpalili kościół!

Rozdział 3

Wrócili do jadalni. Ksiądz poprawiał stojące na kredensie bibeloty.

– Przepraszamy księdza! Czy moglibyśmy w tym pokoju popracować? – spytał major Górski.

– Ależ proszę bardzo, dobrodzieju! Cały dom jest do waszej dyspozycji! – Ksiądz spiesznie wycofał się do dalszych pomieszczeń.

– Nie traćmy czasu, majorze! – Kapitan Osial był pełen energii. Zapomniał o upale, o zmęczeniu. – Trzeba brać się szybko do dzieła. Po pierwsze wysyłamy telefonogram do Komendy Głównej o kradzieży obrazu. Niech zawiadomią graniczne punkty kontrolne i wzmocnią patrole na drogach. Niech zaalarmują sklepy „Desy” i przeprowadzą całą masę posunięć profilaktycznych. Zresztą oni wiedzą, co do nich należy. Po drugie trzeba przesłuchać lokatorów plebanii: organistę, jego rodzinę i jeszcze raz księdza. Musimy wiedzieć, co robili o godzinie dwunastej w nocy. Powinniśmy też ustalić, i to ustalić dokładnie, kto w ostatnim czasie interesował się szczególnie obrazem. I kto zaraz po pożarze opuścił miasto.

– Kapitanie! Toż ja do tego potrzebowałbym pułk wywiadowców! Poza tym ustalenie, kto w nocy opuścił miasto, jest moim zdaniem rzeczą wręcz niemożliwą. Jak pan to sobie wyobraża? – major Górski był wyraźnie przerażony.

– Puścić wszystkich dzielnicowych i wywiadowców po domach. Niech pytają. Ile u was jest tych mieszkań? Tysiąc? A ilu funkcjonariuszy do kontroli? Pięćdziesięciu? Więc po dwadzieścia mieszkań na głowę, to nie takie wielkie obciążenie. Nawet niech będzie po czterdzieści, to i tak załatwią w osiem godzin.

– Ale jak ustalą dane personalne tych co wyjechali? W tym piekielnym letnim okresie melduje się co dziesiąty... Nie

mamy możliwości dopilnowania tej sprawy. Normalnie nasze miasto liczy pięć tysięcy trzystu mieszkańców. A w okresie letnim liczba ta wzrasta do dziewięciu tysięcy – bronił się major.

– Może coś znajdziemy! Nie ma co lamentować. I niech sprawdzą gości hotelowych. – Kapitan Osiał był nieubłagany. – I jeszcze jedno: może ktoś widział coś podejrzanego w nocy koło kościoła?

Major Górski machnął ręką, wstał od stołu, podszedł do otwartego okna i przywołał jednego z krzątających się jeszcze koło kościoła funkcjonariuszy.

– Odnaleźć mi szybko porucznika Jarowickiego! Niech rzuca wszystko i melduje się u mnie!

Nie minęły dwie minuty, gdy w drzwiach pokoju stanął porucznik Jarowicki, kierownik sekcji kryminalnej miejscowej komendy. Był to młody, może trzydziestoletni przystojny brunet. Inteligentne rysy twarzy świadczyły o energii i stanowczości oficera.

Major Górski przekazał mu wszystkie polecenia kapitana Osiała.

– Bierzcie, kogo się da. Ściągnijcie tych po dyżurze. Odpoczną sobie po akcji. – Major Górski spojrział na zegarek. – Jest teraz godzina szesnasta... O osiemnastej chcę mieć pierwsze meldunki.

Wyszli przed plebanię.

– To ja już chyba jestem niepotrzebny! Czy może macie coś jeszcze do mnie? – Porucznik Sułkowski szykował się do odjazdu.

– Jedźcie i niech was więcej na oczy nie widzę! – Major Górski był naprawdę zmartwiony. – Ładnej roboty nam dorzuciliście! A tak było przyjemnie! – westchnął. – Życ, nie umierać!

– Odmeldowuję się! – Porucznik Sułkowski zasalutował. – Aha, jeszcze jedno! W teczce są również wyniki ekspertyzy śladów i odprysków reflektora Żuka. To wszystko! – Uścisnęli sobie ręce. Major Górski podszedł do radiowozu.

– Kozłowski, nie śpij! – krzyknął na widok drzemiącego kierowcy. – Ja tu mam urwanie głowy, a ten drań śpi jakby nigdy nic! Łącz mnie szybko z wojewódzką!

Kozłowski raptownie wyrwany z rozkosznej drzemki nie wiedział przez chwilę, o co chodzi.

– Łącz z wojewódzką, mówię! – Major był wyraźnie zdenerwowany. – Czekaj! Ja cię urządzę! Na święto milicji masz premię z głowy!

Kozłowski rozpaczliwie manipulował gałkami radiotelefonu:

– B-24, B-24, B-24! Tu C-17! Odbiór!

– C-17, C-17, C-17! Tu B-24! Słucham cię! – zatrzeszczało w głośniku.

Major Górski wziął mikrofon od Kozłowskiego.

– B-24, mówi C-17!

– Cześć, Janek! Tu Oleksiak! Czego tak się denerwujesz, chłopie!

– Jak się masz? Słuchaj, nie mam teraz czasu na rozmowy. Myślałem, że dociągnę spokojnie do emerytury, a tu takiego orła mi wywinęli...

– Z tym, pożarem?

- Właśnie!
- No cóż! Podpalenie kościoła i rabunek takiego obrazu to coś nowego w naszym województwie!
- To już wiesz?
- Pewnie! Komendant zaraz po otrzymaniu wyników ekspertyz kazał zawiadomić główną...
- To już zawiadomieni?
- Ano już!
- No to jeden punkt mam z głowy!
- Co masz z głowy?
- Nic, nic! Ja tak do siebie!
- Aha! Bo nie zrozumiałem!
- No to B-24! Tu C-17! Odmeldowuję się!
- C-17, tu B-24! Zrozumiałem! Koniec rozmowy!

Gdy major Górski odłożył mikrotelefon, kapitan Osial nie mógł powstrzymać się od komentarza:

- Kiedy wreszcie nauczycie się prowadzić rozmowy zgodnie z instrukcją? Są przecież tablice kodowe, jest opisany sposób rozmowy... A gdzie się nie ruszę, zawsze to samo: jakieś pogaduszki otwartym tekstem!
- Ja tego nie lubię. Denerwuje mnie taka gadka...

Kapitan Osial zmienił temat:

- Bierzemy się za przesłuchiwanie. Wzywajcie po kolei: organistę, jego brata, a potem bratanicę. Każda minuta może być droga!

Wrócili na plebanię. Za ledwie usiedli i przygotowali notesy, drzwi otworzyły się. Do pokoju wszedł mężczyzna przepuszczony przez funkcjonariusza. Był wysoki, lekko

przygarbiony, długie, siwo, starannie utrzymane włosy spadały na kołnierz marynarki. Ubrany w brązowy garnitur, takiego samego koloru fantazyjnie zawiązany krawat i jasnobrązową koszulę, prezentował się elegancko, choć w jego stroju było trochę; nonszalancji i kokieterii. Był spokojny, opanowany. Poruszał się swobodnie, nie peszyła go obecność dwu oficerów obserwujących każdy jego ruch. Podszedł do stołu, skłonił się lekko i oparł rękę na poręczu krzesła.

– Proszę siadać! – major Górski nawet nie usiłował być uprzejmym.

– Proszę podać swoje personalia. – Kapitan Osiał postanowił przejąć inicjatywę i pozostawić majorowi Górskiemu jedynie rolę obserwatora.

– Stanisław Witek. Urodzony trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego roku w Poznaniu. Wykształcenie średnie, muzyczne. – Organista mówił powoli i wyraźnie.

– Został pan wezwany na przesłuchanie w związku z pożarem kościoła. Wszystko, co pan powie, zostanie zaprotokółowane. Jeśli uważa pan, że odpowiedzi mogą panu zaszkodzić, może pan odmówić zeznań.

Kapitan Osiał był bardzo oficjalny. Może nawet zbyt oficjalny. Ale wiedząc, że Górski i organista byli dobrymi znajomymi, spędzającymi wiele godzin nad partiami brydża, o czym zresztą poinformował go wcześniej sam major, nie chciał dopuścić do tego, by przesłuchanie przekształciło się w towarzyską pogawędkę.

– Nie mam nic do ukrywania.

- To pan pierwszy zauważył pożar w kościele?
- Właściwie to nie ja, lecz moja żona. Tej nocy nie mogła zasnąć. Zdarza jej się to dość często. Ostatnio coraz częściej... – Witek przerwał. Zamyślił się głęboko.
- Tak, i co dalej? – Suche pytanie kapitana Osiąła spowodowało przesłuchiwanego na ziemię.
- Siedziała przy otwartym oknie. Ja już chyba spałem. Nagle obudził mnie głośny jęk. Spojrzałem na żonę. Ruchami głowy przywoływała mnie... Bo, widzi pan – Witek dodał jakby usprawiedliwiając się – moja żona jest od dłuższego czasu sparaliżowana. Nie mówi i nie może się poruszać. Podbiegłem do okna. Zobaczyłem, że w pobliżu kościoła jest dziwnie jasno. Z początku nie zdawałem sobie sprawy, że to pożar. Dopiero gdy zobaczyłem na dachu płomienie, krzykiem „pali się” obudziłem proboszcza. Złapał wiszące w przedpokoju klucze od zakrystii i wtedy pobiegliśmy do kościoła. Wpadliśmy do wnętrza. Kłęby dymu przesłaniały wszystko. Podbiegiem do dzwonnicy. Zacząłem szarpać za sznur. Dzwoniłam tak przez parę minut... Dopóki nie usłyszałem głosów ludzi, którzy przybiegli na ratunek...
- Dlaczego nie ratował pan kościoła razem z księdzem, tylko pobiegł pan do dzwonnicy?
- Zdawało mi się, że najpierw trzeba zaalarmować ludzi, straż pożarną... Cóż my dwaj moglibyśmy uratować?
- Ksiądz zaczął jednak ratować. Wyniósł monstrancję. Może we dwóch uratowalibyście obraz?

– Czy jest teraz sens dyskutować o tym, co by było, gdyby... Może to, co zrobiłem, było właściwsze? Zresztą w takich chwilach nie zastanawia się człowiek nad posunięciami i ich następstwami...

– Prosiłbym o pozostawienie oceny mnie... – Kapitan Osial był w dalszym ciągu bardzo oficjalny. – Czy widział pan płonący obraz?

– Nie! Było za dużo dymu. Widziałem tylko płomienie. Również w miejscu, gdzie wisiał obraz. Ale obrazu nie widziałem....

– Czy go tam nie było?

– Nie, tego nie twierdzę... Tylko góra ołtarza wraz z obrazem zasłonięta była dymem i ogniem.

– Czy podejrzewa pan kogoś o podpalenie kościoła?

– Podpalenie? Nie! To niemożliwe! – wykrzyknął zdziwiony organista. – Żaden z tutejszych ludzi nie odważyłby się na coś takiego. Oni szcycili się tymi zabytkami, pilnowali ich.

– A może ktoś obcy?

– Obcy? Po co i dlaczego miałby podpalać?

– Więc wyklucza pan ewentualność podpalenia?

– Od tego to wy jesteście, panowie...

– Słyszałem, że ma pan u siebie gości... – Kapitan „Osial” zmienił temat.

– A tak. Są u mnie na urlopie dwie osoby. Mój brat Roman Witek z córką Danutą.

– Często pana odwiedzają?

– Wpadali na dwa, trzy dni... Na niedziele lub święta.

Dopiero teraz przyjechali na całe dwa tygodnie.

- Gdzie mieszkają?
- W Warszawie.
- Co brat robi?
- Jest ślusarzem. Ma prywatny warsztat...
- Czy brat przyjechał na urlop z własnej inicjatywy, czy pan go zaprosił?
- Zaprosiłem go.
- Dlaczego?
- To są moje osobiste sprawy. Przecież wolno mi zaprosić brata? – Witek był wyraźnie zdenerwowany.
- Tak, ale gdy zapytałem o brata, wyczułem w pana głosie jakąś niechęć. Nie lubi pan brata? Więc dlaczego go pan zaprosił?
- Widzę, że milicja zatrudnia coraz inteligentniejszych ludzi...
- Już raz zwróciłem panu uwagę, by swoje opinie zachował pan dla siebie.
- Przepraszam, myślałem, że ten komplement pana ucieszy, a pan się obraził – organista uśmiechnął się rozbrajająco.
- Panie Witek! Ostrzegam pana po raz ostatni! – Kapitan Osial był wzburzony. – Rozmawiam z panem jak z kulturalnym człowiekiem. Zdaje się, że pana niczym nie obraziłem, dlaczego więc pan chce mnie obrazić? Mogę zmienić formę przesłuchania, jeśli ta panu nie odpowiada... Ale wtedy ja będę tym kpiącym z pana...
- Przepraszam, panie kapitanie. Proszę zrozumieć moją sytuację. Sprawy rodzinne to dość drażliwy temat.
- Proszę więc opowiadać jak najspokojniej. Nie mam

zamiaru kpić ani szydzić z pana. Chcę wiedzieć wszystko, bo to, co panu wydaje się nieistotne, dla mnie może mieć ogromne znaczenie.

Witek myślał przez chwilę, wreszcie zaczął opowiadać:

– Stosunki między mną i bratem nigdy nie były serdeczne. Drogi nasze rozeszły się już we wczesnej młodości. Nie mieliśmy wspólnych zainteresowań. On cenił siłę, ja kulturę i rozum. On kochał pieniądze, ja muzykę. Jego dewizą było bezwzględne dążenie do celu. Zresztą osiągnął go. Ma swój warsztat, samochód, willę...

– Proszę się nie obrazić, ale ta sytuacja pogłębiła pana niechęć do niego. Bo panu raczej się w życiu nie powiodło...

– Ano, nie powiodło...

– Zastanowiło mnie, dlaczego pan, człowiek wykształcony, inteligentny, został zwykłym organistą w powiatowym mieście?

– Historia krótka. Powie pan, że melodramatyczna. Jak z taniego romansu... Ale takie jest życie... Zaczęło się wszystko w okresie międzywojennym. Poznałem dziewczynę, starszą od siebie o kilka lat. Była instruktorką wychowania fizycznego. Uczyła rytmiki, pływania. Zarabiała dobrze. Ja byłem biednym, początkującym muzykiem. Grywałem, gdzie się dało... Ona otoczyła mnie opieką, mającą w sobie nawet pewne cechy miłości macierzyńskiej. Pobraliśmy się. Byliśmy szczęśliwi. Nie trwało to długo. Przyszła wojna. Już w ostatnich dniach obrony Warszawy bomba trafiła w nasz dom. Zostaliśmy

przywaleni gruzem. Odkopano nas. Ale w organizmie mojej żony zaczęły zachodzić pewne zmiany. Miała uszkodzony kręgosłup. Przestała zupełnie chodzić. Mówiła coraz gorzej. Wyzwolenie zastało nas bez dachu nad głową, bez grosza w kieszeni. Koledzy zaproponowali mi pracę w orkiestrze odradzającej się filharmonii. Ale ja musiałem być stale w pobliżu żony. Jej potrzebna była systematyczna opieka. Dowiedziałem się, że w Grzybieniu potrzebny jest organista. Mieszkanie zapewnione. Z meblami. I tak to jest... – zakończył Witek.

– Rozumiem pana. – Kapitan Osiał nie spuszczał ani na chwilę oczu z twarzy rozmówcy. – Powracając jednak do brata. Dlaczego zaprosił go pan do siebie? To mi nie pasuje do opisanej sytuacji.

– Napisał mi o starości, o potrzebie zacieśnienia więzów rodzinnych w ostatnich latach życia. Obiecywał pomoc w wydaniu moich utworów muzycznych. Ma znajomości w jakimś wydawnictwie... Zaprosiłem go więc na urlop.

- Czy brat pana interesuje się dziełami sztuki
- Skądże! Dla niego obraz Rembrandta czy kupiony na bazarze oleodruk to jedno i to samo...
- Gdzie są przechowywane klucze do kościoła?
- Wiszą na haczyku w przedpokoju.
- Czy dostęp do nich ma każdy?
- Spośród mieszkańców plebanii, tak.
- A z zewnątrz?

– Trzeba otworzyć drzwi do holu i wejść do przedpokoju, w którym wiszą klucze...

– Drzwi do holu są zamykane?

– W dzień nie. Tylko na noc.

– Więc w dzień każdy może wejść do przedpokoju, zrobić odcisk kluczy i wyjść nie spostrzeżony?

– Teoretycznie tak.

– A praktycznie?

– Zawsze ktoś się kręci na plebanii. Moja żona siedzi stale przy oknie. Jest gosposia. Ja często jestem w mieszkaniu.

– Czy pana żona siedziała przy oknie cały czas, aż do chwili pożaru?

Witek zamyślił się.

– Trudno mi powiedzieć. Siedzi na wózku. Może odjeżdżała od okna... Tak na pewno to nie wiem...

– Co pan robił przez cały wieczór, aż do chwili pożaru?

– No wie pan, to trudno spamiętać... – Witek usiłował przypomnieć sobie zdarzenia minionego wieczoru. – Wyszliśmy z księdzem Morawskim z kościoła około dziewiątej. Zawsze o tej porze sprawdzamy kościół. Zamknąłem drzwi na klucz. Wróciłem z księdzem na plebanię. Chwilę rozmawialiśmy. Potem poszedłem do mieszkania. Mniej więcej do jedenastej byłem z żoną na spacerze. Gdy wróciliśmy, ona nie chciała jeszcze iść spać. Ja się umyłem i położyłem do łóżka. Prawdopodobnie od razu usnąłem, obudziły mnie dopiero jęki żony. To chodziło o ten pożar... Resztę już pan wie...

– Więc około godziny dwunastej był pan w domu?
– Tak! Spałem, żona może to potwierdzić.
– Czy można porozmawiać z pana żoną?
– Można... Ona rozumie pytania.
– Czy teraz moglibyśmy?
– Proszę bardzo Pozwólcie, panowie, ze mną... – Witek wykonał zapraszający gest.

– Dobrze! Zaraz pójdziemy... – powstrzymał go major Górski.

– Tak, to byłoby w zasadzie wszystko. Może wy, towarzyszu majorze, macie jakieś pytanie? – kapitan Osiał zwrócił się do majora Górskiego.

– Nie, nie. Nie mam żadnych pytań.

– To może pan chciałby nam coś powiedzieć, o co nie pytaliśmy, a zdaniem pana zasługuje na uwagę? – zwrócił się Osiał do Witka.

– Nie, to by było wszystko... – Witek uniósł się z krzesła – chociaż... – zastanowił się i siadł ponownie. – To chyba nie było nic ważnego.

– Dla pana może być mało ważne, a dla nas może stanowić cenny dowód – zachęcał wahającego się Witka kapitan Osiał.

– To było tak... Siedziałem przy organach, na chórze, gdy do kościoła weszła kilkusobowa grupa. Było tam pięciu Włochów z przewodnikiem Polakiem. Rozmawiali po włosku. Z początku nie zwracałem na nich uwagi. Takich grup mamy w sezonie po kilka dziennie. Dlaczego się nimi zainteresowałem? Otóż w pewnej chwili jeden z Włochów zaczął coś wykrzykiwać. Znam trochę język włoski, lecz nie na tyle, by

zrozumieć krzyczącego Włocha. Do tego trajkocącego jak karabin maszynowy. Wtedy ten przewodnik zaczął go uspokajać. Włoch nadal był dziwnie zdenerwowany. Zszedłem z chóru i zbliżyłem się do nich. Przewodnik zaczął wypychać Włocha z kościoła. Gdy mnie zobaczyli, Włoch zamilkł. Zwróciłem uwagę przewodnikowi na niestosowność takiego zachowania w takim miejscu. Zaczął mnie gorąco przepraszać. W pewnym momencie sięgnął do kieszeni i ze słowami przeprosin wręczył mi orzełka. Takiego od czapki wojskowej. Powiedział, że był w Armii Andersa we Włoszech. To jest pamiątka z tamtych lat. Na odwrocie wygrawerowane były litery S.K. i data 18 maja 1944. To była data zdobycia Monte Cassino. Chciałem mu zwrócić tego orzełka, ale nim się zorientowałem, przewodnika już nie było.

– Ma pan tego orzełka? – zapytał kapitan Osiał.

– Tak, mam. W mieszkaniu.

– Tak. To może nic nie znaczący ślad, a może cenna wskazówka. – Kapitan Osiał podniósł się z krzesła. – A teraz przesłuchamy pana żonę.

Witek szybko poderwał się z krzesła i poszedł przodem, wskazując oficerom drogę do swego mieszkania.

Pokój, do którego weszli, był utrzymany w ciężkim, niemieckim stylu. Stare, ciemne, masywne meble. Na ścianach ozdobne talerze. Sufit przecięty ciemnymi belkami. Widać było, że Witek nie zmienił tu nic. Nie dodał żadnego drobiazgu, mogącego się klócić z resztą umeblowania. Przy oknie na wózku inwalidzkim siedziała kobieta. Mimo zmarszczek,

wyrytych na jej twarzy przez wiek, i nieszczęścia, można było dostrzec piękne rysy.

Musiła być ładną kobietą! – pomyślał Osial, schylając przed nią głowę w geście powitania.

– Haniu! Panowie są z milicji. Zresztą majora Górskiego znasz. Chcieliby zadać ci kilka pytań...

Organiścina kiwnęła głową w geście przyzwolenia.

– Czy cały wieczór siedziała pani przy oknie? – zaczął kapitan Osial. – To znaczy między godziną jedenastą a pożarem?

Kobieta zaprzeczyła.

– Czy około godziny dwunastej była pani przy oknie?

Witkowa zrobiła ruch, oznaczający, że nie wie.

– Czy ktoś kręcił się w nocy koło kościoła? Skinięcie głowy.

– Czy to był ktoś z domowników?

Potakujące skinięcie.

– Pani mąż? Przeczący ruch głową.

– Brat męża?

Skinięcie potakujące.

Osial zastanowił się. Czyżby Roman Witek nie wiedział, że jego bratowa często przesiaduje w oknie?

– Czy kręcili się też jacyś obcy ludzie? – Wtrącił major Górski.

Witkowa przytaknęła.

– Ilu ich było?

Organiścina zastanawiała się chwilę, po czym uniosła do góry cztery palce.

– Byli razem?

Przeczenie.

– Wchodzili do kościoła?

Znów przeczenie.

– Więc nie widziała pani nikogo wchodzącego do kościoła lub manipulującego przy drzwiach?

Witkowa zaprzeczyła.

– Tak! To by było wszystko – westchnął ciężko kapitan Osiał – Dziękujemy pani!

Gdy wyszli, kapitan odezwał się do majora Górskiego:

– Trzy osoby przesłuchane i nic. Ładnie się zapowiada.

– Dochodzi osiemnasta. – Major Górski spojrzał na zegarek – Może warto wypowiedzieć porucznika Jarowickiego. Ciekawe, co tam zwojowały te jego orły.

– Proponowałbym przesłuchać jeszcze Witków. To nie potrwa długo, a jeden etap pracy będziemy mieli za sobą.

– Słusznie, kolego kapitanie! Goście mają pierwszeństwo! – zgodził się major Górski.

Rozdział 4

Roman Witek stanowił całkowite przeciwieństwo brata. Raczej niski, krępy, muskularny, o twarzy kanciastej, z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi Ubrany był z wyzywającą

elegancją, w garderobę pochodzenia zagranicznego. Sprawiał wrażenie żalostnej imitacji gangstera z serialu telewizyjnego o Al Capone.

Jego sposób bycia i błąkający się na twarzy ironiczny uśmiezek świadczyły o głębokiej, wierze w potęgę pieniądza, która pozwalała mu lekceważyć wszystkich i wszystko. Nie pytając o pozwolenie odsunął krzesło, szykując się do zajęcia miejsca.

– Zdaje się, że nikt panu nie pozwolił usiąść – powoli, cedząc słowa, powiedział kapitan Osial.

– O, przepraszani! – Ironiczny uśmiezek na twarzy Witka zmienił się w dziwny grymas. – Zdawało mi się...

– To niech się panu więcej nie zdaje. – To już zabrzmiało dość ostro. Ten typ nie podobał się kapitanowi od pierwszej chwili. Drażnił go pewnością siebie, arogancją.

– Przecież nie jestem podejrzany więc proszę...

– Dla nas każdy jest podejrzany, kto znalazł się w pobliżu wypadku – przerwał znów Osial. – Jeśli pan tak bardzo lubi siedzieć, to może pan usiąść.

– Dziękuję! – Witek siadł ostrożnie na brzegu krzesła.

Kapitan z zadowoleniem stwierdził, że jego rozmówca stracił już pewność siebie. Jego oczka biegały niespokojnie, starając się unikać wzroku oficerów.

– Pańskie dane personalne, proszę.

– Roman Witek, lat czterdzieści pięć. Żonaty. Zamieszkały w Warszawie. Prowadzę warsztat mechaniczny.

– Co było powodem przyjazdu pana do Grzybienia?
– Przyjechaliśmy odwiedzić brata. Na jego zaproszenie. Chciałem mu pomóc. Bo jemu się w życiu nie wiodło. A to brat. Zawsze go kochałem. Pomagałem mu. Tak też i teraz chciałem. On pisze takie różne melodie... Znam trochę ludzi z muzycznego środowiska. Bo to widzi pan, reperują u mnie wozy. Zna się tego i owego. Chciałem im pokazać te prace brata. Może by *coś* wydali. Ja się na tym nie znam.

- Dlaczego nie przyjechała pana żona?
- Ktoś musi pilnować interesu.
- Duży jest ten warsztat?
- Nie. Zatrudniam jednego pracownika.
- I ma pan duże dochody?
- Duże, nieduże. Ale wyżyć można.
- Kiedy zauważył pan pożar?
- Obudził nas krzyk brata.
- Co to znaczy, nas?
- To chyba jasne. Mnie i córkę.
- I co pan zrobił?
- Szybko się ubrałem i pobiegłem na ratunek.
- Co pan robił po przybyciu na miejsce pożaru?
- Przy kościele było już trochę ludzi. Organizowali gaszenie. Ustawiliśmy się w szpaler i podawaliśmy kubłami wodę. Za parę minut przyjechała straż pożarna...
- Był pan wewnątrz kościoła?
- Nie. Cały czas pomagałem na zewnątrz.
- Wie pan, gdzie są przechowywane klucze od kościoła?

– Nie, nie wiem... – Witek zawahał się. – To znaczy brat mi mówił, że wiszą gdzieś tu, w przedpokoju. Ale mnie to nie interesowało.

– Dlaczego?

– Po co miałem chodzić do kościoła sam, i to ukradkiem? Szedłem wtedy, gdy był otwarty. Albo razem z bratem.

– Co pan robił przed pożarem?

– Już mówiłem, że spałem. Obudził mnie krzyk brata.

– O której położył się pan spać?

– Może o jedenastej, może trochę później.

– Kto to może poświadczyć?

– Moja córka. Mieszka razem ze mną.

– Nie słyszał pan żadnych hałasów koło kościoła?

– To by było trudne. Okna mojego pokoju wychodzą na przeciwną stronę. Kościół widać z okien mieszkania księdza i mego brata.

– Dziękuję. To wszystko. Jest pan wolny. Kiedy chce pan wyjechać do Warszawy?

– Chyba jutro rano.

– Przed wyjazdem proszę nas o tym poinformować...

Witek zrobił niezgrabne „w tył zwrot” i wyszedł z pokoju. Kapitan Osial dał znak stojącemu w drzwiach funkcjonariuszowi, by wprowadził następnego świadka, Danutę Witek.

Kiedy postyszał trzask zamykanych drzwi, podniósł głowę znad notatek. To, co zobaczył, wstrzymało mu oddech w pierśsiach. Stała przed nim dziewczyna, o jakiej zawsze marzył. Jaką chciał mieć za towarzyszkę swego życia.

Danuta Witek była szczupłą, wysoką blondyną. Jasne włosy tworzyły wokół uroczej buzi złotą aureolę.. Oczy, obramowane pięknymi łukami brwi, były pełne swawolnych blasków, wyrażających radość życia. Zalotnie zadarty nosk dodawał jej uroku. Ubrana sportowo. Delikatna tonacja pastelowych kolorów świetnie harmonizowała z jej urodą. Sprawiała wrażenie chochlika, zwiewnego zjawiska pełnego wdzięku, lekkości i harmonii. Major Górski zaskoczony przedłużającym się milczeniem kapitana chrząknął lekko, ale widząc zachwyty malujący się na jego twarzy przejął akcję w swoje ręce.

– Proszę siadać – wskazał pannie miejsce uprzejmym gestem. – Pani personalia, proszę.

Dziewczyna usiadła, posyłając majorowi pełen wdzięku uśmiech.

– Danuta Witek, urodzona w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku Jestem studentką. Studiuję ekonomię. Mieszkam z rodzicami.

Kapitan Osial ochłonął wreszcie z wrażenia i włączył się do przesłuchania.

– Kiedy zorientowała się pani, że kościół płonie? – zapytał.

– Zbudził mnie krzyk mego stryja...

– O której godzinie zasnęła pani?

– Trudno mi powiedzieć. O dziesiątej się położyłam. Trochę czytałam. Może godzinę, półtorej, potem zasnęłam.

– Czy śpi pani w jednym pomieszczeniu z ojcem?

– Nie! Zajmujemy różne pokoje. Mój stryj ma trzypokojowe mieszkanie. Sam wraz ze stryjenką mieszka w jednym

pokoju, a pozostałe na czas naszego pobytu oddał do naszej dyspozycji.

– Gdyby ojciec pani wychodził w nocy, czy by to pani słyszała?

– O tak! Na pewno.

– Co zrobiła pani, usłyszawszy krzyk stryja?

– Narzuciłam szlafrok i wyszłam zobaczyć, co się stało. Prawie jednocześnie ze mną wyszedł z pokoju ojciec. Zobaczyliśmy, że kościół się pali. Pobiegliśmy na ratunek. Nosiłam wodę i piasek.

– Czy znała pani wartość obrazu wiszącego nad ołtarzem?

– Nie! Nie znam się kompletnie na malarstwie!

– Dlaczego przyjechaliście do Grzybienia?

– Ojciec napisał do stryjka, że ma jakiegoś wydawcę, który pewnie zainteresowałby się jego kompozycjami. W odpowiedzi stryjek nas zaprosił.

Kapitan Osiał drgnął.

Więc zaproszenie zostało sprowokowane? – pomyślał. Przypadek?

– Dziękuję pani. Jest pani wolna.

Dziewczyna podniosła się lekko z krzesła i skinąwszy głową obu oficerom powoli skierowała się do drzwi. Kapitan Osiał nie spuszczał z niej oczu.

– Zrobimy małą przerwę, towarzyszu majorze! – zwrócił się nagle do majora Górskiego i szybko, może trochę za szybko, podszedł do drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Danuta Witek.

Zobaczył ją, jak szła powoli przez ogród, kołysząc zalotnie biodrami. Przyspieszył kroku.

– Przepraszam, czy nie poświęciłaby mi pani trochę czasu? – zapytał niepewnie.

Odwróciła się.

– Och, przestraszył mnie pan! – W jej spojrzeniu było więcej kokieterii niż prawdziwego zdziwienia.

– Naprawdę? Nie chciałem tego – kapitan Osia! był żaźenowany. – Czy pozwoli pani, że przez chwilę dotrzymam jej towarzystwa?

– Ależ proszę bardzo! Czy to będzie dalszy ciąg przesłuchania?

– Nie, skądże! – kapitan zaprzeczył gorliwie. – Prosiłbym panią o chwilę rozmowy czysto prywatnej.

– Zapewne będzie pan mnie prosił o pomoc. Gdyby pani sobie coś przypomniała, gdyby pani zauważyła coś ciekawego, to proszę mnie poinformować. – Próbowwała naśladować jego głos. – Na pewno to mi chciał pan powiedzieć.

– Nie. Po prostu chciałem panią namówić na randkę w tutejszej cukierni...

– A obowiązki służbowe? – zapytała z udaną ironią. – Słyszałam, że jesteście tak zajęci tropieniem przestępców, że nie macie czasu na życie prywatne.

– Dlatego też nie proponuję pani żadnego życia prywatnego, a tylko randkę w kawiarni. – Zorientował się, że mimo dobrych chęci stwierdzenie to wypadło raczej dwuznacznie.

– Właściwie jest tu tak nudno, że nawet randka z oficerem milicji może być atrakcją... – Przyjął złośliwość obojętnie.

– Dobrze! Kiedy? Bo gdzie, wiadomo. Jest tu tylko jedna kawiarnia.

Zaproponował godzinę. Nie wyraziła sprzeciwu. Rozstali się ze słowami: „Do zobaczenia!”

Wrócił do pokoju. Oprócz majora Górskiego był tam również porucznik Jarowicki.

– Myśleliśmy, że pan kapitan zginął już z kretesem... – Roześmiał się na widok wchodzącego major Górski. – Nie dziwiłbym się i wybaczyłbym nieobecność... Pożar kościoła jest na drugim miejscu po pożarze serca...

– Jaki tam pożar serca... – próbował nieśmiało oponować Osial. – Po prostu ładna dziewczyna. I to wszystko.

– W zupełności rozumiemy. Dlatego posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia porucznik Jarowicki. Im szybciej skończymy, tym lepiej. Bo randka czeka...

– Jest coś ciekawego? – kapitan Osial zwrócił się do Jarowickiego, by przerwać docinki majora.

– To się okaże w późniejszej fazie. Na razie wiem, że zaraz po pożarze opuściło hotel dwu mężczyzn. Tu są ich adresy wypisane z kart meldunkowych – porucznik położył przed majorem Górskim zapisaną kartkę. – Z tego, co udało nam się ustalić w mieszkaniach prywatnych, Grzybień opuściła dziś rano jedna rodzina. Adres jest też zapisany na tej kartce... Ale ja wątpię, by mieli oni coś wspólnego z pożarem. Zdawaliby sobie sprawę, że ich nagły wyjazd wzbudzi nasze zainteresowanie.

– Ocenę pozostawcie nam, poruczniku – zachnął się major

Górski. – To już wszystko? Bo jeśli tak, to zbyt wiele materiału nie zdobyliście.

– Gdybym majorowi przyniósł tu na rękach podpalaczy, to i tak major powiedziałby: „tak mało zrobiliście”. – Porucznik Jarowicki roześmiał się głośno.

– Jarowicki! Nie jesteśmy sami. Więc bez krytyki przełożonego, dobrze? Starszy stopniem ma zawsze rację. – Major Górski pogroził palcem porucznikowi.

– Tak jest, obywatelu majorze! – służbiście wyrecytował Jarowicki.

Kapitan Osial nie słuchał tych żartów. Zajął się przeglądaniem wyników ekspertyz, dostarczonych przez porucznika Sułkowskiego. Wyniki badań dotyczących przyczyn pożaru już znał. Przerzucał je szybko. Było tego kilkanaście stron, zapisanych gęsto maszynowym pismem. Do tego zdjęcia, szkice terenu. Na samym spodzie leżało jeszcze kilka arkuszy. Dotyczyły badań śladów samochodu Żuk.

Żuk? Gdzieś już słyszałem o Żuku? – Kapitan Osial wyteżał pamięć, by sobie przypomnieć, kiedy to i kto wspomniał o samochodzie te; marki.

– Obywatelu majorze! Czy mogę zwolnić już tego świadka? – doszedł do niego głos porucznika Jarowickiego.

– Jakiego świadka?

– No, tego od Żuka.

– Zapisaliście dane i adres? To zwolnić! Nie trzymać ludzi bez potrzeby!

Kapitan Osiał skoczył jak oparzony.

– Dawać go tu, tylko szybko! To świadek na wagę złota!
– Co się wam stało, kapitanie? O co chodzi? – major Górski był zdziwiony reakcją Osiała.

– Towarzyszu majorze, przypominacie sobie, co mówił o śladach kół i odpryskach kierunkowskazu, porucznik z laboratorium kryminalistyki? – Osiał prawie krzyczał.

Major Górski zastanowił się:

– Coś ten Sułkowski wspominał o samochodzie...
– Proszę zobaczyć, co nasi specje o tym napisali. – Osiał podsunął majorowi zapisane arkusze.

Zaczęli razem czytać ważniejsze fragmenty:

Na poboczu drogi widoczne były nieco wgłębione ślady bieżników opon samochodowych, skręcające łagodnym łukiem z pobocza na jezdnię. Ślady sfotografowano. Ustalono, że pozostawione zostały przez opony bliźniacze o tym samym wzorze...

Zabezpieczono drobne odpryski lakieru i bańkę ze stłuczonej żarówki samochodowej...

Znaleziono kawałki antykorozyjnej powłoki chromowej...

Przepuszczając przed sobą młodego, wyglądającego najwyżej na osiemnaście lat chłopaka wszedł do pokoju kapral milicji.

– Pochwalcie się, Kon, waszą zdobyczą! – Porucznik Jarowicki nie ukrywał zadowolenia.

Kapral Kon, szczupły blondynek o dziewczęcej twarzy, wydawał się niewiele starszy od swej „zdobyczy”.

– Melduję, obywatelu majorze, że ten tu obywatel wdział w nocy na szosie do Warszawy pędzącego szybko Żuka.

Major Górski podbiegł do młodego człowieka stojącego obok Kona.

– Siadaj, kochany mój! I opowiadaj, co wiesz o tym Żuku. – Głos majora był po prostu pieszczotliwy. – Jak to było?

Chłopak ubrany w obcisłe, niemożliwie powycierane dżinsy i koszulkę gimnastyczną, wymalowaną ręcznie w olbrzymie koła, siadł na brzeżku krzesła.

– Ja tu jestem formalnie z rodzicami na wakacjach. Wraciałem właśnie do Grzybienia z tego obozu harcerskiego, na tej polanie przy jeziorze. Z potańcówki, formalnie...

– Która to była godzina?

– Tak formalnie, to nie wiem. Ale chyba około wpół do pierwszej. Może kilkanaście minut po pierwszej...

– Sam byłeś?

– No, nie! Nie sam – chłopak mówił powoli, z ociąganiem.

– A z kim?

– Z jedną dziewczyną... Sąsiadką... Formalnie...

– Aha! I miałeś czas rozglądać się po szosie? Bo ja, gdy byłem sam z dziewczyną, nie interesowałem się niczym innym. – Major Górski starał się zrobić na chłopaku wrażenie

„swojego człowieka”.

– No niby tak, formalnie. Ale ten Żuk wyskoczył z za-
krętu jak zwariowany. Tylko zapisać opyny. Dlatego spoj-
rzałem...

– I co zobaczyłeś?

– Niewiele. Przeleciał jak szatan. Był koloru beżowego.
Taka kawa z mlekiem. Prawy reflektorek formalnie nie świe-
cił. Nie zdążyłem dobrze zobaczyć numeru, bo tam zaraz jest
zjazd w dół. Wóz zniknął formalnie za pagórkiem. A numer to
na pewno WG i później sześć albo osiem, a dalej nie zauważy-
łem.

– WG sześć albo osiem, powiadasz – przeciągle powtó-
rzył major. – Więc Warszawa-Mokotów. To już coś... – Ude-
rzył otwartą dłoń w stół. – Dziękujemy ci za cenne dla nas
informacje.

Major Górski podszedł do wstającego chłopaka i uściśnął
mu rękę.

– A Kona do premii! – warknął w stronę porucznika Ja-
rowickiego.

– Tak jest! – prawie krzyknął Jarowicki. – A te trzy adre-
sy?

– Jakie adresy? – major Górski nie zrozumiał pytania.

– Te trzy osoby, które wyjechały zaraz po pożarze...

– Aha! Dobrze. Skąd one są?

– Dwaj z Warszawy, jeden z Kielc...

– Dać do stołecznej i wojewódzkiej w Kielcach telefo-
nogramy. Niech sprawdzą, co to za jedni... A Warszawa niech

ustali jeszcze tego Żuka. – Major Górski podszedł do Osiała.

– Na dziś koniec. Nie mamy tu już nic do roboty. Dobrej nocy i życzę przyjemnej randki. – Roześmiał się.

*

Kapitan Osiał szedł powoli w stronę kawiarni. Z rozkoszą wdychał świeże, nasiąknięte zapachem kwiatów powietrze.

W kawiarni było raczej pusto. Zajął stolik naprzeciwko wejścia. Jak spod ziemi wyrosła przy nim kelnerka. Zamówił sok. Pił powoli, nie spuszczać oczu z drzwi. Każde ich skrzypnięcie powodowało wzmożone bicie serca. Tak minęło dziesięć minut. Dla niego były to godziny. Wreszcie do kawiarni weszła Ona. Zerwał się z miejsca, wyszedł jej na spotkanie.

– Cieszę się! Naprawdę cieszę się, że panią znów widzę...
– jękał się jak sztubak.

Danuta Witek, wdzięcznie się uśmiechając, obserwowała go spod przymkniętych powiek. Zajęli miejsca przy stoliku.

– Na co ma pani ochotę?
– Małą czarną... I może sok z czarnej porzeczki...
– Może wino lub koniak? – zaproponował niepewnie.
– Nie. Z dwu powodów. Po pierwsze nie lubię pić alkoholu w taki upał, a po drugie przy spotkaniu z milicją trzeba być trzeźwą...

Zamówił kawę i dla siebie. Przez chwilę siedzieli milcząc.

– Czekam na pytania – odezwała się.
– Nie będziemy rozmawiali o pożarze. Na razie mam go dosyć.

– Zapewne będzie pan chciał dowiedzieć się czegoś o mnie? Co robię? Jak mi się układa życie? Czy miałam trudne dzieciństwo?

Kapitan Osiał milczał. Gdy Danuta skończyła, podniósł głowę i patrząc jej w oczy zapytał:

– Dlaczego pani sobie ze mnie, kpi? Przecież ja widzę, że pani złośliwość jest poza. Taka kobieta, jak pani, nie może być zła. Proszę mi powiedzieć, skąd w pani tyle żalu i złości. – Przerwał trochę przestraszony własną śmiałością.

Danuta Witek nie spuszczała z niego oczu. Sprawiała wrażenie przejętej jego słowami. Że tak było w istocie, przekonał się po chwili.

– Przepraszam pana. Ale ten pożar... Brałam udział w jego gaszeniu. Przesłuchanie... Zdaję sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy podejrzani. To mnie zupełnie wytrąciło z równowagi. Muszę się przyznać, że nie miałam chęci na to dzisiejsze spotkanie. Chciałam być sama. Stąd ta złośliwość.

– Rozumiem. Nie gniewam się. Ja też jestem trochę zmęczony tą sprawą. W dodatku upał... Ale gdy panią zobaczyłem... Musiałem się z panią zobaczyć. Pani jest uosobieniem moich wyobrażeń o ideale kobiety. Dlatego, jeśli mi będzie wolno, chciałbym utrzymać tę znajomość również w Warszawie.

– To będzie zależało wyłącznie od pana. Jeśli potrafi pan być interesujący. Bo ja jestem bardzo rozkapryszona i złośliwa.

– Z tym pogodnym uśmiechem? Z tymi zwinnymi,

energicznymi ruchami? Niech pani nie robi z siebie zgorzkniałej osoby. To nie pasuje do całości...

– A jednak... Mam powody... Marzyłam zawsze o archeologii. O dalekich wyprawach, o fantastycznych odkryciach. I co? Nie dostałam się. Oblałam egzamin. Po roku spróbowałam w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. Tam się udało. Ale to mnie nie interesuje. Dla mnie ekonomia była zawsze czarną magią. Tak jak wróżenie z kart.

– W takim razie powinna pani zrezygnować ze studiów. Jest pani taka młoda.

– Właśnie to zrobiłam. Pomagam ojcu w prowadzeniu warsztatu...

– Więc jednak studia się przydały?

– Gdyby ojciec prowadził warsztat według reguł, wykładanych na tej uczelni, dawno zbankrutowałby.

– No, nie jest tak źle. Nasi ekonomiści cieszą się dobrą opinią za granicą... Ale pani marzenia w pewnej części się spełniły. Marzyła pani o podróżach jako archeolog. Dzięki warsztatowi może pani podróżować jako turystka.

– Przemówił przez pana zwykły „glina”.

– Przepraszam. Nie chciałem być złośliwy.

– A skąd pan się wziął w milicji? Spełnione, czy niespełnione marzenia?

– Spełnione... Mieszkaliśmy naprzeciwko komendy wojewódzkiej MO na Pradze. Jako mały chłopak interesowałem się, jak każdy w moim wieku, bronią, mundurem, odznaczeniami. Miałem wśród funkcjonariuszy tej komendy wielu

znajomych. Wpuszczali mnie do radiowozu, pokazywali odznaczenia. Mówili o swych walkach w partyzantce. Podobali mi się. Dlatego po skończeniu podstawówki zgłosiłem się do kadr MO. Zaproponowano mi dalszą naukę. Poszedłem do szkoły podoficerów, a potem oficerów MO. Jestem z pracy zadowolony. To ciekawa praca.

– No to mamy chociaż jednego zadowolonego w towarzystwie. W wyniku ankiety personalnej otrzymaliśmy w ten sposób pięćdziesiąt procent zadowolonych z pracy i pięćdziesiąt procent niezadowolonych.

Roześmieli się oboje. Kapitan Osiał zaproponował spacer. Szli powoli w stronę plebanii. W pewnym momencie ręce ich spotkały się. Gdy kapitan Osiał ujmował jej dłoń w swoją, Danuta nie cofnęła ręki.

Rozdział 5

Kapitan pożegnał się z majorem Górskim. Wracał do Warszawy. Tu, w Grzybieniu, nie miał już nic do roboty. Wszystko wskazywało na to, że obraz został z miasta wywieziony.

Rano telefonował z Warszawy szef.

– Nie macie po co siedzieć dłużej w Grzybieniu. Zajmiecie się poszukiwaniami i przesłuchaniem sprawców na terenie Warszawy. Po powrocie zameldujecie się u mnie. Otrzymacie dalsze polecenia. Każda minuta jest droga. Musimy uniemożliwić wywiezienie obrazu z Polski.

Chciał pożegnać się z Danutą, ale nie było jej w domu. Poszła na plażę. Zrezygnował z poszukiwań, tym bardziej że miał jej warszawski adres i numer telefonu.

Im bliżej Warszawy, tym coraz bardziej tęsknił za Grzybieniem. Za piękną okolicą i za Danutą. W myślach widział siebie i ją przemierzających pola i łąki Grzybienia. Uśmiechnął się do wspomnień z ostatniego spotkania. Ale oto i stolica. Wjechał w rozedrgane ciepłym miasto, poczuł gryzący zapach roztopionego asfaltu. Dopiero na Mokotowie, wśród zieleni, było nieco chłodniej.

Zaparkował Fiata przy Broniwoja, przed komendą Wszedł do chłodnego holu, wyłożonego boazerią, i nie spiesząc się zaczął wchodzić po schodach. Na korytarzu słychać było donośny głos oficera dyżurnego, który nie mógł nawiązać kontaktu z Zieloną Górą. Zza otwartych drzwi rozbrzmiewało co chwila:

– Halo! Zielona Góra! Słyszysz mnie! Halo!

Kapitan zajrzał do pokoju, skinął ręką koledze i podszedł do następnych drzwi z napisem: „Dyrektor Biura Dochodzeniowo-Śledczego – Sekretariat”.

Dyrektor, pułkownik Wroński, przyjął go natychmiast, wskazał miejsce w fotelu i przystąpił do rzeczy. Kapitan Osiał wiedział, że musi uzbroid się w cierpliwość. Znał dyrektora, wiedział, jak skrupulatny jest i dociekliwy, cenił go za to i poważał, ale spraw służbowych załatwiać z nim nie lubił. Pułkownik, nim przystąpił do omówienia konkretnych posunięć,

musiał zawsze wyjaśnić delikwentowi wszystkie szczegóły, jakby on nigdy nie słyszał o sprawie i nic na jej temat nie wiedział.

Teraz było podobnie. Szef wygłaszał dłuższy wykład na temat zabytków i obrazów starych mistrzów włoskich, mówił o ich wartości materialnej, wspominał o ich znaczeniu dla kultury narodowej, a Osial czuł, że oczy zamykają mu się coraz częściej, a głowa dziwnie ciąży ku chłodnej powierzchni biurka.

Po półgodzinnej mowie pułkownik stwierdził, że trzeba się brać do roboty ostro, by sprawę jak najszybciej zakończyć, i nareszcie przystąpił do konkretów.

– Że obraz został skradziony, to sprawa oczywista – pułkownik zaczął reasumować fakty. – Dowodem niezbitym jest wycięcie płótna z ram. Kto ukraść? Na pewno nie ten pacykarz Grosz. Jeśliby się porwał na taką imprezę, nie zostawiłby księdzu swej wizytówki. Mogłaby to być któraś z tych trzech osób, które wyjechały z Grzybienia natychmiast po pożarze. Ale przestępca zdawał sobie sprawę, że nagły wyjazd wzbudzi podejrzenia. Chyba nie zdecydowałby się na taki krok. Mimo wszystko trzeba to sprawdzić. Zastanawia mnie brak śladów mechoskopijnych na zamkach. Kościół otwarto więc kluczami. To by eliminowało osoby postronne. Mieszkańcy plebanii? Organista? Z waszej relacji wynika, że to trochę dziwak, ale uczciwy. Jego rodzina? Może być. Ten Roman Witek waszym zdaniem to typ bez skrupułów. Twierdzicie, że jego córka nie mogłaby tego zrobić. Ona twierdzi, że ojciec był

obok, w pokoju. Towarzyszu Osiał! Nie kierujcie się sercem! Nie bierzcie za pewnik oświadczeń tej Danuty Witek. To samo dotyczy organisty. Pamiętajcie, że najwięksi aferzyści mają twarze aniołów. Mimo to nie mamy na razie żadnego dowodu, że to ktoś z nich. W jakim celu ukradziono? By sprzedać w kraju? Za duże wydatki, za mały zysk. Wycięcie obrazu, podpalenie kościoła. U nas nikt tego nie kupi, chyba że za grosze. To modne za granicą. Może to ten Włoch. Ale nic o nim nie wiemy. Można go odszukać. Lecz to wymaga czasu. Dobrze! Zaczynamy więc od sprawdzenia osób, których adresy znamy. Niech dyżurny odszuka w Wydziale Ruchu Żuka, widzianego w Grzybieniu. To by było wszystko na dziś. Dziękuję wam, kapitanie, i do zobaczenia jutro, powiedzmy o dwunastej.

Idąc korytarzem kapitan Osiał poczuł, że jest głodny. Wstąpił do oficera dyżurnego, zostawił mu na biurku wszystkie dane dotyczące Żuka i szybko zbiegł po schodach do piwnicy, gdzie mieściła się stołówka komendy. Jedząc nieco suchy twarożek i popijając go herbatą układał plan działania na dzień dzisiejszy. Przede wszystkim postanowił odwiedzić Grosza i jednego z gości hotelowych, który zaraz po pożarze opuścił Grzybień.

*

Dom przy ulicy Grzybowskiej 48 sprawiał przygnębiające wrażenie. Stary, odrapany, brudny. Jego żalosną brzydotę podkreślały wznoszące się dokoła jasne masywy bloków

osiedla Za Żelazną Bramą.

Z ciemnej wnęki bramy, do której wszedł Osial, buchnęło stęchlizną. Minął ją szybko, starając się nie oddychać. Wszedł na mroczne, wilgotne podwórze, obudowane z czterech stron masywami brudnych ścian.

Przy klatce schodowej zobaczył tabliczkę z napisem: „Jan Grosz – pracownia artystyczna”.

Lokal zajmowany przez „artystę” znajdował się na parterze. Kapitan Osial nacisnął klamkę i wszedł do przedpokoju. Przez otwarte drzwi zobaczył wiszące na ścianach ramy, obrazy, listwy. Przy dużym stole kręcił się jakiś młody chłopak, zajęty oprawianiem obrazu.

– Pan Grosz? – krzyknął od progu.

Z bocznych drzwi wychylił się mężczyzna lat może trzydziestu pięciu.

– Proszę? – zapytał opryskliwie, mierząc kapitana krytycznym spojrzeniem.

– Ja do pana Grosza...

– To ja. Proszę. O co chodzi?

– Chciałbym z panem porozmawiać... – kapitan pokazał jednocześnie legitymację służbową.

– Proszę. Tu będzie najlepiej... – Grosz cofnął się, przepuszczając przed sobą Osiala.

Weszli do sporego pomieszczenia podzielonego na dwie części gustownym przepierzeniem. W jednej z nich znajdowała się kuchnia, druga stanowiła przyjemną alkowę, w której stał tapczan, stół, krzesła i oszklona biblioteczka. Na ścianach

wisiały stare ikony i jakiś zapewne wartościowy obraz. Zajęli miejsca.

– Słucham pana? – Grosz był teraz prawie uprzejmy. Zachowywał się tak, jakby kapitan przyszedł w sprawie porady fachowej.

– Niech mi pan powie, co pan właściwie robi?

– Tego mógł się pan dowiedzieć w cechu rzemiosł.

– Ale ja lubię bezpośrednie rozmowy,

– Proszę bardzo! Pracuję... Zarabiam na życie...

– W jaki sposób?

– Sprzedaję kopie obrazów starych mistrzów. Zajmuję się również razem z kolegą renowacją dzieł sztuki...

– Skąd pan ma kopie?

– Proszę pana, nie lubię gry nieuczciwej. Niech pan mi najpierw powie, co jest grane, a ja panu powiem to, co pana interesuje. Nie mam nic do ukrywania.

Kapitanowi Osiałowi spodobał się ten młody człowiek.

– Dobrze. Był pan niedawno w Grzybieniu. Interesował się pan starym, zabytkowym kościołem. W tym kościele był również obraz, który wzbudził pana zainteresowanie. Może mi pan powie, dlaczego znalazł się pan w Grzybieniu i skąd to zainteresowanie obrazem?

– To proste. Każdego roku odwiedzamy z kolegą po trzy województwa. Ostatnio mnie przypadło między innymi województwo olsztyńskie. Stąd wizyta w Grzybieniu. A dlaczego zainteresował mnie ten obraz? Ja, jak zresztą i mój wspólnik, jesteśmy absolwentami Akademii Sztuk Plastycznych.

Widząc, jak niszczej \acute dzieła sztuki, a szczególnie d \acute ugo nie konserwowane obrazy, podj \acute eli \acute my trud ratowania tego, co jest mo \acute liwe. Je \acute dzimy po Polsce, szukamy starych, wartosciowych malowide \acute . Odnawiamy je, konserwujemy. To jednak nie wystarcza na \acute ycie. Gdyby \acute my chcieli bra \acute op \acute aty, r \acute ownowa \acute ące nasz czas za t \acute prac \acute , w \acute asciciele nigdy by si \acute nie zgodzili na wykonanie zabieg \acute w konserwatorskich. Dlatego zarabiamy, sprzedaj \acute c jednocze \acute nie kopie starych mistrz \acute w, a nawet, co mamy sobie za z \acute e, jakie \acute s oleodruki. Ale ludzie to kupuj \acute . Kopie za \acute robi \acute nam nasi koledzy z orygina \acute ow w muzeach lub z reprodukcji. Oprawiamy je i sprzedajemy...

– Nie odpowiedzia \acute mi pan na drugie pytanie. Dlaczego interesowa \acute pana obraz w ko \acute sciele grzybienieckim?

– Przecie \acute z to wynika z tego, co powiedzia \acute em. Interesuj \acute si \acute starymi obrazami. Chc \acute je uratowa \acute przed zniszczeniem...

– A je \acute li kto \acute s nie zna wartosci obrazu i chce go sprzeda \acute ?

– Kontaktuj \acute go z „Des \acute ” lub muzeum. Prosz \acute , tu s \acute nazwiska i telefony przedstawicieli tych instytucji – Grosz si \acute gn \acute po le \acute aj \acute cy na stole notatnik. – Zawsze ich zawiadamiam o czym \acute s interesuj \acute acym...

– A sam pan nie handluje? Mo \acute na przecie \acute z kupi \acute za bezcen, a sprzeda \acute za grub \acute got \acute wk \acute ...

– Mo \acute na. Ale ja chc \acute \acute yc w zgodzie z prawem. Obrazy s \acute moj \acute mi \acute o \acute sci \acute . O mi \acute o \acute sc si \acute dba, ale si \acute ni \acute nie handluje. Pienia \acute dz to nie wszystko...

- Ma pan samochód?
- Mam. Trochę już wysłużoną Syrenkę. Ona mi wystarcza. Dowiezie mnie do najbardziej zapadłej mieściny.
- A co pan robił dwudziestego siódmego lipca? Gdzie pan był?
- Proszę pana! Znow nie chce mi pan wyjaśnić, o co chodzi w tym interesie?
- Dowie się pan. Najpierw proszę odpowiedzieć na moje pytanie.
- Dwudziestego siódmego lipca? Zaraz sprawdzę... – Grosz otworzył gruby, podniszczony terminarz. – Dwudziestego siódmego lipca. Już mam. Byłem w „Desie” na placu Konstytucji. Omawiałem sprawę odświeżenia trochę podniszczonego obrazu. Bo, jak już panu mówiłem, z „Desą” jestem w stałym kontakcie.
- Jednym słowem alibi na ten dzień ma pan murowane. Dziękuję panu. – Kapitan Osiał szykował się do wyjścia. – To by było wszystko... Życzę dalszych sukcesów w ratowaniu dzieł sztuki.
- Ale panie! – Grosz chwycił Osiała za rękaw marynarki.
- Nie powiedział mi pan, o co chodzi?
- Podpalono kościół w Grzybieniu. Dla zatarcia śladów kradzieży obrazu...
- O cholera! Taki obraz! Barbarzyńcy! – z oburzeniem wykrzyknął Grosz.
- Po chwili zaczął mówić. Bardzo szybko. Był wyraźnie podekscytowany.

– Dzieła sztuki, które przetrwały setki lat... Ludzie narażali życie, by je ocalić. A teraz przyjdzie taki dureń i zniszczy. Jak łatwo zniszczyć! Ukradli obraz! Ale po co jeszcze pała kościół? Zatrzeć ślady! I tak śladów nie zatrą... Jak przewiozą obraz? On miał prawie półtora metra na dwa i pół. Do tego malowany w piętnastym wieku. Grubo nałożona farba utwardzona białkiem. To już nie było płótno. To była deska. Jeśli spróbują obraz zwinąć, zniszczą go. A przewieźć na płask? To nie tak łatwo. W kraju go nie zostawią. U nas nikt takiego obrazu nie kupi. Jeśli podpalili kościół, to musi to być gruba robota za ciężkie pieniądze. Tylko na przerzut za granicę... – Grosz przerwał. Oddychał ciężko, jak po dużym wysiłku fizycznym.

- Mówi pan, że muszą wieźć na płask? – spytał Osial.
- Tylko! Jeśli zwiną w rulon, zniszczą zupełnie.
- To jest coś! – Osial zaczął szykować się do wyjścia.
- Proszę pana! Gdyby potrzebował pan pomocy w tej sprawie, to jestem do pana dyspozycji. Chciałbym dostać w swoje ręce tych łobuzów... – Grosz mówił już spokojniej.
- Dziękuję panu! Myślę, że jeszcze nieraz zasięgnę pana rady.

Kapitan szedł Grzybowską w stronę Marchlewskiego. Tu na rogu Świerczewskiego wsiadł do tramwaju jadącego w stronę Woli. Jeszcze raz spojrzął do notesu, by przypomnieć sobie adres jednego z trzech obywateli, którzy opuścili Grzybień natychmiast po pożarze. Jan Starzyk, ulica Syreny.

Drzwi otworzyła kobieta po czterdziestce. Ależ zaniedbana – pomyślał kapitan.

– Czy zastałem pana Starzyka?

– Tak, mąż jest w domu. – Drzwi otworzyły się szeroko.

– A pan w jakiej sprawie?

– Osobistej...

– Jasiu! Do ciebie!

W drzwiach pokoju ukazał się starszy, elegancki pan.

– Proszę? W jakiej sprawie? – zapytał z wyraźną niechęcią w głosie.

Kapitan Osiał wyjął legitymację. Starzyk był zaskoczony.

– Proszę, niech pan pozwoli do pokoju. Co się stało, bo ja z milicją nie miałem nigdy nic wspólnego... – zaczął bąkać gospodarz. Pani Starzykowa obrzuciła Osiala wzrokiem pełnym dezaprobaty.

Weszli do pokoju. Panował w nim rzucający się w oczy nieład. Na krzeselkach poniewierały się jakieś części garderoby. Meble zakurzone. Starzyk zamknął za sobą starannie drzwi.

– Słucham pana... Ale ja naprawdę nic nie zrobiłem... Nie awanturowałem się, niczego nie ukradłem – paplał bez przerwy. – A, a! Już wiem! Na pewno jakieś drobne wykroczenie drogowe. Bo ja mam samochód od niedawna. Jeżdżę jeszcze niepewnie...

– Gdzie pan był dwudziestego siódmego lipca? – Osiał przerwał bezceremonialnie.

– Dwudziestego siódmego lipca? Dwa dni temu? – Szeroko otwarte oczy Starzyka znieruchomiały, jakby coś zatkało mu tchawicę. Policzki oblał mu rumieniec. Nachylił się gwałtownie do kapitana i zaczął mówić szeptem: – Panie, błagam pana, tylko ciszej. Wszystko powiem. Tylko ciszej. Żeby żona nie słyszała.

– Dobrze! – Osiał zniżył głos do szeptu. – Więc co pan robił dwudziestego siódmego lipca?

– Byłem w miejscowości Grzybień.

– Co to za tajemnica, że musimy mówić o tym szeptem?

– Bo ja nie byłem sam.

– A z kim?

– Z jedną panią! Tylko, błagam, cii... – przyłożył palec do ust.

– Pożar kościoła pan widział?

– Widziałem.

– Dlaczego wyjechał pan zaraz po pożarze?

– Bo baliśmy się, że zrobi się z tego wielki szum. A w naszej sytuacji lepiej być z dala od wszelkich głośnych wydarzeń.

– Jaki pan ma samochód?

– Trabanta. Kupiłem trzy miesiące temu.

– I tym Trabantem wrócił pan do Warszawy?

– Tak.

– A pani?

– Wróciła ze mną.

– Jej nazwisko i adres?

– Wolalbym nie mówić. My naprawdę nie mamy nic wspólnego z tym pożarem...

Drzwi do pokoju otworzyły się. Stała w nich Starzykowa.

– O co tu chodzi, Janku?

– Nic, nic, kochanie! Właśnie w czasie mojej podróży służbowej, z której wróciłem przedwczoraj, wydarzył się wypadek. Byłem świadkiem.

– Nic mi o tym nie mówięś.

– Och, kochanie! Przepraszam cię bardzo, ale to był błahy wypadek. Lekkie stuknięcie. Uważałem, że nie ma o czym mówić.

Starzykowa stała w drzwiach, patrząc podejrzliwie na Osiala, który właśnie zamykał notes i szykował się do wyjścia.

– Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Gdzie pan pracuje?

– W centrali handlu zagranicznego „Poldrew”. Jako starszy radca.

– Dziękuję państwu! To wszystko! – Kapitan Osiał skierował się do wyjścia. – Przepraszam za najście.

– Ach, nie ma za co! Do widzenia panu!

Kapitan szedł powoli w kierunku Świerczewskiego. Był zrezygnowany. Dwa z pięciu śladów urywały się. Przypomniał sobie zeznania świadków. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Wszyscy spali. Żadnych rewelacji. Żadnego punktu zaczepienia. Jeszcze tylko ten przewodnik, ofiarowujący orzełka, pamiętkę z armii Andersa, i ten fanatyczny miłośnik zabytków, Włoch. Trzeba będzie ich poszukać. I Żuk Tylko trzy nitki. A jeśli żadna z nich nie doprowadzi do sprawców?

Rozdział 6

Podpisał listę obecności i wolnym krokiem szedł do swego pokoju. Mechanicznie odpowiedział na pozdrowienie swego kolegi, porucznika Lucińskiego, który kończył właśnie służbę pomocnika oficera dyżurnego.

– Antoś, wejdź do nas. Jest dla ciebie telegram z Kielc. W sprawie Grzybienia.

Skoczył jak oparzony. Szybko przywitał się z oficerem dyżurnym, prawie wyrwał mu z rąk depeşe i zagłębił się w lekturze. Po chwili zrezygowany odłożył kartkę na biurko dyspozytorskie.

Komenda Wojewódzka MO w Kielcach informowała o drugim osobniku z Grzybienia. Był z rodziną. Mieszkał na kwaterze prywatnej. Czyści jak łąka. On – profesor z kieleckiej filii uniwersytetu, ona naczelnik wydziału w urzędzie wojewódzkim. Wyjechali, bo pani naczelnik została wezwana pilnym telefonem z pracy.

Pozostał mu jeszcze trzeci „szybki Bill”. Kapitan Osiał nie przywiązywał do tego spotkania wielkiej wagi. Był przekonany, że skończy się ono tak samo, jak poprzednie. Ale służba nie drużba.

Wyprosił u sekretarki samochód, bo ten ostatni „uciekier” z Grzybienia, o nazwisku Zatorski, mieszkał aż na Pradze, na ulicy Grodzieńskiej. Co za ulica! Nawet kierowca,

sierżant Knysz, chwalcący się przy lada okazji, że jest warszawiakiem z dziada-pradziada, nie bardzo wiedział, gdzie jej szukać.

Wreszcie znaleźli tę krótką uliczkę, jakby zepchniętą na bok, przez ruchliwą Radzymińską. Dom, w którym mieszkał Zatorski, był starym dwupiętrowym budynkiem. Interesujący kapitana lokal znajdował się na pierwszym piętrze od frontu. Kapitan Osiał nacisnął przycisk dzwonka umocowanego w futrynie ciężkich, rzeźbionych dwuskrzydłowych drzwi. Otworzyła mu uśmiechnięta kobieta o miłej powierzchowności.

- Proszę? – zapytała.
- Ja do pana Zatorskiego.
- Męża nie ma. Jest w pracy.
- A o której będzie w domu?
- Wraca przeważnie o piątej. Pracuje w śródmieściu.
- Mógłbym się dowiedzieć, gdzie mąż pracuje?
- No wie pan. Nie mogę każdemu o tym mówić. Właściwie, o co chodzi? Może ja coś załatwię...
- Jestem z milicji – Osiał pokazał legitymację.
- O! Boże! Co z moim mężem? – W oczach kobiety przerażenie.

– Nie, nic! Proszę się nie denerwować. Wszystko w porządku. Chciałbym tylko wyjaśnić pewną sprawę.

Zatorska uspokoiła się.

- Proszę, niech pan wejdzie...

Mieszkanie było dobrze zaprojektowane. Ładne duże pokoje. Wysokość około trzech metrów. Stare, przedwojenne, ciężkie meble. Na ścianach obrazy, świadczące o dobrym guście gospodarzy.

- Czy teraz powie mi pani, gdzie mąż pracuje?
 - Jest zaopatrzeniowcem w spółdzielni produkującej upominki i różne drobiazgi regionalne.
 - W związku ze swą pracą często wyjeżdża?
 - O, tak. Prawie co miesiąc na trzy, cztery dni.
 - Czy w tym tygodniu też był w podróży?
 - Nie! W lipcu i sierpniu nie wyjeżdża. W okresie wakacji trudno o bilet i miejsce w hotelu. Chyba że w wyjątkowej sprawie.
 - Więc ostatnio nigdzie nie wyjeżdżał?
 - Nie. Codziennie wraca po pracy do domu... – Pani Zatorska nie ukrywała zdziwienia.
 - Czy mogę prosić o telefon do miejsca pracy męża?
 - Proszę... – Podała Osiałowi numer. – Tu jest telefon.
- Kapitan Osiał podszedł do stojącego na kredensie aparatu i wybrał podany numer.
- Słucham. Spółdzielnia... – odezwał się w słuchawce kobiecy głos.
 - Dzień dobry pani! Chciałbym rozmawiać z panem Zatorskim.
 - Proszę poczekać chwilę, zaraz pana połączę...
- Kapitan podał mikrotelefon Zatorskiej.
- Pani wytłumaczy mężowi, kim jestem. Będę z nim rozmawiał.
- Wzięła bez słowa słuchawkę.
- Kazik! Dzień dobry, to ja... Nie, nic się nie stało... Słuchaj, jest u mnie pan z milicji, chciał z tobą porozmawiać... Z milicji!... Sam ci powie! Oddaję słuchawkę...
 - Halo, dzień dobry! Mówi kapitan Osiał z Komendy

Głównej. Czy w tych dniach nie wyjeżdżał pan z Warszawy?

– Nie, nie wyjeżdżałem. – W słuchawce odezwał się spokojny, o przyjemnym brzmieniu głos.

– Czy zna pan miejscowość Grzybień w olsztyńskim?

– Grzybień? Nie, nie znam!

– Może mi pan wyjaśni, jakim cudem od dwudziestego trzeciego do dwudziestego ósmego lipca był pan zameldowany w hotelu w Grzybieniu?

– Niemożliwe! – Po tym okrzyku w słuchawce zapanała chwila ciszy. Trwała kilka sekund, nim rozległ się znów głos Zatorskiego. – Już wiem, panie kapitanie! Dwa lata temu byłem służbowo w Białymstoku. Mieszkałem w hotelu. Wtedy zginął mi dowód osobisty. Posądziłem o to swego współlokatora...

– Może mi pan poda dokładną datę?

– W tej chwili. Mam tu gdzieś odpis meldunku złożonego do MO... Muszę poszukać. Już jest! To było piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Mieszkałem w pokoju numer sto trzy.

– Może mi pan podać rysopis współlokatora?

– To będzie trudne... Rozumie pan, tyle czasu...

– Proszę zapisać numer telefonu do mnie do biura. Jeśli przypomni pan sobie jakieś szczegóły, proszę zatelefonować. Sprawa bardzo pilna!

– Dobrze, panie kapitanie! Postaram się załatwić to jak najszybciej!

Kapitan Osia! odłożył słuchawkę. Czyżby ślad? Wrócił do komendy i połączył się z Białymstokiem. Podał oficerowi

dyżurnemu datę pobytu Zatorskiego w mieście oraz numer pokoju hotelowego, który zajmował. Poprosił o szybkie odzyskanie w książce meldunkowej danych dotyczących współlokatora Zatorskiego.

Odłożył mikrotelefon. Oparł głowę na rękach. Był zmęczony i bardzo samotny. Pomyślał o Dance Witek. Piękna dziewczyna, zgrabna, elegancka. Miała w sobie coś, co budziło do niej zaufanie. Pewność, że nie zawiedzie, że można u niej szukać rady i pomocy. To byłaby dobra żona dla niego...

Podniósł słuchawkę i nakręcił numer telefonu Danki.

Po chwili usłyszał kobiecy głos.

– Pani Danka?

– Nie, nie Danka... Jestem jej matką. Słucham...

Poprosił o rozmowę z Danką. Zgłosiła się po kilkunastu sekundach.

– Proszę?

– Pani Danka? To ja, Osial... Ten wstrętny „głina” z Grzybienia... – roześmiał się.

– A, to pan! Witam dzielną władzę! Co tam słyhać w kryminalistyce! Czy sprawa pożaru została już wyjaśniona? – zasypała go lawiną pytań.

– Proszę nie żartować. Chciałbym pani powiedzieć coś bardzo ważnego. Muszę się z panią zobaczyć.

– Domyślam się, że występuje pan obecnie w charakterze podrywacza... I pewnie pan liczył, że się natychmiast z panem umówię?

- Jest pani czarodziejką. Odgaduje pani cudze myśli.
- To niech pan się dowie, że nic z tego...
- Pani Danusiu, czy ma pani w sobie żyłkę kolekcjonerską?
- Chyba tak.
- Co pani zbiera?
- Przede wszystkim biżuterię. I to złotą... – roześmiała się.
- Więc musi pani mieć i złote serce?
- Mam...
- Dlatego nie może pani odmówić mi przyjemności zobaczenia pani.
- Ej, ale z pana dyplomata!
- Mam w zanadrzu jeszcze jeden argument przemawiający „za”...
- Co takiego?
- Proszę mi wymienić zawody swoich adoratorów...
- Mówi pan poważnie?
- Oczywiście, nie mam nastroju do żartów.
- Jest inżynier-architekt, syn badylarza, pracownik handlu zagranicznego, artysta-plastyk – Danką śmiała się perliście.
- A milicjant jest?
- Nie, nie ma!
- Więc widzi pani. Ten brak w kolekcji trzeba jak najszybciej uzupełnić.

- Przekonał mnie pan!
 - Więc kiedy?
 - Może być nawet dziś. Przypuśćmy o siedemnastej. Gdzie? Może w „Bombonierce” na Nowym Mieście?
 - Dobrze! Przyjadę po panią lekkim rydwanem z sześcioma barwnymi motylami w zaprzęgu. – Czuł, jak radość rozsadza mu piersi. Chciało mu się śpiewać i tańczyć.
 - Nie żądam aż takich luksusów. Wystarczy mi taksówka!
 - Do zobaczenia! Będę czekał z niecierpliwością.
- Odłożył słuchawkę. Podniósł ręce do góry, naprężył mięśnie. Trwał tak chwilę radośnie uśmiechnięty. Będzie ją widział! Usłyszy jej głos!
- Ostry dźwięk dzwonka przywołał go do rzeczywistości.
- Kapitan Osiał, słucham?
 - Dzień dobry panu! Tu mówi Zatorski. Ten, któremu ukradziono dowód...
 - Tak, tak! Pamiętam. Miał mi pan podać rysopis współlokatora z pokoju hotelowego.
 - Właśnie w tej sprawie dzwonię. Można podawać?
 - Proszę bardzo! Tylko włączę magnetofon. Słucham.
 - To był blondyn. Lat dwadzieścia osiem, trzydzieści. Szczupły, wysoki. Mojego wzrostu. Metr siedemdziesiąt osiem. I to by było, niestety, wszystko. Rozumie pan: upłynęły już prawie trzy lata... A pamięć jest zawodna.
 - Trudno! Jeśli pan nie pamięta. A może zauważył pan coś charakterystycznego. Jąkał się, utykał, powtarzał ciągle

jakieś słówko, seplenił?

– Nie, nic z tych rzeczy...

– Dziękuję panu! Gdybym jeszcze czegoś od pana potrzebował, pozwolę sobie do pana zatelefonować. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę dzwonić do mnie.

Kapitan Osiał był rozczarowany. Blondyn, lat około 30, szczupły, wzrost metr siedemdziesiąt osiem! Toż musiałby sprawdzić sześć milionów obywateli! Jedyne nadzieje w Białymstoku – pomyślał. Poczłł jednocześnie głłłd. Zszedł do bufetu, zamłłwił sałatkę i herbatę. Gdy wrłłcił do pokoju, zadźwięczał telefon.

– Kapitan Osiał! Słucham!

– Tu oficer dyżurny Komendy Wojewłłdzkiej – Białystok. Kapitan Komiejuk. Towarzysz kapitan pytał o osobnika z hotelu?

– Tak, to ja.

– Podaję informację. 15 stycznia 1972 w pokoju nr 103 byli zameldowani: Kazimierz Zatorski, zamieszkałł Warszawa, ulica Grodzieńska 72 mieszkania 5, i Jan Benczak, rolnik zamieszkałł wieś Wykroty Duże, powiat Suwałki. To wszystko.

– Dziękuję, zanotowałem! Bardzo mi pomogliście w prowadzeniu sprawy!

– Nie ma za co! Źyczę powodzenia!

Kapitan zastanowił się, co byłoby w tej sytuacji lepsze: zlecić przesłuchanie Benczaka funkcjonariuszom z Białego-stoku, czy zrobić to osobiście.

Połączył się z gabinetem szefa. Zreferował krótko swoje plany.

- A macie tu coś do roboty w związku z tą sprawą?
- Czekam na odnalezienie Żuka.
- Więc ten Benczak, to jest na razie jedyna nitką w całej sprawie?.

- Tak, jedyna.

- Pojedźcie tam sami. Ale weźcie wywiadowców z Białegostoku. Nigdy nic nie wiadomo...

Osiadł nie chciał zrezygnować ze spotkania z Danką postanowił więc wyjechać następnego dnia rano. Do końca pracy pozostała mu godzina. Właściwie nie miał już nic do roboty. Wszystkie sprawy bieżące były załatwione. Mógłby pójść do kolegów, porozmawiać o tym i owym. Ale coś go gnębiło. Coś, co nie bardzo pasowało do sprawy. Postanowił porozmawiać jeszcze raz z Zatorskim.

- Przepraszam, że jeszcze raz pana niepokoję – zaczął po uzyskaniu połączenia.

- Ależ proszę bardzo! Jestem do pańskiej dyspozycji! – Zatorski był jak zwykle bardzo uprzejmy.

- Panie Zatorski, jakie wrażenie wywarł na panu ten złodziej hotelowy? Czy to był człowiek kulturalny, obyty w świecie, czy raczej jakiś zwykły cwaniaczek, spryciarz?

- Czy kulturalny, czy nie, pyta pan? Trudno mi powiedzieć. Nie rozmawiałem z nim. Tak na oko sprawiał wrażenie jakiegoś technika, oblatanego robotnika...

- To był raczej mieszkaniec miasta czy wsi?
- Bezsprzecznie gość z miasta! – stwierdził Zatorski.
- Wyklucza pan rolnika lub robotnika rolnego?
- Absolutnie! Jego strój, sposób poruszania się, wygląd zewnętrzny, świadczyły, że to człowiek z miasta. Po tylu latach podróży i stykania się z różnymi ludźmi potrafię te różnice określić bezbłędnie!

- Dziękuję panu, panie Zatorski!

Jego przypuszczenia zostały potwierdzone. Jakoś nie pasował mu ten wieśniak do hotelowego złodzieja. Coraz bardziej intrygowała go ta postać. Coraz spieszniej mu było do tych Wykrotów... Spojrzał na zegarek. Już szesnasta! Powinien się pospieszyć. Nie chciał, żeby Danuta czekała na niego. Popędził do domu, szybko umył się, odświeżył, włożył odświętny garnitur. Mimo że złapał taksówkę, nie udało mu się przybyć do „Bombonierki” przed siedemnastą. Na szczęście jej jeszcze nie było. Zajął stolik na tarasie kawiarni. Nie zdążył dobrze się rozgościć, gdy serce zabiło mu mocniejszym rytmem. Od strony Freta szła powolnym krokiem Danuta Witek. Gdy dochodziła do krawężnika, dojrzała Osiala. Uśmiechnęła się i pokiwała mu ręką. Za chwilę była już przy stoliku. Uścisnęli sobie dłonie. Osial, zarumieniony z wrażenia, starał się wypaść jak najlepiej w roli gospodarza. Gdy zjawiała się kelnerka, zaczął namawiać Danutę na lody, na kremy, na mazagran. W rezultacie skończyło się na mrożonej kawie.

- Jak udała się podróż z Grzybienia?
- Nie była udana. Za gorąco jak na tak długą jazdę. Poza tym byliśmy jeszcze pod wrażeniem pożaru...

– Rozumiem. Tak przez przypadek zepsuła pani sobie resztę urlopu...

– Och! Muszę się panu przyznać, że Grzybień poznałam już jak własną kieszeń. Poza tym męczyły mnie te ciągłe sprzeczki rodzinne...

– Dlaczego więc ojciec pani wybrał się do brata?

– Mówił, że chce mu pomóc. Ale coś mi się zdaje, obywatelu kapitanie, że to jest dalszy ciąg przesłuchania... – roześmiała się.

– Przepraszam! Mam wrażenie, że każde zdanie na temat Grzybienia będzie się pani kojarzyło z przesłuchaniem. Proszę przyjąć do wiadomości, że jestem tu prywatnie. Należy mi się chwila odprężenia, prawda?

– Na zasadzie rewanżu ja zadam panu pytanie. Jak dochodzenie? Posunęło się do przodu?

– Skądże! Drepcemy w miejscu.

– Szkoda mi tego obrazu. Był naprawdę ładny. Z przyjemnością go oglądałam.

– Podczas zeznań mówiła pani, że nie zna się na obrazach, a teraz słyszę tyle uczucia w pani głosie!

– Oburza mnie sam fakt kradzieży obiektu kultu religijnego, abstrahując od jego wartości artystycznej...

Siedzieli już prawie godzinę. Osiał był oczarowany. Zdawało mu się, że zna Danutę od lat. Opowiadał jej o swoim dzieciństwie, o rodzinie, o pracy. Ona słuchała w milczeniu. Od czasu do czasu uśmiech rozjaśniał jej twarz. W końcu opuścili kawiarnię. Szli uliczkami Starego Miasta zabarwionymi

fioletowym światłem. Wziął ją pod rękę Cisza i spokój panujący dokoła wprawiły go w romantyczny nastrój. Tak dobrze nie było mu już od dawna. Nagle wyczuł u nasady czaszki jakiś ucisk. Drganie nerwu. Co to znaczy? Obecność Danki? Nie! To nie to! Coś go denerwowało. Wreszcie obejrzał się. Idący w dali pod ścianami domów młody człowiek zatrzymał się nagle i opuścił głowę, jakby czegoś szukał.

Doszli do postoju taksówek. Osiał podał adres swojej kawalerki. Spojrzał wylężnionymi oczami na towarzyszkę. Jak zareaguje? Danuta sprawiała wrażenie, że nie słyszała adresu.

Rozdział 7

Wóz prowadzony przez kapitana Osiala pędził drogą na Białystok. Całe szczęście, że dzień był dość chłodny. Po nocy spędzonej z Danutą jazda w upale byłaby nie do zniesienia. Zrobił mały postój za Łapami. W przydrożnej kawiarni zjadł kanapkę i wypił filiżankę gorącej kawy. Ruszył dalej. Droga dłużyła się niemiłosiernie. Chciał być jak najszybciej na miejscu. Intrygowała go postać Benczaka, chłopca kradnącego dowody osobiste w hotelu. Poza tym nie posłuchał rady szefa. Nie wziął nikogo z komendy w Białymstoku. Jechał sam.

Zobaczył drogowskaz. „Wykroty Duże 2 km”. Westchnął z ulgą i zjechał z szosy. Fiat podskakiwał na wybojach źle konserwowanej drogi. Kurz wdzierał się do wozu. Mimo to Osiał stwierdził, że okolica jest tu piękna. Za zakrętem drogi; wiodącej między ścianami lasu, dojrzał pierwsze zabudowania

wsi. Jeszcze chwila i zatrzymał się przy gromadce bawiących się na łące dzieciaków. Zapytał o zagrodę Benczaka. Wskazały mu zabudowania położone mniej więcej w środku wsi. Jechał już teraz bardzo wolno, szukając miejsca, w którym mógłby zostawić samochód. Nie znalazłszy żadnej zatoczki wjechał na podwórze i zaparkował wóz pod szczytową ścianą niewielkiego, krytego słomą domu. Rozejrzał się dokoła. Obejście utrzymane było dość schludnie. Nie zauważył nigdzie poniewierających się rupieci. Wszystkie narzędzia ułożone były porządnie pod słomianą wiatą. Całość świadczyła o gospodarności właściciela, choć o nowszych metodach prowadzenia gospodarki nie można było mówić.

Gdy zatrzasnął drzwiczki samochodu, otworzyły się drzwi domu i stanął w nich mężczyzna około pięćdziesiątki. Twarz pooraną zmarszczkami zdobił sumiasty wąs. Ubrany w buty z cholewami, spodnie granatowe i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, stał w drzwiach lustrując przybysza bystrym wzrokiem. Czekał, aż Osiał podejdzie bliżej.

- Dzień dobry panu! Pan Jan Benczak?
- Dzień dobry! Tak, to ja.
- Jestem geodetą z wojewódzkiego wydziału rolnictwa.

Interesuje mnie, jak przebiega u was scalanie gruntów.

- Niech pan spyta sołtysa. On panu wyjaśni dokładnie.
- U sołtysa też będę. Jednak chciałbym porozmawiać z kilkoma gospodarzami, by mieć pełniejszy obraz tego, co się robi.

– Proszę, wejdźcie do izby. – Benczak cofnął się, przepuszczając przed sobą Osiala.

W izbie było czysto i, co najważniejsze, chłodno. Siedli przy stole nakrytym białym, haftowanym obrusem.

– Może mleka? – zapytał Benczak.

– Chętnie!

– Zośka! Podaj panu mleka! – krzyknął Benczak w stronę kuchni.

W drzwiach ukazała się puciołowata, pełna życia gospodyni. Postawiła na stole szklankę i dzbanek z mlekiem, dygnęła śmiesznie i wycofała się szybko do kuchni.

– O scalenie gruntów chodzi, powiada pan... Panie! To długa historia! Mieliśmy już jedno scalenie. Od tego czasu wielu właścicieli grunty sprzedało, inni podzielili między synów i córki swoje działki. Powstała nowa szachownica. Ja gruntu nie dzieliłem, parcel nie sprzedawałem. Mam ich cztery. Ale włączono mnie do scalenia, a mnie scalenie niepotrzebne. Nie zgodzę się na to. Spłaciłem dzieci, gospodarstwo utrzymałem i od swojego nie odstąpię.

– A co załatwił pan w Białymstoku? – Osial zaryzykował strzał w ciemno.

– Nic nie załatwiłem...

– Przecież jeździł pan do Białegostoku. Mógł pan interweniować w radzie narodowej?

– Panie, kto ma czas jeździć do Białegostoku. Stale robota i robota. Nie wie pan, jak to jest na roli?

– Jak to? Nigdy nie był pan w Białymstoku? – Osial stał się nieufny.

– Byłem parę razy. Ostatni raz to chyba trzy, cztery lata temu...

– A w siedemdziesiątym drugim, piętnastego stycznia, był pan w Białymstoku?

Benczak zachnął się:

– Panie! Czegoś się pan czepnął tego Białegostoku? Co to ma wspólnego ze scalaniem? Czy pan aby na pewno geodeta z województwa?

– Na pewno, na pewno! Tylko widzi pan, w naszym wydziale jest odnotowane, że pan Jan Benczak ze wsi Wykroty Duże był u nas w Białymstoku piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku i złożył skargę w związku ze scalaniem gruntów – brnął dalej Osiał, nie bardzo wiedząc, co dalej może z tego wyniknąć.

– Ja?! Nic podobnego. Ani nie byłem, ani skargi nie składałem! – wykrzyknął Benczak, waląc się z całej siły w piersi.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, w czasie którego Benczak zrobił minę, jakby coś sobie przypominał.

– Zaraz, zaraz! Czekaj pan! To mógł mi ktoś zrobić głupi kawał! Bo w siedemdziesiątym pierwszym ukradziono mi dowód osobisty. Złodziej mógł się podszyć pod mnie. Napisał skargę, by władza się do mnie przyczepiła. Że ja jestem przeciwny scalaniu...

Osiał był zaskoczony:

– Skradziono panu dowód? Może pan opowie dokładniej, jak to się stało?

– Zaszedłem kiedyś do gospody w powiecie. Pojechałem kupić to i owo do gospodarstwa, ale nic prawie nie dostałem. Z żalu chciałem sobie trochę wypić. Zamówiłem ćwiartkę i zakąskę. Siedzę i piję, a tu przysiada się do mnie takich dwóch. Niczego sobie z wyglądu. Zapytali grzecznie, czy można. Przy stoliku, jak zwykle, narzekaliśmy na różne kłopoty. Zamówili pół litra. Wypiliśmy. Powiedziałem, że chciałem kupić silnik, a tu w geesie nie ma. Nie dowieźli. Bo ja chciałem skończyć już z kieratem. Koń musi robić co innego. Oni mi na to, że mają silnik. Tylko będzie trochę drożej kosztował. Zgodziłem się. Bo co to, że silnik ma kosztować dwa razy drożej? Dla mnie grunt, że będzie silnik. Powiedzieli, żebym na nich poczekał. Za godzinę będą z powrotem. Są samochodem. Poprosili tylko o zadatek na konto sprzedaży. Ja nie w ciemną bitę. Jaką mam gwarancję, że dostanę silnik, mówię. Dajcie dowody. A oni na to, że dobrze. Ale chcą też mieć gwarancję, że wypłacę im resztę. Dałem im swój dowód. Wrócili po niecałej godzinie. W wozie mieli nowiutki silnik. Nie używany! Prosto z magazynu! Wypiliśmy znów kolejkę. Zaprosiłem ich do siebie, do chałupy. Pojechaliśmy. Oni pierwsi, ja koniem za nimi. Sprawdziliśmy silnik. Działał jak złoto. Żona przygotowała poczęstunek. Wypiliśmy, zwróciłem im dowody, dopłaciłem resztę. Powiedzieli, że za transport nie me wezmą, bo ja się im podobam. No i mnie zmorzyło. Gdy się obudziłem, bytem sam. Robiłem wymówki żonie, że ich puściła na noc, i to jeszcze pijanych. A ona na to, że wcale tacy pijani nie byli. A ten szofer, to tylko pół kieliszka przez cały czas wypił. Przypominałem sobie o dowodzie. Pytam, czy

oddali? Nie, nie oddali. Coś mnie tknęło. Sięgam do portfelu, a on pusty. Jeszcze dwa tysiące powinny mi zostać.

– Zameldował pan na milicji?

– Nie, a kto by po urzędach chodził z takimi sprawami. Zginął dowód, to będzie nowy, a że pieniądze wzięli, pal ich sześć. Jak takim głupi, to straciłem. Ale silnik mam.

– Poznałby pan tych facetów?

– Rozeznam ich w tłumie ludzi. Ale ja do nich żalu nie mam.

– Może pan ich opisać. Jak wyglądali?

– A mogę! Ten kierowca był wysoki, szczupły. Ubrany porządnie. Tylko tak dziwnie. Obcisłe spodnie. Zamiast krawata miał chustkę. Nos miał taki jakby złamany. Usta stale skrzywione. Jak mówił, to jedną stronę ust miał szerszą, a drugą węższą. Włosy miał jasne. Nosił ciemne okulary. Duże, kwadratowe. To mnie trochę denerwowało, bo ja lubię patrzeć ludziom w oczy, jak z nimi rozmawiam. Ten drugi też był w ciemnych okularach. Też wysoki, szczupły. Włosy miał ciemne. Falujące. Ale nie od fryzjera, tylko naturalne. To był zły człowiek. Było w nim coś nieprzyjemnego. Gdy mówił, to tak, jakby szczeakał. Stale rozkazywał temu drugiemu. A tamten się go bał. To było nawet dziwne. Bo normalnie to kierowca rządzi.

– A przypomina pan sobie ich samochód?

– A tak... Przypominam sobie. To był taki mały, półciężarowy.

– Żuk?

– Ja się tam, panie, nie znam na autach.

- A kolor?
- Taka kawa z mlekiem.

Osiat był zadowolony Nareszcie dokładne informacje. Ma dokładny rysopis przestępców. Kółko się zamyka. Porządny chłop, ten Benczak. A on jechał tu z myślą o zatrzymaniu go!

- Może pamięta pan numer tego wozu?
- Co to, to nie, panie! Może bym i zapamiętał, ale byłem już, jak to się mówi, trochę podcięty.

Osiat wyłączył magnetofon kieszonkowy, który miał umocowany pod marynarką.

- No to dziękuję panu za rozmowę. Bardzo mi się przydała Nawet nie wyobraża pan sobie, jak mi pan pomógł...

– Panie! Przecież o tym scalaniu to prawie nic nie powiedziałem. Bo pan więcej o tym dowodzie!

– Nie szkodzi! Teraz mogę panu się przyznać, że jestem oficerem milicji. Interesowali mnie właśnie ci dwaj faceci. – Osiat pokazał legitymację służbową.

- To nie mógł pan od razu?! Po co było grać tę komedię?
- Czasami trzeba, panie Benczak! Nie każdy jest szczery w rozmowie z milicją!

– Ale ja jestem!

– Skąd mogłem o tym wiedzieć? – krzyknął już z samochodu. Nie mógł mu powiedzieć, że jadąc tu był pewien, iż będzie wyjeżdżał razem z Benczakiem. Z aresztowanym Benczakiem.

Dojeżdżając do Suwałk, doszedł do wniosku, że powinien wstąpić do miejscowego geesu. Tylko tu mogli załatwić ten silnik opisani przez Benczaka kombinatorzy. Podjechał pod

sklep, w którym królowała znudzona ekspedientka. Oprócz niej był jeszcze jakiś pracownik, ustawiający na ladzie skrzynki z gwoździami. Osiał podszedł do niego.

– Przepraszam pana bardzo. Mam do pana osobistą sprawę...

– Słucham? – sprzedawca przerwał pracą.

– Szukam już od dłuższego czasu silnika do młockarni. Ale nie mogę nigdzie dostać. Czy u pana nie ma nic odpowiedniego?

– Panie? Silnik! Wie pan, jak to jest z silnikami! – parsknął lekceważąco sprzedawca. – Wszyscy przechodzą na mechanizację. Stu chętnych, a silniki dwa, trzy na miesiąc... Trzeba trafić...

– Gdybym się umówił z panem, że odłoży pan dla mnie jeden z najbliższego transportu? Oczywiście wszystkie koszty związane z zawiadomieniem mnie pokryję. Myślę, że sto wystarczy.

– Coś pan, panie...

– Sto dam na zadatek, a drugie sto przy kupnie.

Sprzedawca spojrział na ekspedientkę. Była zajęta czyszczeniem paznokci

– No dobrze. Akurat mam jeden silnik w magazynie. Zaraz, wypiszę paragon. A te dwie stowy to od razu teraz...

Osiał sięgnął do kieszeni i powoli wyciągnął legitymację służbową. Sprzedawca wyglądał, jakby oś z dużej ryby stanęła mu w gardle.

– Pan pozwoli na zaplecze. Tam skończymy rozmowę. – Osiał pchnął do przodu sprzedawcę, który stał jak sparaliżowany.

Weszli do pokoju kierownika.

– Panie, błagam pana!. Ja to zrobiłem tylko dla pana! Bo mi się pan spodobał. Ja nigdy nie brałem łapówek.

– Niech pan sprawdzi w karcie magazynowej i poda mi dokładne daty sprzedaży silników.

Sprzedawca sięgnął do kartoteki. Wszystko leciało mu z rąk. Nie mógł znaleźć kart z literą „S”. Wreszcie przy pomocy Osiala kartę znaleziono. W dniu, w którym oszuści ubijali interes z Benczakiem, w magazynie znajdowało się 5 silników.

– Przypomina pan sobie dwu mężczyzn, którzy kupili od pana silnik? Przyjechali Żukiem z Warszawy. – Kapitan Osial patrzył w twarz sprzedawcy.

– Tylu tu przewija się klientów, że nie jestem w stanie wszystkich spamiętać.

– Ale silniki kupują tylko nieliczni.

– No, tak – przytaknął sprzedawca. – Kiedy to było?

– Listopad siedemdziesiąty pierwszy – odczytał z karty Osial.

– Przecież to już ponad trzy lata minęły – tłumaczył się sprzedawca.

– Więc nie przypomina pan sobie?

– Nie! Nie przypominam.

Kapitan wziął ze stołu kartkę papieru.

– Spiszemy notatkę służbową. Wasze dane personalne?

Wśród łkań i zapewnień, że to pierwszy i ostatni raz, protokół został spisany.

Gdy dojeżdżał do centrum Warszawy, była już prawie dziewiętnasta. Szybko umył ręce, przebrał się i zatelefonował do Danki. Umówili się na dwudziestą do kina. Później już, po filmie, szli cichymi ulicami miasta trzymając się za ręce. Milczeli.

– Co ze sprawą? Mówiłeś, że byłeś w białostockim w pogoni za przestępcami? – odezwała się w pewnej chwili Danka.

– Aż tam mnie zagnało. Lecz trud się opłacił!

– Dlaczego?

– Bo mam dokładne rysopisy przestępców. Są to ci sami, co ukradli obraz w Grzybieniu.

– Skąd wiesz?

– Jeden z nich mieszkał w grzybienieckim hotelu. Popęłnił ten błąd, że wyjechał zaraz po pożarze kościoła.

– To zakończenie sprawy jest kwestią dni?

– Raczej tak.

Otworzył drzwi swego mieszkania.

– Dlaczego „raczej tak”, a nie tak? – spytała Danka.

– Bo kradzież wartościowego obrazu musi być dobrze zorganizowana. To nie radioodbiornik, który można sprzedać paserowi za litr wódki. To większa akcja. W kraju nikt takiego obrazu nie kupi. Trzeba go wywieźć za granicę. A to już zrobią asy. Asy, które nie kradną. Sami złodzieje, to zwykłe plotki. Nie oni są tu najważniejsi.

– A wiesz już, kto...

Nie pozwolił jej skończyć pytania.

Rozdział 8

Następnego dnia rano otrzymał radosną wiadomość. U oficera dyżurnego znajdowała się notatka dotycząca beżowego Żuka widzianego w okolicy Grzybienia. Meldunek nadeszła Komenda Dzielnicowa Warszawa-Mokotów.

Beżowy Żuk, numer rejestracyjny WG 8372, należał do Zjednoczenia Przedsiębiorstw Spożywczych. Tu następował adres. Osiał zameldował się telefonicznie szefowi, zdał mu relację z wyprawy do Białegostoku, zakomunikował o odnalezieniu Żuka.

– Towarzyszu pułkowniku! By odwrócić uwagę kierowcy od właściwego kierunku poszukiwań, proponuję wyjazd do zjednoczenia z ekipą kontrolną. Sprawdzimy dokumentację przewozową i karty drogowe. W tym czasie technik pochodzi koło samochodu.

– Człowieku! Czy ty wiesz, na jakim świecie żyjesz?! Jak to sobie wyobrażasz! Skąd mamy wziąć taką ekipę?

– Towarzyszu pułkowniku! Czasu mamy mało. Jeśli pojedę sam i zajmę się tylko Żukiem, mogę spłoszyć podejrzanego...

– Tego nie musicie mi tłumaczyć – szef już się nieco uspokoił po pierwszym wybuchu. – Zameldujcie się u mnie za pół godziny. Może uda się coś załatwić.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku! Odmeldowuję się!

Nie przypuszczał, że pół godziny może trwać tak długo. Co chwila spoglądał na zegarek. Ale wskazówki prawie nie poruszyły się. Dźwięk dzwonka telefonu, koniec oczekiwania.

– Osiał? Załatwiłem wam trzech kontrolerów z drogówki. Komendant stołeczny jakoś dał się uprosić. Nasz technik schodzi już na dół. Weźmiecie go ze sobą. Tamtych trzech jest w cywilu. Czekać będą w Fiacie na rogu Marynarskiej i alei Lotników...

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku!

– Jedźcie! Tylko raz, dwa! Będę was potrzebował dziś w biurze! – szef jeszcze nie skończył. – Musimy opracować wytyczne dotyczące dalszej działalności biura. Do referatu komendanta – dodał usprawiedliwiająco.

Osiał wykonał dwa taneczne pas i pomknął po schodach do swego wozu. W holu czekał na niego technik dochodzeniowy. Kapitan przekazał mu opis ekspertyzy Żuka, wykonany przez olsztyńskie laboratorium, by w drodze mógł go przeczytać i wiedzieć, na co zwrócić uwagę.

Jechał na Służewiec, klnąc w duchu te wszystkie niespodziewane polecenia, które odrywają go od konkretnej pracy. Już z daleka zobaczył czekającego na nich Fiata. Zatrzymał się przy nim, w kilku słowach wyjaśnił kontrolerom, jakie zadanie ich czeka, i nie oglądając się na towarzyszący mu samochód pędził dalej. Zaparkował na wprost bramy zjednoczenia.

– Pan do kogo? – Zza portierni wyłonił się strażnik ubrany w coś, co nie było ani mundurem, ani cywilnym ubraniem. Czapka i bluza mundurowe, ale spodnie cywilne. Do tego sandały.

– Guzik przy bluzie macie odpięty – warknął w stronę strażnika. Ten odruchowo wyprężył się i zaczął zapinać nie-szczęśny guzik.

Osiał poszedł w stronę budynku administracyjnego, nie niepokojony przez zaskoczzonego „stróża bezpieczeństwa”. Za nim jak cienie postępowali czterej funkcjonariusze.

– Do dyspozytora kolumny transportowej? – spytał krzątającą się w holu sprzątaczkę.

– A to tu, na parterze. Ostatnie drzwi na prawo – poinformowała kobieta, wskazując kierunek utrzymaną w rękę szczotką.

Osiał wszedł do wskazanego pomieszczenia. Za nim z trudem wcisnęli się pozostali funkcjonariusze. Pokój był niewielki, zastawiony kilkoma szafami i biurkami, na których wały się sterty papierów. Kilka osób, pracujących tutaj, sprawiało wrażenie, że usiłują nawzajem się przekrzyczeć.

W pokoju panował okropny upał i zaduch, zmieszany z dymem tytoniowym. Na wchodzących nikt nie zwrócił uwagi.

– Przepraszam, ja do dyspozytora. – Osiał zwrócił się do siedzącego przy drzwiach urzędnika.

Ten spojrzął na kapitana, jakby zbudził się ze snu.

– Że co?

– Do dyspozytora...

– Rozmawia przez telefon... – Wskazał brodą potężnego mężczyznę.

Osiał poczekał, aż tamten skończy.

– Ja do pana.

– W jakiej sprawie? – spytał opryskliwie dyspozytor.

– Jestem z milicji. Chciałbym porozmawiać na osobności.

Dyspozytor znieruchomiał. Siedział przez chwilę bez ruchu, wpatrując się bacznie w Osiala.

– Proszę, przejdźmy do tego pokoju – pokazał drzwi. – Panie Józwiak! Nie ma mnie dla nikogo! – krzyknął w przestrzeń.

Osial, idąc za dyspozytorem, dał znak funkcjonariuszom, by zaczynali swoją pracę.

Weszli do małej, ciemnej kłitki. Usiedli po obu stronach brudnego biurka.

– Słucham pana?

– Mamy skontrolować dokumentację przewozową waszej bazy.

– Muszę w związku z tym zawiadomić dyrektora. – Głos dyspozytora wyraźnie drżał.

– Nie musicie... My to załatwimy szybko. Mamy nadzieję, że nie znajdziemy nic podejrzanego...

– Na pewno, proszę pana! – skwapliwie przytaknął dyspozytor. – U nas wszystko jest w porządku Staramy się...

– Dobrze! Sprawdzimy to! – przerwał mu Osial – Teraz kilka wyjaśnień.

– Słucham pana. – Oczka dyspozytora stawały się coraz bardziej rozbiegane.

– Czy Żuk numer WG 8372 jest własnością waszego zjednoczenia?

– Tak, to nasz samochód, – Dyspozytor ważył każde słowo.

- Jeździ nim stale jeden kierowca, czy kierowcy zmieniają się?
- Jeden. Chyba że w zastępstwie. Urlop, choroba...
- Nazwisko kierowcy?
- Zygmunt Rudolf.
- Rudolf, to nazwisko?
- Tak.
- Dobrze go pan zna?
- To zależy. Pracuje u nas prawie osiem lat.
- Jaki on jest?
- Jako kierowca?
- Nie, jako człowiek, kolega?
- Można beczkę soli zjeść z człowiekiem, a nie wie się jaki on jest – dyspozytor odpowiedział wymijająco.
- Przecież musi pan coś o nim wiedzieć?
- Nie muszę.
- Jest pan jego przełożonym!
- Panie! Jakbym chciał się każdym zajmować, to życia by nie starczyło.
- Czy Rudolf jest teraz na miejscu?
- Zaraz sprawdzę. – Wcisnął przycisk pulpitu dyspozytorskiego. – Garaż? Rudolf jest, czy ma wyjazd? Jest? W porządku. Niech się nigdzie nie rusza. Będzie mi potrzebny!
- Czy mogę się dowiedzieć, gdzie Rudolf był dwudziestego siódmego lipca?
- Może pan. Zaraz odszukam jego kartę drogową. Bez karty kierowca nie może wyjechać z bazy. – Znów dotknął przycisku aparatu. – Józwiak! Przynieście mi kartę drogową

Rudolfa. Co? Że źle? Już za późno. Daj tę kartę.

Po chwili karta leżała na biurku przed Osialem. Był to druk SM-102, stosowany w całym transporcie samochodowym.

– Widać z niej, że Rudolf miał dwudziestego piątego kursu do Olsztyna. Powrócił do bazy dwudziestego siódmego o godzinie ósmej.

– Jeśli tak jest napisane, to znaczy, że tak było.

– Niech pan spojrzy. – Osiał podsunął dyspozytorowi kartę. – Liczba kilometrów. Widać, że wpisana ołówkiem cyfra została wytarta i w rubrykę wpisano nową długopisem... Mimo potwierdzenia przez usługobiorcę.

Dyspozytor przyglądał się karcie:

– Panie! Ja nie mam czasu sprawdzać wszystkiego! Jest poprawione. Zgoda. Ale o ile mógł poprawić? O pięć, sześć kilometrów? No to co? Co to jest przy trzystu kilometrach? Nie czepiajmy się drobiazgów!

– Jeżeli każdy kierowca dopisze sobie do każdego kursu po parę kilometrów, to w miesiącu uzbiera sobie sporo benzyny!

– Wy to w każdym widzicie podejrzanego. Zgoda! Dopisują sobie. I co ja mam zrobić? Muszę taki stan tolerować. Bo nie im zależy na pracy, tylko przedsiębiorstwu. On pójdzie. Robotę znajdzie wszędzie. I to lepiej płatną. A gdzie ja znajdę nowego kierowcę? Owszem są. Ale tacy, których nikt już nie chce. A mnie dyrekcja nie pyta, dlaczego nie ma ludzi. Ma być zrobione i koniec!

– Dobrze! Niech pan wezwie Rudolfa.

Osiał chciał jak najprędzej skończyć tę beznadziejną

rozmowę. Minęło kilka minut i drzwi Otworzyły się. Stanął w nich Rudolf.

Benczak miał dobre oko – pomyślał z uznaniem Osiał, przyglądając się wchodzącemu i porównując oryginał z podanym przez Bsnczaka opisem.

– Siadajcie, Rudolf! – Dyspozytor wskazał chłopakowi krzesło. – Pan z milicji. Chce ci zadać kilka pytań.

Rudolf drgnął. Dłonie dotychczas rozwarte zacisnęły się nerwowo. Twarz oblał mu lekki rumieniec. Przyglądając się Osiałowi, siadł na brzeжку krzesła.

– Panie dyspozytorze, proszę nas teraz zostawić samych.

Wyszedł bez słowa i Osiał przystąpił natychmiast do przesłuchania Rudolfa.

– Był pan dwudziestego piątego w Olsztynie?

– Byłem...

– Po co pan tam jeździł?

– Wiozłem towar do centrali.

– Jak długo był pan w Olsztynie?

– Jest to odnotowane w karcie. Do dwudziestego siódmego.

– Tyle było roboty z wyładunkiem towaru?

– Przyjechałem tam prawie w południe. Nim załatwiłem sprawy papierkowe, nie opłacało się zaczynać wyładunku. Ludzie musieliby robić po godzinach... Rozładowaliśmy dwudziestego szóstego. W południe wyjechałem. Do Warszawy dotarłem już po godzinach pracy. Podjechałem więc do domu. W pracy stawiłem się dwudziestego siódmego rano.

– Czy to pan poprawił kilometry na karcie?
– Ja. Dyspozytornia wpisała mi ołówkiem liczbę. Ale musiałem jeszcze jeździć po mieście. Nocowałem u kolegi...
Więc poprawiłem.

– Nasz funkcjonariusz zapisał numer pana samochodu, gdyż nie działał prawy kierunkowskaz. Kiedy pan go zbił?

– A! To w Olsztynie! Gdy byłem u kolegi. Za mocno dałem do przodu na parkingu i uderzyłem w słupek...

– Czy to już naprawiono?

– Nie, nie było czasu... Ale ja od tej pory nie wyjeżdżałem na miasto...

– Do Olsztyna i z powrotem jechał pan z konwojentem?

– Nie, byłem sam.

– A ten funkcjonariusz zapisał, że obok pana ktoś siedział?

Rudolf zawahał się.

– Wie pan, jak to jest? Prosił mnie po drodze taki jeden, żeby go podrzucić do Warszawy...

– Gdzie wysiadł?

– Na placu Dzierżyńskiego.

– Jak on wyglądał? Może go pan opisać?

– Ja mu się nie przyglądałem. Patrzyłem przez cały czas na szosę.

– Czy to był ten sam, z którym był pan w Wykrotach Dużych – zaryzykował Osiał.

– Gdzie?! – krzyknął Rudolf.

– W Wykrotach Dużych? – powtórzył obojętnie Osiał.

Widać było, że Rudolf szuka rozpaczliwie jakiejś sensownej

linii obrony. Ręce jego bez przerwy zaciskały się na kolanach. Parę razy wykonał ruch, jakby chciał się zerwać z krzesła. Oczy biegały mu niespokojnie.

– Nie znam takiej miejscowości – wyjąkał wreszcie.

– Jak to? Nie pamięta pan? Przecież to tam sprzedaliście jednemu chłopu silnik... – Czoło Rudolfa zrosił gęsty pot. – Panie Rudolf, widzę, że z pana słaby gracz. Lepiej będzie dla pana, jak się pan przyzna. To chyba jasne. Proszę podać nazwisko swego współtowarzysza. – Milczenie. – Czy zacznie pan wreszcie mówić? – Kapitan zaczął tracić cierpliwość.

– Dobrze! – wybąkał Rudolf.

– Jak to było z kradzieżą dowodów osobistych w hotelach?

– Tamten mi kazał. Za każdy dowód dostawałem tysiąc złotych.

– Co to znaczy „tamten”? Jak się nazywa, gdzie mieszka?

– Nie wiem. Gdy mu dałem pierwszy skradziony dowód, ten z Wykrotów, powiedział, że mogę nazywać go Benczakiem...

– Jak doszło do waszego spotkania?

– Wpadłem kiedyś do „Flisa” na flaki. On usiadł koło mnie. Zaczął rozmowę. Nie pamiętam już nawet, o czym. Nawet chciałem mu powiedzieć, żeby się odczepił, ale podszedł do mnie jakiś pijak. Zaczął mi bełkotać nad uchem, że ja przyzwyczajam się do niego. Że on chce się ze mną napić. Później zaczął palić papierosa. Opędzałem się od niego, ale on stale wracał i bełkotał mi nad głową. Wtedy ten, będąc go nazywał Benczak,

wstał, wziął pijaka za klapy, wyrznął w szczękę i wywlóknął przed bar. Spodobał mi się. Pomyślałem, że dobrze mieć takiego kumpla. Zaimponował mi. I tak się zaczęło. W parę dni po zawarciu znajomości zaproponował mi interes. Miałem przewieźć truskawki od badylarza do sklepu. Kupowaliśmy za grosze, a sprzedawaliśmy z dużym zarobkiem. Tak zrobiliśmy kilka kursów. Później były inne interesy. Przeważnie niewielkie. Ale można było zarobić. Kiedyś miałem kurs do Białegostoku. Pojechał ze mną. Mówił, że ma w okolicy znajomych w sklepie geesu. Będziemy pośredniczyli w sprzedaży silników, bo to wygodniejsze dla sprzedawcy. W czasie jednej z takich transakcji zaproponował, żebyśmy rąbnęli chłopu dowód. Tak zrobiliśmy. Następny ukradłem w hotelu.

- To wszystko?
- Wszystko...
- A jak to było z tym stłuczonym kierunkowskazem?
- Już powiedziałem. Stłukłem na parkingu...
- Na jakim parkingu? – Osiał udał, że nie pamięta.
- W Olsztynie...
- Ach, rzeczywiście! W Olsztynie.

Pukanie do drzwi.

- Proszę! – Osiał nie spuszczał oka z Rudolfa.

Do pokoju wszedł technik dochodzeniowy.

– Obywatelu kapitanie, zakończyłem już pracę przy Żuku.

- I co znaleźliście?
- W korpusie kierunkowskazu tkwił trzonek żarówki.

Wykręciłem go, by sprawdzić, czy przewody żarnika

wtopione w bańkę i znajdujące się w trzonku stanowiły przed przełamaniem jedną całość... Poza tym odłupałem trochę lakiery. Prześle go do analizy spektralnej. Zdjąłem też odciski bieżników. Teraz sprawdzimy to w laboratorium. Chciałbym też zabrać ze sobą Żuka do zakładu. Niektórych badań nie mogę przeprowadzić na miejscu...

– Dobrze! Dziękuję wam. Poczekaście jeszcze kilka minut. Wyjedziemy razem. – Kiedy technik wyszedł, Osiał zwrócił się znów do Rudolfa: – I co, panie Rudolf? Nie ma odwrotu! Wszystko będzie naukowo sprawdzone, zapisane. Tylko że te zbite kawałki znaleźliśmy nie na parkingu w Olsztynie, lecz w Grzybieniu koło kościoła...

Rudolf milczał.

– Zna pan Grzybień?
– Nie, nie znam...
– Ale parkował pan samochód koło grzybienieckiego kościoła?

Rudolf nadal milczał.

– No więc jak? – obojętnie spytał Osiał. – Jak pan widzi, mamy dowody, że był pan koło kościoła w Grzybieniu. W tej sytuacji może pan zaprzeczać. To i tak niewiele pomoże...

– Byłem – odezwał się cicho Rudolf.
– Po co?
– Umówił się ze mną ten facet... Chciał, żebym wracając z Olsztyna skręcił do Grzybienia. Miałem wziąć jakąś pakę i razem z nim wrócić do Warszawy. Za to zaproponował dwa tysiące. Zgodziłem się. Za przewóz paki tyle forsy?

– A nie wydało wam się podejrzane, że proponował taką sumę za głupi przewóz bagażu?

– Jak chciał tyle płacić, to jego sprawa. Ostatecznie za zawartość paczki on odpowiada...

– Powiedźcie dokładnie, jak to było w Grzybieniu?

– Ten Benczak zamieszkał w Grzybieniu w hotelu. Ja miałem być dwudziestego siódmego najpóźniej o pierwszej w nocy pod kościołem. Miałem czekać. Przyjechałem wcześniej. Zaparkowałem w bocznej uliczce, przylegającej do terenu kościoła. Tam było akurat dużo krzewów. Wjechałem w nie dość głęboko. Wtedy pewnie zbiłem ten kierunkowskaz. Było chyba kilkanaście minut po dwunastej, gdy od strony kościoła nadeszły dwie osoby. Niosły w rękach coś płaskiego, zakrytego szmatami. Otworzyłem drzwi wozu. Wrzucili to coś do środka. Jeden z nich szybko cofnął się między drzewa. Drugi podszedł do mnie. To był Benczak. Wsiadł do szoferki i kazał wracać do Warszawy. Na miejscu byliśmy około piątej rano. Benczak kazał stanąć na Inżynierskiej. Tu wyładowaliśmy bagaż. Dał mi dwa tysiące i kazał szybko odjeżdżać. Nie protestowałem. Odjechałem kawałek i stanąłem za rogiem. Chciałem zobaczyć, co on zrobi z tym towarem. Przyczaiłem się za jakimś domem i obserwowałem.

– Więc wiedzieliście, że to jest brudna sprawa.

– Nie, nie domyślałem się niczego. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

– I co?

– Po paru minutach do stojącego z tym bagażem

Benczaka podjechał wóz. Zagraniczny wóz. Nie znałem takiego typu. Był koloru ciemnozielonego. Numeru nie widziałem. Było za daleko. Ktoś wysiadł z wozu. Załadowali szybko towar do środka i wóz ruszył. To wszystko.

– Rysopis tego, co wynosił z Benczakiem towar z kościoła?

– Mówiłem panu, że go dobrze nie widziałem. Było ciemno. A on zaraz cofnął się w cień drzew.

– Sylwetka? Wysoki, niski? Szczupły, tęgi?

– Taki raczej średni... Ja nie miałem wtedy czasu na obserwowanie faceta. Chciałem jak najszybciej odjechać. Rozglądałem się po okolicy, czy ktoś nas nie widzi...

– Więc zdawaliście sobie sprawę, Rudolf, że to jakaś afera?

– Jeśli nawet sprawa jest uczciwa, a robiona w nocy, po cichu, to człowiek czuje się trochę jak przestępca... – próbował bronić się Rudolf.

– Coś bliższego o tym zielonym samochodzie?

– Już wszystko powiedziałem. Był za daleko ode mnie. Nie widziałem numeru. A typ? Nie znam takiego typu. Mogę jeszcze powiedzieć, że to był wóz kombi.

– Kiedy mieliście spotkać się ponownie z Benczakiem?

– Miał do mnie telefonować. Kiedy, nie mówił...

– Rudolf, jeszcze raz przypominam, że uczciwe przyznanie się może wpłynąć na wysokość wyroku...

– Wiem! „Wiem! Ale to już wszystko, co mogę o Benczaku powiedzieć. Naprawdę... – Rudolf miał minę dziecka,

tłumaczącego się z nieposłuszeństwa.

Kapitan Osial podniósł słuchawkę telefonu. Wykręcił numer oficera dyżurnego Komendy Stołecznej.

– Mówi kapitan Osial z Komendy Głównej. Na hasło „Obraz” przyślijcie mi zaraz radiowóz. Trzeba przewieźć podejrzanego. Podaję adres...

Rudolf opuścił głowę. Jego ciałem wstrząsnął spazmatyczny szloch.

Nie minęło dziesięć minut, gdy zapukano do pokoju. Na okrzyk: „Wejść!” w drzwiach ukazały się mundury milicyjne. Szczęknęły kajdanki. Rudolf prowadzony między dwoma funkcjonariuszami starał się unikać wzroku obserwujących go kolegów.

Kapitan Osial postął chwilę na dziedzińcu zjednoczenia. Dopiero gdy radiowóz zniknął za zakrętem, wrócił do kontrolerów z Komendy Stołecznej.

– Co znaleźliście?

– To co zawsze, obywatelu kapitanie – zaczął wyjaśniać jeden z kontrolerów. – Przeważnie fałszowanie zapisów w kartach drogowych. W kilkunastu wozach stwierdziliśmy przerobione mechanizmy licznika. Można przesuwac cyfry w dowolne układy liczb...

– No to ładnie! Dziękuję wam za pomoc! A ta kontrola to wasza zdobycz. Żebyście do stołecznej nie wrócili z pustymi rękami...

Osial pożegnał się z kontrolerami i wolnym krokiem zmierzzał do swojego wozu. Zdawał sobie sprawę, że stanął na początku trudnej drogi.

Afera zataczała coraz szersze kręgi. A on miał Rudolfa. I nic więcej. Żadnego konkretnego śladu...

W komendzie spróbował zrekapitulować dotychczasowe informacje. Było ich niewiele. Jak znaleźć tego „zleceniodawcę” Rudolfa? Tylko on mógł doprowadzić do mózgu szajki. Trzeba wziąć jego rysopis z hotelu w Grzybieniu – postanowił. Ale czy będą pamiętali lokatora, który zatrzymał się tam na dwa dni? Może rysopis podany przez Benczaka wystarczy? A ten ciemnozielony wóz? Szukaj wiatru w polu! Zanim znajda, obraz będzie już daleko... Kto pomagał wynieść paczkę z kościoła w Grzybieniu? Mógł to być jeden z braci Witków, ale równie dobrze ktoś z mieszkańców lub przejezdnych. Kościół otworzono oryginalnymi kluczami. A więc wspólnik musiał mieć dostęp do kluczy. Czyli jeden z Witków? Ale dowody, jak zdobyć dowody? Organista zna się na sztuce. Wiedział, jaką wartość przedstawia obraz. A jego brat, Roman Witek. Zwykły cwaniak, zresztą tępy. On by nie opracował takiej akcji. To już raczej Stanisław Witek...

Z rozmyślań wyrwał go głos kolegi:

– Antek! Nie idziesz do domu?

Spojrzał na zegarek. Była już za dwadzieścia czwarta. Kiedy dochodził do domu, ogarnął go dziwny niepokój. Zatrzymał się przy najbliższej wystawie i dyskretnie zlustrował ruchliwą o tej porze ulicę. Właściwie nic się nie działo. Normalny popołudniowy pośpiech. Tylko przy jednej z wystaw przyczaić się jakiś osobnik. Tak, to ten sam. To on śledził go podczas spaceru z Danką. Osiał przyspieszył kroku. Skręcił w najbliższą przecznicę i stanął za rogiem. Odczekał chwilę,

wyszedł znów na Puławską i poszedł na spotkanie nieznanego. W prawej ręce ścisnął miotacz gazowy. Stał twarzą do twarzą ze swym prześladowcą.

– Proszę stać spokojnie i ręce trzymać z daleka od kieszeni! – Mówił cicho i stanowczo.

Tamten zamarł w bezruchu.

– Proszę iść teraz przede mną... Tylko bez żadnych sztuczek, bo będę strzelał. Skręć w bok... Wejść do bramy... – Nieznajomy wykonywał w milczeniu polecenia Osiała.

W bramie kapitan kazał mężczyźnie stanąć przodem do ściany.

– Oprzeć się rękami o mur! – warknął.

Przeszukał jego kieszenie. Nie znalazł pistoletu ani noża. Wyciągnął dokumenty.

– Jestem z milicji. – Pokazał nieznanemu swoją legitymację. – Wasze personalia.

– Tadeusz Czernik, inżynier elektronik. Pracuję w Państwowym Instytucie Telekomunikacji.

Osiał jednym okiem sprawdzał dane z dowodem osobistym Czernika

– Dlaczego mnie śledzicie?

– Z powodu Danuty!

– Jakiej Danuty? – Osiał był zaskoczony.

– No, Danuty Witek.

– Dlaczego?

– Pan tego nie rozumie. Dla pana Danki to tylko przygoda. Dla mnie to wielka i jedyna miłość. Błagam pana, niech ją pan zostawi w spokoju! – Czernik prawie łkał. – Spotykała się

ze mną, lubiła moje towarzystwo. Teraz mnie unika. Nie ma dla mnie czasu. To pan jest tego powodem. Jeszcze raz proszę, niech pan ją zostawi w spokoju. – Czernik mówił szybko, jakby bał się, by mu nie przerwano.

– Panie Czernik! To nie jest rozmowa, którą można prowadzić w bramie. – Kapitana ubawiła nieco ta niecodzienna sytuacja. – Mieszkam parę domów dalej. Chodź pan do mnie. Pogadamy.

Czernik szedł za Osialem jak w transie. Siadł przy stoliku, obojętny na wszystko, co się dokoła działo. Tymczasem Osiał postawił na stole kieliszki i żytniówkę. Przyniósł też jakieś resztki kiełbasy, ogórka i sera.

Wypili w milczeniu Osiał obserwował Czernika, który siedział przybity, wpatrzony w jeden punkt. Nie chciał ułatwiać mu sytuacji, zresztą nie wiedział, od czego zacząć rozmowę. W końcu Czernik nie wytrzymał:

– Niech pan ją zostawi w spokoju! Tylko ja ją kocham naprawdę! – zaczął płaczącym głosem, – Ona nie dla pana! Ja ją dobrze znam.

W końcu, kiedy butelka była już prawie pusta, Osiał przerwał żalną tyradę Czernika.

– Ja też ją kocham – stwierdził stanowczym głosem. – I ona będzie moja. Ty jesteś mazgaj. A ona potrzebuje prawdziwego mężczyzny. Ja jestem tym mężczyzną...

Po paru godzinach takiej wymiany zdań kapitan Osiał niespodziewanie zmienił front:

– Właściwie to wszystko zło pochodzi od kobiety! Taka Ewa... Naraziła Adama na nieprzyjemności? Naraziła! A

Romeo! Zabił się przez Julię? Zabił! Więc ja ci mówię, Tadek, lepiej zostać kawalerem. Cały dzień do twojej dyspozycji... Robisz, co chcesz... Ja zostanę sam...

– Antoś! Co ty?! – zaprotestował gwałtownie Czernik. – Zrobię wszystko dla ciebie! Danka jest twoja. Ja się wycofuję! Niech się wam szczęści. Wasze zdrowie, Antoś!

Była już późna noc, kiedy obu mężczyzn zmorzył sen.

Rozdział 9

Dyrektor Biura Dochodzeniowo-Śledczego, pułkownik Wroński, zarządził odprawę, której tematem było omówienie sprawy pod kryptonimem „Obraz” W gabinecie zasiadło czterech fachowców różnych specjalności, mających na swym koncie niejedną rozwikłaną aferę. Referować miał naturalnie Osial.

Kapitan w gruncie rzeczy niewiele miał do wyjaśnienia. Aresztowanie Rudolfa posunęło sprawę zaledwie o krok. Jeden jedyny ślad to ciemnozielony samochód o zagranicznych numerach rejestracyjnych. I nieznaną „zleceniodawcą” Rudolfa. Ale jak do niego dotrzeć? Gdy Osial skończył, pułkownik Wroński zwrócił się do pozostałych;

- I co radzicie robić w tej sytuacji?
- Szukanie samochodu po całej Polsce będzie trwała zbyt długo. Tu chodzi o godziny! – uzupełnił kapitan Osial. – To samo dotyczy tego nieznanego...
- Kapitan Osial wspominał, że ten nieznanomy, nazwijmy

go X, ma telefonować do Rudolfa – zaczął major Sołtys. – Można posadzić jednego z naszych wywiadowców przy aparacie i czekać na kontakt. Gdyby udało się przedłużyć rozmowę, łącznościowcy mogliby ustalić numer wywoławczy.

– Dobrze! – pułkownik Wroński zaakceptował propozycję. – Proszę wydać odpowiednie polecenia.

– Sądzę, że warto sprawdzić, czy rysopis tego X nie pasuje do któregoś notowanego u nas handlarza dziełami sztuki... – odezwał się niepewnie kapitan Osuch, który miał już za sobą dwie sprawy dotyczące nielegalnego handlu zabytkowymi rzeźbami

– Jeśli jest już notowany, to nie byłby tak naiwny, by wdać się znów w wielką aferę – wtrącił major Abakończyk, naczelnik jednego z wydziałów. – Uważam, że szefów gangu należy szukać wśród tych, którzy mają kontakty z zagranicą. Gdzie najczęściej można ich spotkać? W „Forum”, „Europejskim”, „Grandzie”...

– Mam myśl! – krzyknął nagle major Sołtys. – Pamiętacie, towarzysze, sprawę „Argentyna”? Kto nam wtedy pomógł odnaleźć tego zagranicznika?

– Rzeczywiście! Można spróbować. – Kapitan Osial bez entuzjazmu odniósł się do propozycji kolegi.

– Telefonuj zaraz do sierżanta Zubka! On ma najlepsze rozeznanie w tym towarzystwie! – Major Sołtys zachęcał kapitana do czynu.

– Jeśli nie ma innych propozycji, uważam, odprawę za zakończoną. – Pułkownik Wroński podniósł się zza biurka.

Kapitan Osial przeszedł do swego pokoju i natychmiast połączył się telefonicznie z sierżantem Zubkiem. Po pięciu minutach w holu, gdzie czekał kapitan, zjawił się przystojny, sporo po pięćdziesiątce funkcjonariusz. Zgrabna figura, sprężyste ruchy, ciemne, falujące włosy, przyprószone na skroniach siwizną, wszystko to sprawiało, że sierżant Zubek był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną.

– Jestem do dyspozycji, kapitanie! – zaczął ściskając dłoń Osiala.

– Bardzo mnie to cieszy. Ale w początkowej fazie wy mnie poprowadzicie. Czy pułkownik Wroński wyjaśnił wam, o co chodzi?

– No, niezupełnie. Tylko tyle, że mam z wami pracować i ułatwiać kontakty...

Doszli do parkingu przy ulicy Broniwoja. Kapitan Osial otworzył drzwi swego Fiata.

– Muszę znaleźć dojscie do pewnego obcokrajowca. Wiem tylko, co go u nas interesuje i jakiego koloru samochodem jeździ. Bliższe szczegóły? Jest Włochem.

– To niewiele... I myślicie, kapitanie, że moja Janka może?

– Kim jest ta wasza Janka?

– Kelnerką w „Europejskim”...

– Więc kierunek „Europejski?” – upewnił się kapitan.

– Tak. Tam ją teraz zastaniemy.

Ruszyli Puławską w stronę placu Unii Lubelskiej.

– Sierzancie, proszę mi powiedzieć coś więcej o tej dziewczynie – zaczął po chwili milczenia kapitan Osia!. – Rozumiecie sami. Będę z nią rozmawiał, pewnie spotykał się z nią dość często, chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia.

– To rozumiałe. – Przytaknął sierżant i po nabraniu powietrza w płuca rozpoczął: – Ta Janka, to córka pewnego urzędnika. Miała szesnaście lat, gdy jej rodzice rozwiedli się. Ojciec wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, rozpił się, następnie popełnił małą malwersację. Po rozwodzie przestał całkowicie interesować się, córką. A matka? Dzieląc czas między pracę zawodową i obowiązki domowe, niewiele miała czasu dla córki. Poza tym była jeszcze młoda. Chciała korzystać z życia. Zaczęły się kolacyjki, dancingi, wyjazdy na weekendy. Janka coraz częściej zostawała sama. Zaczęła szukać towarzystwa. Rówieśników, tak jak ona, pozbawionych ciepła rodzinnego i opieki rodzicielskiej. Szukała i znalazła... Rezultat: włamania do kiosków, podejrzane „ubawy”, przesiadanie w parkach. Kiedy włamania zdarzały się coraz częściej, przydzielono mnie do grupy operacyjnej, mającej za zadanie likwidację młodzieżowego gangu. Schwytaliśmy ich wkrótce. Dlaczego kradli? Dla mocniejszych wrażeń, jak mówili. Bo wszyscy pochodzili z tak zwanych dobrych rodzin. Synowie i córki wyższych urzędników, inicjatywy prywatnej. Powodziło im się dobrze. Nie liczyli się z pieniędzmi. Niektórzy z nich otrzymywali „pensję miesięczną” w wysokości czterech, pięciu tysięcy złotych. Argumenty rodziców na poziomie nierozgarniętego analfabety: „Mnie się źle wiodło,

to niech moje dziecko ma dobrze”. Przesłuchiwałem Jankę. Rozmawiałem z nią i później, już po sprawie. Była załamana. Obiecała poprawę. Prosiła o pomoc. Poszedłem do jej szkoły. Załatwiłem, że zdawała egzaminy w późniejszym terminie. Rozmawiałem z matką. Dlaczego to robiłem? – sierżant Zubek zastanowił się – Jestem sam. Nie mam dzieci. A tak bardzo chciałem je mieć...

Kapitan Osiał spojrzął kątem oka na twarz siedzącego obok mężczyzny. Była pełna smutku. Dopiero teraz przypomniał sobie tragedię, którą kilka lat temu przeżył sierżant Zubek. Miał dorodnego syna i kochającą żonę. Oboje zginęli pod kołami ciężarówki prowadzonej przez pijanego kierowcę.

– Cóż dalej z tą Janiną? – zadał szybko pytanie, by odebrać sierżanta od przykrych wspomnień.

– Odwiedzałem ją często. Pomagałem w nauce. Gdy skończyła szkołę średnią, postanowiła, że pójdzie do pracy. Ulokowałem ją właśnie tu, w „Europejskim”.

– A w jaki sposób ona może nam pomóc?

– To dziwna dziewczyna Do gangu już nie wróciła, ale nie zerwała kontaktu z tą młodzieżą. Postanowiła, że zrobi wszystko, by wyrwać z tego kręgu swoje koleżanki One ją lubią i darzą zaufaniem. Przychodzą po radę, po pomoc. Nakarmi je, pozwoli przemocować. Już kilka namówiła, by wróciły do domu. W poważniejszych sprawach zwraca się do mnie Udzielam jej wskazówek, wyjaśniam, jak powinna postąpić. Ale i ja na tym korzystam. Często otrzymuję potrzebne mi

informacje. Myślę, że ona pomoże odnaleźć nam tego obcokrajowca.

Weszli do baru. Usiedli na wysokich stołkach. Kapitan Osial zamówił dwie kawy. Pili powoli, w milczeniu. Sierżant co pewien czas rozglądał się dyskretnie po sali. W pewnym momencie trącił lekko kapitana:

– Jest! Proszę poczekać.

Zwinnie zsunął się ze stołka i szybkim krokiem poszedł na salę. Nie minęło pięć minut i znów był przy kapitanie:

– Proszę za mną!

Osial spojrział zdumiony, gdyż prośba zabrzmiała raczej jak rozkaz. No cóż, przyzwyczajenie zawodowe. Przeszli do małego pomieszczenia, oddzielonego od sali kotarą. Janka już na nich czekała. Kapitan zlustrował dziewczynę od stóp do głowy. Śliczniutka jest ta Janka – pomyślał. Zgrabna sylwetka, ładna, dziewczęca buzia, smukłe nogi podkreślone minispódniczką. Z tych służbowo-osobistych kontemplacji wyrwał go głos sierżanta:

– Janeczko, kapitan chciałby z tobą porozmawiać.

– Proszę bardzo! – Uśmiechnęła się, podając Osialowi dłoń. – Tylko czy pan kapitan okaże się interesującym rozmówcą...

– Nie chciałbym pani zanudzać, ale niestety jest to sprawa służbowa, a to na ogół bywa mało atrakcyjny temat.

– Mimo to słucham z zainteresowaniem.

– Czy mogłaby pani udzielić nam kilku informacji o pewnym cudzoziemcu?

- Znam go?
 - Raczej nie. W tym sęk, że i my go nie znamy.
 - Jednym słowem zapowiada się wesoło. Ale cóż, spróbujemy. Proszę o bliższe informacje.
 - Wiemy tylko, że jest prawdopodobnie Włochem. Interesuje się naszymi zabytkami, szczególnie obrazami.
 - Nie ma cudzoziemca, który nie interesowałby się naszymi zabytkami i dziełami sztuki. Ale panu pewnie chodzi o przerzut za granicę?
 - Właśnie!
 - Przekażę to moim „znajomym”. Ale muszę wiedzieć coś więcej.
 - Tylko to, że ten osobnik jeździ ciemnozielonym kombi.
 - To wszystko?
 - Niestety, tak.
 - Sierżant Zubek zna moich „podopiecznych”. Oni często się kręcą w pobliżu zagranicznych samochodów. Może znajdą wóz, opisany przez pana.
 - Gdyby pani coś wiedziała, proszę przekazać informację sierżantowi lub mnie. Oto mój telefon. – Osial podał dziewczynie swoją wizytówkę.
 - Załatwione! Mnie też nie podobają się faceci wywożący naszą własność za granicę!
- Wyszli na parking. Gdy siedzieli już w wozie, kapitan Osial zapytał:
- Jak myślicie, sierżancie, zrobi coś dla nas?
 - Jeśli będzie to możliwe, załatwi sprawę. Ona nie rzuca

słów na wiatr. Tylko że informacja jest taka, powiedziałbym, anemiczna...

Wrócili do komendy.

– Było coś dla mnie? – kapitan Osiał zwrócił się do sekretarki szefa.

– Tak. Był telefon z Komendy Dzielnicowej na Woli. Mają nieboszczyka, który, być może, zainteresuje was, kapitanie. – Podała Osiałowi odręcznie sporządzoną notatkę.

Jeszcze mi nieboszczyk potrzebny – pomyślał ze złością Osiał, siadając przy biurku w swoim pokoju. Ponownie spojrział na kartkę.

W związku z akcją „Obraz” proszę się skontaktować z KDMO Wola, wewnętrzny 32, porucznik Lewandowski. Zamordowany interesował się obrazami – przeczytał.

No to co z tego? – Osiał był wściekły. Teraz będą mi zawracali głowę każdym znalezionym obrazem.

Jednak musiał zatelefonować, nie było na to rady.

– Porucznik Lewandowski?

– Przy telefonie!

– Kapitan Osiał. W sprawie kryptonimu „Obraz”...

– Witam towarzysza kapitana! Na naszym terenie zamordowano człowieka. W jego mieszkaniu znaleźliśmy kilka ikon i kwitów z antykwariatu na oddane w komis obrazy. Pomyśleliśmy, że to może mieć coś wspólnego z waszą akcją.

– Dziękuję za pamięć! Ale mnie nie interesują morderstwa. Ja szukam ludzi, którzy chcą wywieźć cenny obraz za granicę... Gdyby on nosił ciemne okulary, to mogłoby mnie to zainteresować.

– Ciemnych okularów to on nie nosił. Ale leżały na kredensie.

– Co?

– Ciemne okulary leżały na kredensie! – powtórzył zdziwiony Lewandowski.

– A jest wysoki?

– Jest!

– Szczupły?

– Zgadza się.

– Włosy ciemne?

– Ciemne!

– Falujące?

– Jakby go kapitan widział! – porucznik Lewandowski cmoknął z zachwyty.

– Psiakrew! Dlaczego od razu tego nie mówiliście! – krzyknął ze złością Osial.

– Skąd mogłem wiedzieć? Zresztą mówiłem kapitanowi, że należy się tym morderstwem zainteresować! – tłumaczył rozpaczliwie Lewandowski.

– Adres! Szybko! – przynaglał Osial.

– Księcia Janusza siedemdziesiąt pięć. Nowy, siedmopiętrowy blok!

– Dziękuję! Zaraz tam będę!

– Ja też tam jadę! Spotkamy się!

Osial zbiegł po schodach jak strzała wystrzelona z łuku. Jadąc ruchliwymi Alejami Niepodległości o mało nie spowodował wypadku. Na Towarowej, przy Kasprzaka, postyszał za sobą gwizdek. To milicjant z Komendy Ruchu zareagował ostro na nagły zryw samochodu przy czerwonych jeszcze

światłach. Nie zatrzymał się. Później będę się tłumaczył – pomyślał. Gdy wszedł do mieszkania denata, czekał tam już porucznik Lewandowski.

Denat leżał na podłodze. Nogi miał lekko podkurczone, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, twarz sinawą.

Porucznik Lewandowski wskazał Osiałowi szyję denata.

– Proszę spojrzeć na siną pręgę na szyi. Uduszony drutem albo kablem...

– Nie znaleźliście narzędzia zbrodni?

– Nie, nic takiego nie było w pokoju...

– Kto znalazł ciało?

– Listonosz. Przyniósł przekaz pieniężny. Stukał, nikt nie otwierał. Nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły.

– Więc wpuścił kogoś do mieszkania. Kogoś znajomego. Tamten go zaskoczył. Nie widać śladów walki.

– Z pregi na szyi wynika, że morderca zarzucił pętlę od tyłu.

– Nie widzę śladów plądrowania mieszkania?

– To nie był mord rabunkowy. W pokoju panował idealny porządek. Prawdopodobnie chodziło o pozbycie się niewygodnego świadka.

– Na to wygląda – mówił powoli Osiał. – Postanowili przerwać nic wiodącą do kłębka. To świadczy o sile gangu. Musieli sądzić, że jesteśmy na tropie tego faceta. Skąd się dowiedzieli? – zamilkł nagle. Spłoszyliśmy ich aresztowaniem Rudolfa – pomyślał. Ale Rudolf to pionek. Nie znał nawet nazwiska zamordowanego. Może oni myśleli, że powiedział nam za dużo? A może Rudolf też miał zginąć i myśmy go

uratowali? – Poruczniku, czy mogę przejrzeć rzeczy znalezione przy denacie? – zwrócił się do Lewandowskiego.

– Proszę! Tu leży wszystko.

Osiął wziął do ręki portfel zamordowanego. Wyjął dowód osobisty.

– Karol Harażny, lat dwadzieścia pięć. Niepracujący. Wykształcenie niepełne średnie – przeczytał.

Prócz dowodu w portfelu znajdowało się kilka stułotówek i dwie pięćsetki oraz kwity z antykwariatu na przyjęte w komis obrazu. Obok portfela leżał scyzoryk, sygnet z herbem, chustka do nosa, kilka skasowanych biletów autobusowych i grzebień.

Kapitan Osiął rozejrzał się po pokoju. Na ścianach wisiało kilka starych, podniszczonych ikon.

– Znaleźliście jeszcze inne obrazy? – zapytał Lewandowskiego.

– Nie, nic. A szukaliśmy nawet w piwnicy.

– No cóż. Nie będę wam przeszkadzał. Gdybyście trafili na jakiś ślad, telefonujcie do mnie.

Wrócił do domu. Był zmęczony i postanowił się położyć. Nie wytrzymał jednak długo w tej pozycji. Zaczął spacerować nerwowo po pokoju. Nagle poczuł ogromną tęsknotę za Danką. Wybrał jej numer telefonu.

– Danko?

– Tak!

– Co u ciebie słychać?

– Czy ty widziałeś się z chłopakiem o nazwisku Czernik?

– zbagatelizowała jego pytanie.

- Tak! Rozmawiałem z nim...
- Co za głupoty mu opowiadałeś?
- Głupoty? Nie przypominam sobie. Po prostu rozmawialiśmy o tobie.
- I wiesz, jaki jest rezultat tej rozmowy?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Ten biedak popełnił samobójstwo! – Głos Danki przeszedł w histeryczny krzyk. – To przez ciebie!

Osiął stał jak skamieniały. Gdy oprzytomniał, było już za późno. Połączenie zostało przerwane.

Rozdział 10

Kapitan Osiął siedział w swoim pokoju. Przed nim, na biurku, leżała tylko jedna kartka papieru pokryta wymyślnymi wzorkami i zakrętasami. Centralne miejsce zajmował duży, gruby znak zapytania.

Dlaczego Czernik popełnił samobójstwo? Czy to rzeczywiście moja wina? Te pytania od wczorajszego wieczoru nie dawały mu spokoju. Czyżbym naprawdę winien był śmierci Czernika?

Miał już w swojej karierze milicyjnej dwa przypadki, w których z jego powodu ludzie odebrali sobie życie. Ale to byli przestępcy, a on znajdował się na ich tropie. Nie czuł z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Ponieśli karę, na jaką zasłużyli. Że wymierzili ją sobie własną ręką, to już ich sprawa. Ale Czernik? Ten był niewinny. Zdolny naukowiec. Kariera

stała przed nim otworem. Wyjeżdżał na stypendia zagraniczne. Kochał Dankę. Co teraz robić? Jak żyć! Osiał wciąż słyszał histeryczny krzyk Danki. To przez ciebie! To przez ciebie! Zakrył uszy pięściami obu rąk. Chciał odgrodzić się od tego głosu. Dlatego nie posłyszał dzwonka telefonu, który w tej samej chwili przerwał panującą w pokoju ciszę. Minęło kilkanaście sekund, nim sygnały dotarły do jego świadomości.

– Halo! Kapitan Osiał, słucham?

– Dzień dobry panu! Nie wiem, czy pan mnie pamięta? – Po drugiej stronie rozległ się miły kobiecy głos. – Mówi Janka! Poznaliśmy się w „Europejskim”.

– Ach, tak, tak! Pamiętam panią! – Osiał wracał do rzeczywistości. – Dzień dobry! Cieszę się, że panią słyszę!

– Rozumiem! Przecież ja mogę panu dostarczyć ciekawych informacji!

– Proszę mi wierzyć, że nawet o tym nie pomyślałem. Marzę o miłym towarzystwie i zwykłej pogawędce.

– Możemy więc załatwić jedno i drugie. – Głos Janeczki działał kojąco, uspokajał rozdygotane nerwy Osiała.

– To świetnie. Kiedy i gdzie możemy się spotkać?

– Za godzinę, w jakiejś zacisznej kawiarence.

– Dobrze! Gdzie pani jest teraz?

– Niech się pan nie martwi! Dojadę tam, gdzie panu wygodniej. Pan pracuje. A ja korzystam z wolnego czasu!

– Może więc w „Świteziance”? Mają ogródek, nie będziemy dusili się w dymie!

– Zrobione! O dziesiątej w „Świteziance”! – rozległ się wesoly okrzyk w słuchawce.

Osial zameldował szefowi swoje wyjście. Miał jeszcze czterdzieści minut, postanowił więc udać się pieszo na miejsce spotkania. W „Świteziance” był punktualnie o dziesiątej. W ogródku wszystkie miejsca były zajęte. Już chciał wycofać się do sali, gdzie było kilka wolnych stolików, kiedy zobaczył, że jakaś starsza para reguluje rachunek. Ledwie usiadł przy zwolnionym stoliku, a już w drzwiach ukazała się Janka.

Była ubrana z dyskretną elegancją. Białe spodnie, miodowa, skromna bluzeczka. Ładna buzia z lekko tylko podkreślonymi kredką oczyma pełna była wdzięku i kokieterii. Zobaczyła Osiala, uśmiechnęła się do niego i już z daleka wyciągnęła rękę, by go powitać. Osial zerwał się z miejsca, czując, że rumieni się jak uczeń.

Uścisnęli sobie dłonie.

Zamówiła lody i sok pomarańczowy. Osial lody i kawę.

– Cóż, przeżywa pan moment załamania? Tak wywnioskowałam z rozmowy. Przestępca nie daje się złapać? – Janka nawiązała do niedawnej rozmowy telefonicznej.

– Namnożyło mi się tych spraw... Nie tylko służbowych...

– Dała kosza?

– Nie, nie to! Ale nie mówmy o kłopotach. I to jeszcze o moich. Porozmawiajmy raczej o rzeczach przyjemnych. Jest piękna pogoda, świeci słońce, obok mnie siedzi piękna kobieta... Czyż w tej scenerii można mówić o zmartwieniach? One stają się takie dalekie, nierealne;..

– Ależ z pana marzyciel! – Janka zaśmiała się może nieco

zbyt głośno. – Przejdźmy jednak do interesującej pana sprawy. Pozwoli pan, że zacznę referować. – Ton był poważny, ale w oczach czaił się uśmiech. – Proszę referować, koleżanko! – Osiał nie mógł się oprzeć urokowi tej dziewczyny.

– Otóż zaczęłam rozglądać się za ciemnozielonym samochodem kombi mało znanej marki. I za obcokrajowcem, szykującym się do wyjazdu.

– Zgadza się, panno Janko! O to nam chodziło.

– Powiedziałam o tym niektórym koleżankom. Sama też obserwowałam, jak tylko potrafiłam najlepiej.

– Z jakim rezultatem?

– Wczoraj zajechał pod „Europejską” taki wóz. Prowadził go Włoch. Przysiadł się do jednej z tutejszych dziewczyn. Znam ją dosyć dobrze. Kilka razy jej pomagałam. Teraz ja poprosiłam o pomoc. Załatwiła wszystko, jak należy. Ten Włoch to Luciano Rossi. Mieszka w hotelu „Forum”, pokój trzysta pięćdziesiąt jeden. Jutro wyjeżdża. Zabiera ze sobą żonę. Polkę. Był wprost nieprzyzwoicie hojny. Mówił, że zrobił u nas świetny interes... To by było właściwie wszystko. Nic konkretnego, ale samochód się zgadza.

– W tej chwili trudno mi ocenić tę informację. Może tylko jeszcze jeden mylny ślad. – Kapitan zorientował się, że nie powinien tak mówić. Przecież dziewczyna zrobiła, co mogła. Aby zatrzeć przykre wrażenie, zaczął zapewniać z przejęciem: – Ma pani słuszność! To na pewno jest ten człowiek. Dziękuję pani. Bardzo nam pani pomogła. Zatrzymanie przemytnika będzie już kwestią godzin. Tylko proszę nie mówić o

tym nikomu...

Rozmawiali jeszcze kilka minut. Dla osób siedzących w ogródku kawiarni stanowili parę młodych, rozbawionych ludzi. Osial zapomniał o swoich kłopotach. Nie chciało mu się wracać do pracy.

– Panno Janko! – zaczął niepewnym głosem, gdy nadszedł czas rozstania. – Czy mógłbym się z panią jeszcze kiedyś spotkać?

– Nie, panie kapitanie. Sam pan rozumie. Funkcjonariusz i dziewczyna karana za udział w gangu młodzieżowym. Lepiej nie mówmy o tym. Żegnam pana! Jeżeli moje informacje przydadzą się panu, będę bardzo zadowolona. To mi wystarczy. Cześć, kapitanie! Dziękuję za miłe towarzystwo!

Pomachała mu ręką na pożegnanie i szybko poszła w stronę placu Zbawiciela. Uregulował rachunek i opuścił kawiarnię. Przy placu Unii utworzył kabinę oznakowaną literami MO i połączył się z szefem. Przekazał zdobyte informacje i zaproponował, że pochodzi trochę za Włochem.

– Szkoda waszego czasu, Osial! – Szef nie wyraził zgody. – Podamy komunikat naszym wozom wywiadowczym. Niech szukają samochodu i wezmą jego właściciela pod obserwację. Wy wracajcie do komendy!

Osial milczał, ale nie przerywał połączenia.

– Chcę was mieć pod ręką – kontynuował szef. – Przecież każda minuta jest droga! Może obraz wiozą w kierunku granicy, a my szukamy jakiegoś Włocha! Za pół godziny chcę

was widzieć w biurze! Cóż było robić. Musiał pojechać do komendy. Szef już na niego czekał. Przekazał mu tekst polecenia dla wszystkich wozów wywiadowczych i wysłał na stanowisko dyspozytorskie.

– Będziecie kierowali akcją. Jeśli wasza obecność na miejscu akcji okaże się konieczna, pojedziecie...

Osiadł wszedł do pokoju dyżurnego, gdzie czekały już pierwsze raporty z obserwacji Włocha. Siadł przy rezerwowym pulpicie. Lubił ten pokój, podobała mu się praca przy biurku dyspozytorskim. Cicho, przytulnie, ściany wyłożone płytami spilśnionymi tłumią wszystkie dźwięki. Przed pulpitem, na ścianie, duża mapa miasta, podzielona na rejony operowania wozów milicyjnych. Obok radiotelefon, linie telefoniczne, przyciski sygnalizacyjne...

Cofnął taśmę magnetofonową i przesłuchał raporty dotyczące akcji „Obraz”. Wóz Rossiego stał przed „Forum”. W pół godziny później Rossi wyszedł z hotelu. Wsiadł do wozu i pojechał na Nowy Świat. Zatrzymał się na ulicy Kopernika.

– Tu „Obraz”, tu „Obraz” – zatrzeszczało w głośniku. – Zaparkowałem na Kopernika. W-2 idzie za obiektem. Gdy wróci, podam dalsze szczegóły.

W-2 to kryptonim wywiadowczy z załogi wozu, Osiadł nie znał nawet nazwiska. Ba! Nie znał go nawet z widzenia, bo tego wymagał charakter służby.

W-2 szedł za Rossim. W pewnym momencie Włoch wszedł do prywatnego antykwariatu na Nowym Świecie. Lokal ten nie cieszył się najlepszą opinią, ale jak dotąd nie mieli

żadnego konkretnego dowodu, że ekspedientka, pani Halina, lub właściciel, pan Janusz, prowadzą nielegalne transakcje.

Wywiadowca udawał, że przygląda się eksponatom leżącym na wystawie i dyskretnie obserwował wewnątrz sklepu. W końcu zdecydował się wejść do środka. Pani Halina przerwała na moment rozmowę prowadzoną w języku włoskim i zwróciła się do W-2 ze stereotypowym pytaniem:

– Proszę?

– W tej chwili... Tylko rozejrzę się trochę... Nie jestem zdecydowany na jakiś konkretny zakup...

Ekspedientka wymieniła kilka zdań z Rossim. W-2 kłął w duchu, że prawdopodobnie przyjdzie mu uczyć się jeszcze włoskiego. Zna już niemiecki, angielski i francuski. A teraz tak bardzo przydałby się włoski.

Musi już wyjść z tego sklepu. Przeprasza, ale nie widzi nic, co mogłoby go zainteresować. Wychodzi. Skręca w najbliższą bramę. Po chwili mija go Rossi. Niesie pod pachą jakąś paczkę. Włoch wraca do samochodu. Odjeżdża. W-2 podbiega do swojego wozu. Jadąc za Rossim składa meldunek p zaobserwowanych faktach.

Kapitan Osial łączy się z szefem.

– Towarzyszu pułkowniku! Chciałbym pojechać do antykwariatu na Nowym Świecie. Rossi dokonał tam jakiegoś zakupu. Muszę przeprowadzić rozmowę na ten temat z personelem antykwariatu.

– I wypłoszyć Rossiego, a tym samym resztę szajki? –

spytał spokojnie pułkownik Wroński.

– Jeśli wypłoszymy Rossiego, będzie to znak, że jesteśmy na właściwym tropie. Od Rossiego i antykwariatu trafimy do reszty szajki – nie ustępował Osiał.

– Nie zawracajcie sobie tym głowy. Niech ten Rossi wyjeżdża! Zawiadomić tylko Graniczne Punkty Kontrolne, żeby mu dobrze przesiali wóz.

Osiał denerwował się coraz bardziej. Nie miał żadnej konkretnej nici i chwycił, co mu wpadło w rękę, mając nadzieję, że w końcu dotrze do obrazu. A szef się upiera! Nagle przypomniał sobie o kwitach znalezionych w kieszeni Harażnego.

– Towarzyszu pułkowniku! Harażny miał w kieszeni kwity z pieczętką tego antykwariatu!

– Tak? – Szef zastanawiał się chwilę. – Dlaczego wcześniej nie wyjaśniliście tej sprawy?

– Dochodzenie prowadzi Komenda Dzielnicowa na Woli. Oni mieli sprawdzić.

– Skontaktujcie się z nimi. Ustalcie, co wyjaśnili... W zależności od tego poczynimy dalsze kroki – zdecydował szef.

Kapitan Osiał połączył się z porucznikiem Lewandowskim.
– Co tak długo milczycie w sprawie Harażnego? Przecież powinniście już zdobyć bliższe informacje?

– Przepraszam, obywatelu kapitanie, ale nie mamy żadnych ciekawych informacji. Znaleźliśmy jedynie pętlę z drutu, którą uduszono Harażnego. Dziś jedzie do antykwariatu nasz

funkcjonariusz, by dowiedzieć się, co Harażny zostawił do sprzedania.

– Dobrze! Spotkam się z nim za pół godziny na Świętokrzyskiej róg Nowego Światu. Wezmę te kwity i sam załatwię sprawę.

– Tak jest, obywatelu kapitanie! Nasz funkcjonariusz będzie w mundurze. Podjedzie Warszawą do rogu Kubusia Puchatka. Dam mu również tę pętlę z drutu...

Osiął chciał zaprotestować. Po co mu pętla? Ale porucznik już wyłączył się.

Teraz, tylko uzyskać zgodę szefa na ten wyjazd – denerwował się Osiął. Muszę go przekonać...

W końcu udało się. Szef nie był zadowolony, ale to nie zmartwiło zbytnio kapitana. Wiedział dobrze, że na pochwały jeszcze nie zasłużył.

Zdażył zaparkować swojego Fiata, kiedy nadjechała Warszawa z KDMO Wola. Obok kierowcy siedział plutonowy milicji.

– Kapitan Osiął! – przedstawił się plutonowemu, pokazując swą legitymację. – Macie coś dla mnie od porucznika Lewandowskiego.

– Tak jest, kapitanie! – Plutonowy wysiadł i stanął w postawie zasadniczej. – Oto koperta z materiałami. Proszę o pokwitowanie.

Osiął wziął kopertę, pokwitował. Wszedł na najbliższą klatkę schodową i obejrzał przesyłkę. Znajdowała się w niej pętla z cienkiego, stalowego drutu oraz dwa kwity.

Poszedł do antykwariatu. Zza zasłony wyłoniła się ekspedientka. Była to prawdopodobnie pani Halina;

– Słucham pana?

Osial wyjął kwity

– Mój kolega prosił mnie, bym dowiedział się, czy te przedmioty zostały już sprzedane?

Ekspedientka spojrzała na kwity.

– Ach, ikony pana Haraźnego! Tak, proszę pana, już zostały odebrane...

– Jak to odebrane?

– No tak! Były przygotowane dla jednego pana! Pan kierownik zrobił z tych dwu ikon paczkę, a ja przekazałam ją człowiekowi, który się po nią zgłosił.

– Zna pani tego człowieka?

– Przepraszam, a co to pana obchodzi?

– Och, tak mi się wyrwało! Czy mógłbym odebrać pieniądze?

Ekspedientka spojrzała badawczo na Osiala. Widać było, że przesiała mu ufać.

– Proszę przyjść za cztery godziny, wtedy będzie właściciel, on panu wypłaci.

– Może mi pani jeszcze powie...

– Nic panu nie powiem. Nasi klienci nie życzą sobie, abyśmy udzielali o nich informacji. Tym bardziej osobom postronnym.

– Jestem funkcjonariuszem milicji – Osial pokazał legitymację – Proszę, by odpowiedziała pani na moje pytania.

Pani Halina zbladła.

– Ja nic nie wiem, proszę pana. Lepiej by było, żeby pan porozmawiał z właścicielem.

– Ja wolę jednak najpierw porozmawiać z panią! Kto odebrał ikony Haraźnego?

- Jeden Włoch...
- Nazwisko?
- Nie znam. To mnie nie interesuje.
- Prowadzicie ewidencję przedmiotów przyjętych do sprzedaży?

- Prowadzimy...
- Proszę o tę ewidencję!

Pani Halina weszła za zasłonę. Osiał poszedł za nią. Obserwował każdy jej ruch. Wyjęła dużą księgę, oprawioną w czarną, sztywną okładkę i podała ją Osiałowi. Przeglądał dokładnie strona po stronie. Nazwisko Haraźnego powtarzało się w odstępach przeważnie miesięcznych. Ale cóż to? Nie wierzył własnym oczom. Czernik Tadeusz! Oddał w komis ikonę. W następnym miesiącu lichtarz srebrny z XVIII wieku. I znów ikona! Więc Czernik pośredniczył w sprzedaży? Czy to przypadek, czy, należał do szajki? Dlaczego popełnił samobójstwo? A może to nie było samobójstwo! Przecież tak powiedziała Danka. A on orzeczenia lekarskiego nie widział! Trzeba to sprawdzić! A jeśli to morderstwo? Być może usunięto jeszcze jednego niepotrzebnego świadka?

Osiał nie mógł skupić myśli. Zbyt dużo pytań, zbyt wiele niejasności... Spojrzał na ekspedientkę. Była blada i zdenerwowana.

– Zapali pan? – Podsunęła Osiałowi drżącą ręką paczkę papierosów.

– Nie, dziękuję! Nie palę! – Wziął leżącą na stoliku zapalniczkę i podał jej ognia. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. – Proszę pani! Interesują mnie dwie osoby: Haraźny i Czernik. Zna ich pani? – zaczął Osiał.

- Znam. To nasi dostawcy...

– Jeśli zjawi się osoba, mająca kontakt z tymi dwoma, lub jeśli zainteresuje się ich towarem, proszę dać mi znak. Upprzedzam panią, że to nie są żarty i w przypadku utrudniania mi pracy mogą panią spotkać bardzo poważne nieprzyjemności.

Pani Halina siedziała jak porażona prądem.

– Dobrze! Zrobię wszystko, by panu pomóc...

Znów zapanowało milczenie.

– Proszę pana! – zaczęła po chwili niepewnie pani Halina.

– Słucham panią?

– Widzi pan, tu do nas przychodzi czasami jeden Włoch. On właśnie wziął dziś dwie ikony pana Haraźnego...

– Widzę, że dojdziemy do porozumienia. Może jeszcze pani coś sobie przypomni?

Pani Halina chciała odpowiedzieć, ale przerwał jej trzask otwieranych drzwi. Do sklepu weszła starsza, skromnie ubrana kobieta.

– Dzień dobry pani, pani Halinko! – odezwała się od progu.

– Dzień dobry! – głos pani Haliny brzmiał nienaturalnie. Osiał spojrzął kątem oka na ekspedientkę. – Ona ma kontakty z Haraźnym... – szepnęła i wyszła do sklepu.

Starsza kobieta podeszła do lady.

– Proszę, tu jest upoważnienie! – mówiąc to położyła na ladzie kartkę. – Staralam się przyjechać jak najszybciej po pani telefonie. Chyba zdążyłam w samą porę...

– Ma pani rację. W samą porę. – Pani Halina sięgnęła po kartkę. Otworzyła szufladę i zaczęła odliczać pieniądze.

– Proszę bardzo, oto należność...

Starsza kobieta powoli przeliczyła pieniądze.

– Zgadza się! – schowała je do czarnej, podniszczonej torebki.

– Proszę jeszcze pokwitować... – Pani Halina podała kobiecie długopis. Ta powoli gryzmoła coś na kartce, pomagając sobie językiem. – O, tak będzie dobrze! Do widzenia pani! Mam nadzieję, że wkrótce znów panią odwiedzę.

– Proszę bardzo! Do widzenia pani.

Gdy tylko drzwi za starszą panią zamknęły się, kapitan Osiał był przy ladzie.

– Kartkę! Szybko!

Pani Halina bez słowa wyciągnęła rękę. Osiał czytał w milczeniu.

Proszę o wypłacenie należnej sumy oddawczyni niniejszego upoważnienia. Carlo.

Niżej podpis kobiety. Coś jak Leśniowska, Lesznowska...

Schował kartkę do kieszeni.

– Co to za Carlo?

– Nie wiem. Nie znam jego nazwiska. – Pani Halina patrzyła bezradnie na Osiala. – Podpisuje się Carlo.

– Gdzie mieszka?

– Nie wiem. Z rozmowy z tą starszą panią wnioskuje, że gdzieś na Bielanach.

Osiał wybiegł za kobietą. Zobaczył, jak szła powoli w stronę Świętokrzyskiej. Szedł za nią pewnym krokiem. Nie musiał się niczego obawiać, nie widziała go przecież w sklepie.

Kobieta stanęła na przystanku. Po chwili wsiadła do autobusu jadącego na Bielany. Osiał wsunął się tuż za nią i zajął jedno z wolnych miejsc przy końcu pojazdu. Wysiedli na

przystanku przy Akademii Wychowania Fizycznego. Starsza pani szła powoli, zatrzymując się przy wystawach sklepowych. Wreszcie skręciła w ulicę Lipińską. Tu zatrzymała się przed ładną willą, oznaczoną numerem 64. Wyjęła z torebki pęk kluczy, otworzyła furtkę i wolnym krokiem podeszła do drzwi wejściowych. Zgrzyt klucza w zamku i zniknęła w głębi mieszkania. Kapitan szedł wzdłuż ogrodzenia. Mijając furtkę spojrzał na dwa bilety wizytowe obok przycisków dzwonkowych. Na jednym z nich znajdowało się interesujące go nazwisko: Carlo Benzi.

Wrócił w stronę przystanku autobusowego. Szedł szybko nie oglądając się na boki. Umysł jego pracował gorączkowo. Znów Włoch! W kościele w Grzybieniu też byli Włosi. Stąd wniosek, że obraz będzie prawdopodobnie przerzucony do Italii. Przez Włocha. Tego Rossiego już mają na oku. Nie wymknie się. Ale co to znów za sprawa z tym Benzim? Włoch sprzedający Włochowi ikony za złotówki? I to za pośrednictwem Harażnego i antykwariatu? Tego jeszcze nie było! Ale co w tym towarzystwie robi Czernik? Zwykły zbieg okoliczności? Przypadek? Właściwie to mógł coś sprzedać! Nie ma dowodu, że działał z Harażnym...

Nagle postyszał suchy trzask. Coś świsnęło mu koło ucha. Rozejrzał się. Ulica Lipińska była pusta. Ani żywego ducha. Tylko Trabant z piskiem opon skręcał w poprzeczną ulicę. Co to było? Nagle zrozumiał: ten trzask i świst... Strzelano do niego! I to strzelano z popielatego Trabanta. To znaczy, że jest na dobrym tropie!

Rozdział 11

Osial wpadł jak bomba do gmachu komendy. Przeskakując po dwa schodki pędził na piętro. Otworzył energicznie drzwi do sekretariatu szefa.

– Szef jest?! –, krzyknął od progu.

– Towarzyszu Osial! Trochę delikatniej! Można dostać ataku serca!

– Kochana! Przepraszam! Ale ja naprawdę mam mało czasu!

– Jest! – odpowiedziała, a widząc, że Osial chwyta za klamkę, dodała: – Ma gości! Nie wolno przeszkadzać!

Osial nie słuchał. Był już w gabinecie szefa.

– Towarzyszu pułkowniku! Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam bardzo ważną wiadomość!

Proszę o pozwolenie zreferowania.

Pułkownik przeprosił dwu oficerów, siedzących przy jego biurku.

– O co chodzi?

– Byłem w antykwariacie. Okazało się, że pieniądze za sprzedane ikony odbiera niejaki Carlo Benzi. Mam jego adres. Prosiłbym o nadzór...

– Osial! Opamiętajcie się! Ten Włoch to chyba człowiek niespełna rozumu! Podstawia ludzi, by sprzedawali jego przedmioty i bierze za nie złotówki! Widzieliście kiedyś takiego naiwniaka?

- Nie! – potwierdził bezradnie Osial.
- Więc o co wam chodzi?
- Może to są skradzione rzeczy, a może boi się sam sprzedawać, bo jest obcokrajowcem.
- Jeśli kradnie, to nie po to, by sprzedawać za złotówki!
- Większe rzeczy wywozi. Drobiazgi spienięża – bronił swojej koncepcji Osial.
- Hm! Być może! – Pułkownik jeszcze się wahał. – Dajcie adres. – Ustąpił w końcu. – Załatwię ten nadzór.
- I jeszcze jedno, towarzyszu pułkowniku!
- Tak, słucham!
- Strzelano do mnie. To znaczy, że jestem na dobrym tropie!

Pułkownik Wroński drgnął.

- Dam ci obstawę!
- Nie, dziękuję, sam sobie poradzę.
- Uważaj! Nie chcę trupów. Wiesz, że i tak mam braki kadrowe!
- Tak jest, towarzyszu pułkowniku! Odmeldowuję się. – Zrobił przepisowy „w tył zwrot”.

Gdy następnego dnia rano dochodził do drzwi swego pokoju, posłyszał alarmujący dzwonek telefonu. Szybko otworzył drzwi i biegiem dopadł aparatu.

- Słucham! Osial!
- Dzwonię i dzwonię już od dziesięciu minut! – W słuchawce rozległ się głos oficera dyżurnego. – Zamiast pilnować swoich spraw włączysz się nie wiadomo gdzie!
- Nie układa mi się ta moja sprawa! Dlatego nie spieszę

się... – zaczął wyjaśniać Osial.

– Zgłosił się W-2. Mówi, że ten twój Rossi spakował walizki do samochodu. Chyba już pędzi ku granicy!

Osial zatrzasnął za sobą drzwi i pobiegł do pokoju oficera dyżurnego, by przejąć kierowanie akcją pościgową.

Samochód Rossiego jechał właśnie ulicą Puławską. Za nim sunęła Wołga, w której siedzieli dwaj wywiadowcy.

– Uwaga, W-2! Na rogu Marynarskiej i Żwirki i Wigury czeka nasz wóz. Oni przejmą nadzór.

– Tak jest!. Zrozumiałem. – Chwila ciszy.

– Jest Żwirki i Wigury! Odbijamy w bok! – To W-2 zakończył swój udział w akcji.

– Dziękuję! W-6, odbiór!

– Tu W-6! Widzę Włocha!

– Przejmij nadzór!

– Zrozumiałem, przejmuję! Rossi skręcił w aleję Krakowską. Osial połączył się z szefem.

– Towarzyszu pułkowniku! Rossi jodzie na południe! Mamy go aresztować, czy poczekamy na Graniczny Punkt Kontroli?

– Nie róbmy zbytecznego szumu! Zawiadomić punkt graniczny. Niech przeprowadzą dokładną kontrolę. Cały samochód wywrócić do góry nogami!

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – Osial odmeldował się.

Najlepsza droga do Włoch prowadziła przez przejście graniczne w Międzyzlesiu. Kapitan podszedł do dalekopisu, stojącego w dźwiękoszczelnej kabinie w rogu pokoju. Wywołał

centralę telegraficzną i po chwili wystukał na klawiaturze tekst:

GPK – Międzyzlesie. Od KGMO. Samochód VW-124/LS VARIANT, numer rejestracyjny Roma 83-24, kierowca Luciano Rossi. Podejrzany o przemyt dzieł sztuki. Może przewozić obraz 1,5x2,5 płasko ułożony. Podpisano: płk Wroński, nadał: kpt. Osial.

Wrócił do biurka dyspozytorskiego i wraz z oficerem dyżurnym przystąpił do organizowania obserwacji Włocha na trasie.

Tymczasem ciemnozielony wóz dojeżdżał do stacji benzynowej w Jankach. Rossi zatrzymał samochód, zatankował paliwo i przeszedł do baru. Zbliżył się do siedzącej przy stoliku dziewczyny. Przywitani się wylewnie.

Kapitan Osial po otrzymaniu tego meldunku zwrócił się do swego kolegi:

– Ci Włosi to jednak romantyczny naród. Przemyt przemylem, ale o sprawach sercowych nie zapominają. Zabiera ze sobą kandydatkę na żonę...

Włoch wypił kawę, załadował walizki i wsiadł ze swoją towarzyszką do wozu. Ruszył z miejsca jak szalony.

Osial czuwał przy stanowisku dyspozytorskim. Jak dotąd nic się nie działo, ze zmieniających się co jakiś czas wozów nadzoru napływały meldunki identycznej treści: „Włoch minął miasto X, Y, Z. W drodze nie działo się nic godnego uwagi.”

Znużyła go już ta beczyność. Wyłączając po każdym kolejnym zgłoszeniu głośnik, wzdychał z nadzieją: może teraz zacznie dziać się coś ciekawego? Ale nic się nie działo. To

dobrze – uspokajał się po chwili. Dobrze, że wszystko idzie jak po maśle, bez żadnych komplikacji. Tylko ta niepewność! A jeśli Rossi nie ma nic wspólnego z Grzybieniem? Znów ogarniały go wątpliwości. Czy można wierzyć Rudolfowi? Wprawdzie poznał na zdjęciu wóz Rossiego, twierdził, że to do niego właśnie załadowano w Warszawie obraz, ale mógł nas wprowadzić w błąd. Ot, tak dla kawału. Może w Polsce jest jeszcze jakiś ciemnozielony wóz tej samej marki? Wprawdzie wysłał w tej sprawie pytanie do ewidencji ruchu turystycznego, ale dotychczas nie otrzymał odpowiedzi. Zresztą jest już za późno na zmianę decyzji. Kapitan patrzy na podświetlony zegar umocowany w czołowej desce biurka dyspozytorskiego. 12.30. Już prawie pięć godzin tkwi w tym pokoju. Pięć godzin nerwowego napięcia. Poczuł na ramieniu dotknięcie ręki. Obejrzał się gwałtownie. Stał za nim dyżurny ze szklanką kawy w ręku.

– Napij się, to ci dobrze zrobi! Do końca akcji jeszcze sporo czasu. Może ci przynieść coś z bufetu?

– Nie, dziękuję! Kawa mi wystarczy...

Major Śląski usiadł obok Osiala. Pili w milczeniu kawę czekając na kolejne meldunki z trasy. Wiedzieli, że Rossi jest już w pobliżu Kłodzka. Jeszcze godzina i będzie na granicy – pomyślał Osial. Jeszcze godzina i wszystko się wyjaśni. Opuścił swoje stanowisko, podszedł do szeroko otwartego okna. Z rozkoszą wciągnął w płuca haust świeżego powietrza.

Nagle we włączonym głośniku rozległ się trzask i chrobot. Odezwiał się głos wywiadowcy:

– Tu X-27, X-27! Kryptonim „Obraz”. Odbiór!

- X-27! Słucham cię! – Osiał był już na stanowisku.
- Komplikacje z obiektem! Czekamy na rozkazy.

*

Wjeżdżając do Kłodzka Rossi popełnił błąd. Nie zauważył zakazu i pędził prosto, pod prąd, ulicą jednokierunkową. W pewnej chwili sunący nieprzepisowo samochód dostrzegli funkcjonariusze ze stojącego w poprzecznej ulicy radiowozu. Zaczęli mu dawać znaki, aby się zatrzymał. Wtedy Rossi zwiększył prędkość. Radiowóz ruszył w pościg. Teraz dopiero Włoch zatrzymał wóz, podbiegł do hamującego ostro radiowozu i gestykulując nerwowo tłumaczył coś funkcjonariuszom. Widząc, że nie rozumieją go, chwycił jednego z nich za rękaw i zaczął ciągnąć do swego wozu. Powtarzał przy tym bez przerwy:

– Dottore, dottore! Mia moglie e malata! Krank! mCapito? Niedobsze! Dottore! Aiuto!

* Doktora, doktora! Moja żona jest chora! Chora! Rozumiecie? Niedobrze! Doktora! Pomocy!

Funkcjonariusze podeszli do wozu. Na tylnym siedzeniu leżała towarzyszka Włocha. Jej ciałem wstrząsały silne drgawki, a z ust wydobywały się przytłumione jęki. Obiema rękami trzymała się kurczowo za podbrzusze.

Rossi nie rezygnował z wyjaśnienia sytuacji.

– Io con auto. Dottore! Moglie, donna. – Pokazał, żeby wynieść kobietę i położyć ją w znajdującym się naprzeciwko sklepie z materiałami.

Milicjanci zrozumieli, skinęli głowami. Wspólnie z Włochem pomogli wyjść z wozu wijącej się w bólach kobiecie i przenieśli ją ostrożnie do sklepu. Ekspedientki przygotowały stojącą na zapleczu kozetkę i ostrożnie ułożyły na niej chorą. Włoch nadal gestykulował i tłumaczył:

– Io. Con auto.

Milicjanci starali się wyjaśnić, że już wzywają doktora przez radiotelefon, ale Włoch uparł się, że sam załatwi tę sprawę. Jeden z milicjantów został przy kobiecie, drugi pobiegł do radiowozu, by wezwać pogotowie. Rossi pomknął za nim, wskoczył do swego samochodu i pełnym gazem wyrwał do przodu. Milicjant nie przerywając rozmowy z pogotowiem ruszył za Włochem. Nagły zryw, źle obliczony zakręt i radiowóz wali błotnikiem w słup sygnalizacyjny. Milicjant wpada na kierownicę. Traci przytomność. Po chwili ostry ból przywraca go do rzeczywistości. Z trudem podnosi mikrotelefon:

– Tu R-321, R-321! R-32 zgłoś się! Odbiór!

– Tu R-32. Słucham cię! – odzywa się spokojny głos dyżurnego Komendy Powiatowej w Kłodzku.

– Samochód numer rejestracyjny Roma 83-24, kolor ciemnozielony, ucieka w kierunku granicy. Ścigając go miałem wypadek. Zostawił w sklepie przy Grunwaldzkiej chorą kobietę.

– R-321, wróć do chorej kobiety i pilnuj jej. Jaki numer wozu podałeś?

– Roma 83-24. Włoska numeracja. Wóz kombi...

– W porządku! Nie martw się o niego! Czekaj przy chorej kobiecie!

– Kiedy nie mogę się ruszyć. Zdaje się, że mam złamane żebro...

– Czekaj więc na lekarza! Zaraz go przysyłam...

Z dala zbliżał się przytłumiony sygnał karetki pogotowia. Sygnał narastał, drażnił uszy.

W uliczkę, migając niebieskim światłem, wpadło pogotowie ratunkowe. Zatrzymało się z piskiem opon przy radiowozie.

– Co się stało? – głos lekarza, zagląającego do wozu, był spokojny.

– Chyba żebra... Nie mogę się ruszać!

– Władek! – krzyknął lekarz w stronę kierowcy. – Weź pana władzę, pomóż mu dojść do karetki. Niech się położy. I poczeka. Ja zobaczę tę chorą kobietę!

Nie minęło pięć minut, gdy w drzwiach sklepu ukazała się towarzyszka Rossiego. Szła normalnie. Przy twarzy trzymała chustkę, którą bez przerwy wycierała Izy. Lekarz, i milicjant, rozsuwając na boki tłum, żądny jak zawsze sensacji, doszli do karetki. Funkcjonariusz MO uruchomił radiotelefon:

– R-32, R-32! Tu R-321! Zgłoś się odbiór!

– Tu R-32! Słucham cię!

– Przyślij mi jednego funkcjonariusza. Górniak ranny. Ja mam doprowadzić do komendy aresztowaną. Będę prowadził nasz radiowóz. Uszkodzony, ale może dociągnie...

– Słuchaj R-321, ta kobieta jest chora...

– Tu jest lekarz. Twierdzi, że jest zdrowa. Symulowała atak, by umożliwić ucieczkę temu Włochowi.

– W porządku, R-321! Wysyłam do ciebie Gańkę. Zaraz tam będzie...

– R-32, Tu R-321, zrozumiałem! Odmeldowuję się!

*

Kapitan Osiał siedział przy biurku dyspozytorskim. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął obgryzać paznokcie.

– Psiakrew! Wszystko popsuli! Rossi spłoszony może zmienić kierunek ucieczki. Albo w ogóle zmienić plany wyjazdu!

W głośniku zachrobotało.

– „Obraz”, „Obraz”. Tu X-27! Obiekt jedzie zgodnie z planem!

– Przyjąłem! Czekam na dalsze meldunki! – Osiał drżącą ręką podregulował gałką siły głosu. – X-27! Gdy obiekt będzie przy granicy, odbij w bok. Nie masz już po co pchać się za nim. Oślaniaj w razie czego drogę odwrotu.

– Zrozumiałem! – X-27 wyłączył się.

Osiał nie zdążył jeszcze ściszyć odbiornika, gdy w głośniku znów zachrobotało. Meldowała się Komenda Powiatowa w Kłodzku.

– „Obraz”, „Obraz”! Słyszysz mnie?

– Słyszę cię dobrze!

– Mamy u siebie zatrzymaną kobietę. Chciałbym podać jej personalia...

– Zajmiemy się nią we właściwym czasie! – Osiał bezceremonialnie przerwał funkcjonariuszowi z Kłodzka. – Wyłączcie się natychmiast bo blokujecie mi linię!

– Zrozumiałem! Odmeldowuję się!

*

Samochód Rossiego wjechał na podjazd Granicznego Punktu Kontroli w Międzyzlesiu. Włoch szybko wysiadł z wozu i podał swój paszport dyżurującemu w okienku celnikowi. Ten powoli i systematycznie zaczął studiować dane personalne. Jednocześnie przycisnął znajdujący się pod jego nogą włącznik.

Z pawilonu wyszło dwu celników w asyście dwu wopistów. Zbliżyli się powoli do Włocha.

– Kontrola graniczna! Proszę o umożliwienie sprawdzenia samochodu!

Rossi otworzył bagażnik i drzwi wozu. Sam stanął obok. Celnicy powoli, metodycznie przeglądali auto. Sprawdzili przestrzeń między ścianą bagażnika a oparciem tylnego „siedzenia, opukali blachę między podłogą bagażnika a zbiornikiem benzynowym, szukali podwójnego dna w zbiornikach na benzynę, a przed nimi był jeszcze akumulator, kanistry, koła zapasowe i mnóstwo innych zakamarków wykorzystywanych przez przemytników na schowki. Ale im się nie spieszyło. Musieli zdobyć pewność, że samochód jest „czysty”.

Nagle jeden z celników przywołał ruchem ręki kolegę. Pod tylnym siedzeniem wozu, w poprzecznym wzmocnieniu ramy, znajdował się otwór, zakryty metalową płytką, do której zamocowano dwa zamki ryglowe. Otwór, jak i całe wnętrze wozu, zamalowany był smołowcem chroniącym przed korozją. Celnik otworzył pokrywkę. Pod nią znajdowała się skrytka, a w niej nieduży pakiet. Odwinął parafinowany papier.

Trzymał w ręku dwie stare ikony o ciężkich, ciemnych barwach.

Włoch rzucił się do przodu, jakby chciał wyrwać obrazy z rąk celnika. Ale wopiści byli szybsi. Chwycony za ręce Rossi miotał się na wszystkie strony, wyrzucając z siebie potok przekleństw.

– Coś już mamy... – odezwał się jeden z celników – możemy odstawić samochód na bok. Chyba bez pomocy monterów nic już nie znajdziemy.

– To niemożliwe. Poszukajmy jeszcze trochę. Przecież ten obraz to wielka paka, musimy go znaleźć.

Ale obrazu nigdzie nie było. Celnicy zmęczeni kończyli poszukiwania.

– Signore Rossi, po co wozi pan ze sobą kije golfowe? – zapytał nagle jeden z nich po włosku. – Przecież w Polsce ten sport nie jest uprawiany?

– Właśnie dlatego je miałem! Chciałem zainteresować tym sportem jakiś klub polski. Dostarczałbym sprzęt na dogodnych warunkach. Załatwiłbyś instruktorów.

Celnik, który po raz pierwszy oglądał sprzęt golfowy, znany mu tylko ze zdjęć lub filmów zachodnich, chciał się bliżej przyjrzeć wiezionemu przez Rossiego kompletowi. Ujął owalne pudło. Spróbował podnieść je do góry. Ale było ono niezwykle ciężkie.

– Jak ten sprzęt nosić ze sobą, skoro jest taki ciężki? – Kręcił z powątpiewaniem głową.

– Wy produkujecie świetne wózki golfowe o napędzie elektrycznym. One dowożą sprzęt na stanowiska! „Melex” e

una fantastica idea! Jaka lekkość, zwrotność! – zachwycał się z coraz większym zapalem Włoch.

Celnik nie słuchał tych pochwał. Skinął na swego kolegę. Wspólnymi siłami wyciągnęli pudło przed samochód.

– Signore Rossi!

– Si, prego?

– Dlaczego to pudło jest takie wysokie? Przecież kije są krótkie?

– Bo to jest uniwersalne pudło. Służy także do transportu innego rodzaju kijów. Dłuższych od tych...

– A dlaczego jest ono takie grube? – Nie ustępował celnik.

– Grube? Grube? – powtarzał w kółko Rossi.

Widać było, że zaczął tracić pewność siebie.

– Może w obudowie pudła znajduje się obraz ukradziony z kościoła w Grzybieniu? – zastanawiał się jeden z celników.

– Niemożliwe! – powątpiewał drugi. – Przecież Komenda Główna podała, że obraz jest stary. Wielokrotnie konserwowany. Do tego pociągnięty białkiem... Przy zwinięciu farba odprysnie... Czyżby ten znawca sztuki chciał zniszczyć tak wartościowy obraz?

– Signore Rossi! – pierwszy celnik zwrócił się w stronę Włocha trzymanego przez wopistów. – Niech pan nam powie, gdzie pan schował ten obraz?

Rossi uśmiechnął się ironicznie, ale nie odpowiedział.

– Nie ma rady! Wyciągamy! – westchnął celnik. – Tylko ostrożnie, żeby go bardziej nie uszkodzić.

Po kilku minutach obraz wyciągnięty z futerału leżał na bagażniku wozu. Ale nie był to obraz z Grzybienia.

– Chełmoński... – Celnik odczytał z trudem ledwie widoczny podpis. – Nie tego mieliśmy szukać!

Celnicy znów oglądali samochód ze wszystkich, stron.

– Gdzie on mógł schować taki duży obraz? I to na płask? – zastanawiali się.

– Nie ma rady, zabawimy się w „ciepło-zimno” z tym Rossim.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Ja będę opukiwał różne części wozu, a ty obserwuj twarz Włocha. Gdy tylko zauważysz jakiś skurcz czy grymas, chrząknij...

Celnik oglądał podwozie, później podłogę. Cisza. Dotknął tapicerki pod sufitem. Nic. Żadnej reakcji ze strony Włocha. Wyprostował się i oparł rękę na dachu wozu. Odruchowo zaczął przesuwac ją po gładkiej powierzchni. Posłyszał chrząknięcie kolegi... Podskoczył jak oparzony.

– Daj scyzoryk! Szybko! – krzyknął w stronę kolegi.

Podniecony odkryciem energicznie odłupywał lakier z dachu wozu. Po chwili dostrzegł wyłaniający się skrawek czarnej taśmy izolacyjnej. Podważył ją, po czym ostrożnie już wsunął scyzoryk w szparę między taśmą a dachem. Ostrze scyzoryka oparło się o jakiś występ.

– Chyba znaleźliśmy! – krzyknął w stronę kolegi. – Bierz szybko dłuto i młotek. Odwalamy ten lakier!

– Panowie! Ostrożnie! – rozległ się nagle błagalny głos Rossiego. – Tam jest obraz! Możecie go uszkodzić!

*

W ciszy gabinetu oficera dyżurnego zaterkotał dalekopis.

Osial poderwał się, jakby go ukąsiła żmija. Wpadł do kabiny i śledził uważnie tekst depeszy:

GPK Międzyzylesie do KGMO. Zatrzymano obywatela włoskiego Luciano Rossi. Wyżej wymieniony przewoził w swym samochodzie nr rej. ROMA 83-24 dwie ikony oraz dwa obrazy. Jeden namalowany przez Chetmońskiego, drugi pochodzący prawdopodobnie z kościoła w Grzybieniu. Zatrzymanego wraz z odzyskanymi zabytkami przekazuje się do dyspozycji KGMO. Transport nastąpi jutro rano. Podpisał: dowódca placówki WOP – mjr Jaskulski.

Kapitan Osial odtelegrafował: *Przyjął kpt. Osial. I już całym nieregularnie wystukał: Dziękuję Wam! Jesteście bycze chłopaki!*

Opadł z westchnieniem ulgi na stojący w rogu pokoju fotel. Wyciągnął nogi, ręce skrzyżował na karku, przymknął oczy. Chwila odprężenia. Najważniejsze ma już za sobą. Obraz został uratowany!

Nagle delikatne szarpnięcie przywołało go do rzeczywistości. To dyżurny nie doczekawszy się odpowiedzi na kilkakrotne wołanie oparł rękę na jego ramieniu.

– Antek! Rozmowa do ciebie!

Podszedł do stanowiska.

- Kapitan Osial, słucham!
- Tu dyżurny KPMO Kłodzko! Ja, obywatelu kapitanie, w związku z tą zatrzymaną kobietą! – Głos brzmiał niepewnie.
 - Przecież mówiłem już. Przekażcie ją do nas, wtedy się nią zajmiemy!
 - Ale to kłopotliwa sprawa!
 - Co za sprawa! – Osial był zniecierpliwiony.
 - W torebce tej kobiety znaleźliśmy wasze nazwisko, adres i numer telefonu! – szybko, jakby bojąc się, by mu nie przerwano, wyrecytował dyżurny komendy powiatowej.
- Osial był tak zaskoczony, że nie zareagował.
 - Halo, obywatelu kapitanie? – odezwał się głos.
 - Tak, tak! Słucham! Macie jej personalia?
 - Właśnie już poprzednio chciałem je podać. Ale, obywatelu kapitanie...
 - Dobrze, dobrze! Podajcie te personalia!
 - To jest Danuta Witek, zamieszkała w Warszawie...
- Osial nie słyszał dalszych słów dyżurnego. Słuchawka wypadła mu z ręki...

Rozdział 12

Kapitan Osial zreferował przebieg akcji pułkownikowi Wrońskiemu.

- Świetnie, kapitanie! Zasłużyliście na dużą premię! – Pułkownik nie ukrywał zadowolenia.

– Tak, tylko to jeszcze nie koniec. – Osial nie podzielał entuzjazmu szefa. – Nie wiemy, kto był szefem gangu.

– To już pójdzie łatwo! Mamy pod obserwacją tego Carlo Benzi. Poza tym wiemy, że Danuta Witek jest zamieszana w aferę. A jeśli ona, to i jej ojciec. Byli razem w Grzybieniu w momencie pożaru. Niejasna jest również rola tego organisty. Jak widzicie, pozostały nam jeszcze trzy osoby do rozszyfrowania. I to osoby znane, będące w zasięgu naszej ręki... Przesłuchajcie Rossiego i Danutę Witek.

– Towarzyszu pułkowniku! – zaczął niepewnie Osial. – Ja właśnie w tej sprawie...

– Co tam?

– Chciałbym, żeby Danutę Witek przesłuchał kapitan Skwarek.

– Dlaczego?

– To sprawa osobista!

– Wiecie, że w czasie dochodzenia nie ma spraw osobistych! – zachnął się pułkownik.

– Ale ta jest wyjątkowa... – próbował argumentować Osial.

Pułkownik spojrzał na kapitana.

– Dobrze! Znam was nie od dziś. Wiem, że jesteście dobrym funkcjonariuszem. Rozsądnym, zdyscyplinowanym. Jeśli mówicie, że nie chcecie przesłuchiwać Danuty Witek, musicie mieć poważne powody. Niech ją przesłucha Skwarek. Jednak chciałbym, żebyście przy tym byli.

– To się da zrobić, towarzyszu pułkowniku! Dziękuję!

– To wszystko, kapitanie! Zajmijcie się więc tymi Witami

i Benzim. Jeśli czegoś będziecie potrzebowali, walcie śmiało do mnie!

Kapitan Osial wyprężył się, zrobił w tył zwrot i skierował do drzwi. Gdy je otworzył, posłyszał za sobą głos pułkownika:

– Głowa do góry, Osial! Nie na jednej Danucie Witek kończy się świat!

Kapitan Osial wszedł do swego Fiata. Postanowił przesłuchać Romana Witka, przekonać się, który z dwóch braci maczał palce w tej brudnej sprawie.

Willa Witka znajdowała się w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Filtrowej. Z tyłu, za nią, stał mały budynek – warsztat ślusarski. Informowała o tym duża tablica przy bramie.

Osial wjechał na podjazd. Podeszedł do ładnie rzeźbionych w jasnym drzewie drzwi. Nacisnął przycisk dzwonka. Otworzyła mu starsza kobieta. Osial poznał od razu: to była matka Danki.

– Proszę?

– Do pana Romana Witka.

– W jakiej sprawie?

– Osobistej... Pan Witek mnie zna. Poznaliśmy się u jego brata w Grzybieniu...

– Ach, tak! Proszę do środka! Mąż jest w pokoju. – Twarz kobiety rozjaśnił miły uśmiech.

Osial wszedł do przedpokoju, rozejrzał się uważnie dokoła.

– Romek! – krzyknęła w głąb mieszkania Witkowa. Odpowiedzi nie było. Tylko na podwórzu rozległ się warkot zapuszczanego silnika. Osial tknięty złym przeczuciem rzucił się do wyjścia.

Było jednak za późno. Popielaty Trabant minął bramę, zakręcił z przerażającym piskiem opon i pognął w kierunku Żwirki i Wigury.

Popielaty Trabant! Osiał uświadomił sobie, że przecież z identycznego samochodu oddano do niego strzał!

Dopał swego Fiata. Wyrwał do przodu jak wyrzucony z katapulty. Spod kół trysnęły fontanny żwiru. Odruchowo sięgnął po radiotelefon.

– Cholera! – zaklął głośno. Pułkownik proponował mu już kilkakrotnie zainstalowanie radiotelefonu w jego Fiacie. A on uparcie odmawiał. To jego prywatny wóz. Nie muszą postronni wiedzieć, że pracuje w MO. Radiotelefon by go dekonspirował. Klął teraz swą decyzję. Zdecydował, że zaraz po akcji każe sobie to urządzenie zamontować.

Trabant pędzi, me zważając na światła na skrzyżowaniu. Skręca w Żwirki i Wigury. Ociera się o jadącą przepisowo Syrenkę. Witek traci panowanie nad kierownicą. Wóz zarzuca parę razy na boki. Tylne zderzak potrąca przepuszczającego rozpędzony samochód przechodnia. Ten pada na jezdnię. Witek wyrównuje i pędzi przed siebie. Jest na wysokości cmentarza żołnierzy radzieckich. Ale już nie umknie. Kilka wozów, których kierowcy spostrzegli szalejącego Trabanta, siedzi mu na karku. Dokoła rozlega się przeraźliwe wycie klaksonów.

Z przeciwnej strony nadjeżdża radiowóz. Załoga skręca przez trawnik na pas, którym ucieka Witek. Blokują drogę. Trabant tańczy na jezdni, zwiija się w gwałtownym slalomie. Usiłuje wyminąć radiowóz. Skręt w lewo, skręt w prawo.

Jeszcze raz w lewo. Wpada na trawnik i nadziewa się na rosnące na nim drzewo. Witek wyskakuje z wozu. Pędzi prosto przed siebie, tuż pod koła nadjeżdżającego od strony lotniska samochodu-chłodni. Pisk opon. Wóz skręca w lewo. Bok chłodni ociera się niemal o twarz osłupiałego z przerażenia mężczyzny. Na ramiona Witka spadają silne dłonie milicjantów. Próbuje jeszcze wyswobodzić się z ich uścisku... Ale trzymają mocno. Wykręcają mu ręce do tyłu. Rozlega się szcęk kajdanek. Kapitan Osial biegnie do radiowozu, łączy się z komendą.

– Towarzyszu pułkowniku! Złapaliśmy uciekającego Witka! Proszę eskortę. Jesteśmy na Żwirki i Wigury róg Racławickiej. Poza tym proszę o wywiadowców do domu Witka. Chcę przeprowadzić rewizję...

– Dobrze! Niech radiowóz z Witkiem czeka na naszych chłopców. Wy jedźcie do jego domu. Posyłam tam brygadę.

Osial wrócił pod willę Witka. Pochodził czas jakiś po wąskiej uliczce, obserwując dyskretnie otoczenie. Dokoła panowała cisza i spokój. Kiedy nadjechał wóz z wywiadowcami, weszli do wnętrza domu..

– Pani Witek! Jest pani zatrzymana do naszej dyspozycji. Po rewizji złożą pani zeznania – zwrócił się do gospodyni.

– Proszę pana, ja naprawdę nic nie wiem o pracy mego męża. Owszem, mówił mi czasami, że prowadzi dość ryzykowne interesy, ale z kim i jakie, tego nie wyjaśniał.

Weszli do warsztatu.

– Czy poza pani mężem nikt tu nie pracuje? – Osial był

zdziwiony pustką panującą w niewielkim pomieszczeniu.

– Mąż zatrudnia jednego pracownika. Ale dziś pojechał on do miasta. Miał oddać jakąś pracę i załatwić materiały do produkcji.

Osiął rozejrzał się dokoła. Był to nad wyraz skromny warsztat. Sądząc po wyposażeniu, wytwarzano w nim jakieś proste części, i to w niewielkich ilościach. Na półkach i skrzyniach leżały zamki, podkładki, śruby, zaczepy. Zakład był raczej zasłoną, skrywającą właściwe źródło dochodów jego właściciela.

Wywiadowcy szperali po kątach. Odsuwali skrzynie, składali w jednym miejscu wszystkie druty i blachy. W końcu przesunęli dość dużą pakę stojącą pod ścianą. W podłodze ukazały się niewielkie drzwiczki. Otworzono je. Kapitan Osiął zajrzał do wnętrza oświetlonego latarkami wywiadowców. W obmurowanym, wyłożonym impregnowanym materiałem schowku leżały srebrne lichtarze, pochodzące prawdopodobnie z kościołów, złote i srebrne medaliki i serduszka oraz kilkanaście ikon. Były tam również trzy obrazy, na których po dokładniejszym obejrzeniu znaleziono daty: 1819, 1870, 1895. Miały więc wartość muzealną.

Kapitan Osiął ponownie rozejrzał się po warsztacie. W kącie, tuż za drzwiami, leżał zwój drutu stalowego. Pętłą z takiego drutu uduszono Haraźnego – przypomniał sobie.

– Zabezpieczcie odcinek tego drutu i wraz z odpowiednią informacją prześlijcie do Zakładu Kryminalistyki. Oni już będą wiedzieli, co z tym zrobić – zwrócił się do najbliższego stojącego wywiadowcy. – Pani Witek – spojrzał na asystującą

przy rewizji kobietę. – Czy mąż prowadził jakieś księgi finansowe? Chciałbym je zobaczyć.

Witkowa podała leżący w jednej z szuflad biurka zeszyt. Kapitan sprawdzał poszczególne pozycje: ilość zamówień i ich wartość. Nie było tego dużo. Miał rację! Warsztat był parawanem kryjącym właściwe źródło dochodów Witka – kradzież i przemyt dzieł sztuki.

Przeglądając zapisy Osiał zastanowił się, skąd zna ten charakter pisma. Już gdzieś widział te ostre, wysokie litery. Przypomniawszy sobie. Tą samą ręką wypisane było upoważnienie do odebrania pieniędzy w antykwariacie. Carlo Benzi to Witek. Dlatego nie odbierał osobiście należności. Nie chciał, by go poznano. Wolał pozostać w cieniu. Ale ten adres na Lipińskiej, ta gospodyni?

– Pani Witek! Czy pani mąż często bywał poza domem?

– Nie! Parę dni w miesiącu. Jeśli musiał załatwić jakieś sprawy handlowe...

– Czy była pani kiedyś na ulicy Lipińskiej?

– Nie! – odpowiedziała po namyśle Witkowa. – Nigdy o takiej ulicy nawet nie słyszałam!

– A zna pani człowieka o nazwisku Carlo Benzi?

– Nie! Nie znam.

– A Luciano Rossi?

– O, tak! To narzeczony naszej córki... Właśnie wczoraj wyjechali do Włoch. Wracają za miesiąc, przy końcu sierpnia. We wrześniu odbędzie się ślub.

Osiał poczuł bolesne ukłucie w okolicy serca. Więc to tak? Umawiała się z nim, przychodziła do niego i nawet nie wspominała o narzeczonym. Do tego ten Czernik! Głupiec! Był

zazdrosny o Osiala, nie wiedząc, że jest jeszcze trzeci, najniebezpieczniejszy!

Rewizja dobiegła końca. Nie znaleziono więcej dowodów świadczących o przestępczej działalności Witka. Ale i te wystarczyły.

Osial wrócił do komendy. Kazał przyprowadzić aresztowanego. Teraz patrzył na skulonego, małego człowieka. To jest, ojciec Danki – pomyślał. Czuł do niego pogardę.

– Dlaczego uciekał pan przede mną? – zaczął bez wstępow.

Milczenie.

– Proszę odpowiadać.

– Pan wie, dlaczego uciekałem. Po co pytać? – burknął Witek, patrząc uparcie w podłogę.

– Szczerym zeznaniem pomoże pan sobie i córce!

Witek podniósł głowę. Na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiech.

– Córci? Nic jej nie zrobicie. Ona jest już poza Polską...

– Myli się pan. Wkrótce zobaczy się pan z córką i jej narzeczonym, signore Rossi. – Aresztowany skurczył się. Jego postać jeszcze bardziej zmaląła. – Włoch wykpi się z tej sprawy. Wszystkie konsekwencje poniesie pan... Dlaczego pan uciekał?

– Myślałem, że uda mi się uciec...

– Nie miałem zamiaru pana aresztować.

– Wiedziałem, że jest pan na tropie Haraźnego. Zdawało mi się, że już na mnie kolej.

– Skąd pan to wiedział?

– Nie był pan zbyt ostrożny w rozmowach z moją córką,

panie kapitanie.

Osiął poczuł ból w piersi. Danką! Dlaczego Danką? Powiedziała ojcu przypadkowo czy z rozmysłem?

- Dlatego Harażny zginął?
- Zginął? Niemożliwe! – Witek był zdziwiony.
- Został uduszony pętlą z drutu. Taki sam znaleźliśmy u pana w warsztacie.

– Ja go nie zabiłem! Proszę mi wierzyć! – Witek krzyknął rozpaczliwie. – Ja go nie zabiłem! Panie kapitanie!

– Dojdziemy do tego... – Osiął mówił spokojnie, obojętnym tonem. – Zaczniemy jednak od początku. Jak doszło do kradzieży obrazu w Grzybieniu?

Witek milczał czas jakiś. Zastanawiał się. Wreszcie rozpoczął:

– Rossi znał historię obrazu. Uparł się, że obraz musi wrócić do Włoch. Tam, skąd przybył do Polski.

- W jaki sposób spotkał się pan z Rossim?
- Przez pewnego obywatela włoskiego.
- Jego nazwisko? Adres?

– Nie wiem, nie znam. Naprawiał parę razy u mnie samochód. Kiedyś zaprosiłem go do mieszkania. Zobaczył u mnie ikony. Powiedział, że zna Włocha, którego to interesuje. Ten Włoch to Rossi.

– To dlaczego Rossi kupował ikony w antykwariacie, a nie bezpośrednio od pana?

– Nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Dostarczałem ikony do antykwariatu przez Harażnego i Czernika. Tam kupował je Rossi.

– A dlaczego pieniądze za ikony brał niejaki Carlo Benzi?

– Carlo Benzi?
– Tak! Carlo Benzi!
– Carlo Benzi, mówi pan kapitan? – powtórzył jeszcze raz Witek.

– Mówię wyraźnie! Carlo Benzi! – Osiała trochę zdenerwowało to powtarzanie.

– Ach! Carlo Benzi! – Witek zrobił minę, jakby sobie nareszcie coś przypomniał. – A to taka handlowa sprawa. On dostarczał mi części do Fiatów, a ja, żeby uniknąć dodatkowych rozliczeń, scedowałem na niego zarobki ze sprzedaży ikon...

– Nie można powiedzieć, żebyście sobie komplikowali rozliczenia – ton Osiała był ironiczny. – Czy to ten Benzi skontaktował pana z Rossim?

– Nie! To zupełnie inna sprawa! – wyjaśnił Witek.

– Skąd brał pan ikony?

– Kupowałem od chłopów w Bieszczadach i na Białostocczyźnie...

– Ile zapłacił panu Rossi za kradzież obrazu?

– To miał być posag córki...

– Z państwowej kieszeni.

Witek w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Jak zorganizowaliście kradzież?

– Doprowadziłem do tego, że brat zaprosił mnie do Grzybienia. Dorobienie kluczy było dla mnie fraszką. W nocy otworzyłem kościół. Do środka wszedłem z Harażnym. Wyciągliśmy obraz z ram i załadowaliśmy do czekającego wozu.

Później wróciłem do kościoła i podpaliłem go. Myślałem, że ołtarz zdąży się spalić, że kradzieży się nie wykryje...

– Czy córka wiedziała o pana planach, czy brała w tym udział?

– Nie! Ona spała. Zbudził ją krzyk brata.

– Długo współpracował pan z Haraźnym?

– To zależy. Znaliśmy się pewien czas...

– Pana brat pomagał w kradzieży obrazu?

– Nie! On o niczym nie wiedział... Nigdy by się na to nie zgodził. To przypadek, że akurat brat i ten obraz znaleźli się w Grzybieniu...

– Kto należał do szajki?

– Kierowca. Nie znam, go. To człowiek Haraźnego... Następnie Haraźny i ja.

– A Czernik?

– Czernik! To głupi idealista. On nie należał do nas. Wykorzystywałem go tylko do sprzedaży niektórych przedmiotów. Kochał się w Dance. Chętnie spełniał moje prośby.

– I namówił pan Czernika, by zabił Haraźnego?

– Ależ nie! Ja tego nie zrobiłem! Jeszcze raz to panu powtarzam! Nie namawiałem też Czernika!

– Więc kto go zabił?

– Nie wiem! Może miał wrogów! Ja do niego nic nie miałem...

– Dobrze! Na dziś wystarczy! – Osiał zatelefonował po profosa. – Odprowadzić aresztowanego! Przyprowadzić Rosiego!

Witek podniósł się z krzesła, jakby dźwigał na swych barkach ogromny ciężar.

- Panie kapitanie, mam wielką prośbę...
- Co takiego? Osiał był zniecierpliwiony.
- Czy mógłby pan przekazać mojej żonie ten list?

Witek wyciągnął rękę z kopertą.

– Właściwie to niezgodne z regulaminem... – Zawahał się. – No dobrze, niech pan da!

Po pięciu minutach profos przyprowadził Włocha. Był pewny siebie, sprawiał wrażenie, że to on jest osobą poszkodowaną. Jednocześnie z Rossini do pokoju wszedł tłumacz.

– W jaki sposób dowiedział się pan o obrazie w Grzybie-
niu?

– Wyczytałem w dawnych kronikach, że obraz ten znajduje się w pałacu książąt Sapiehów w Koleniu. Pojechałem tam. Poinformowano mnie, że teraz jest on w województwie olsztyńskim. Mając takie informacje, odnalazłem go bez trudu.

– Czy to pan był tym Włochem, który zwiedzając kościół z wycieczką wywołał w nim awanturę? – Osiał przypomniał sobie zeznania organisty Witka.

– Tak!

– O co była awantura?

– Powiedziałem, że ten obraz powinien wrócić do Włoch.

– Czy przewodnik był pana znajomym?

– Nie... To znaczy, tak. To był Włoch. Mieszka tu, w Polsce. Stale kręci się koło wycieczek włoskich. Oferował swe usługi jako przewodnik. Pomagał w załatwianiu różnych spraw. Brał za to prowizję...

Osiadł zachnął się. Organista twierdził, że ten przewodnik to Polak z armii Andersa. Może chciał uchodzić za Włocha – pomyślał.

- Widział pan jego dokumenty? – spytał.
- Nie!
- Jego nazwisko i adres?
- Tego nie wiem... Nie przedstawialiśmy się sobie. Spotykaliśmy się na mieście lub w hotelu...
- Skąd zna pan Witka?
- Właśnie przez tego Włocha...
- W jaki sposób poznaliście się?
- Nie wiem. Nie pamiętam...
- Może jednak pan sobie przypomni?
- Nie! Naprawdę nie pamiętam...
- A skąd ta serdeczna przyjaźń między wami?
- Witek zaprosił mnie kilka razy do domu. Jego córka spodobała mi się. I tak się zaczęło.
- Ile zapłacił pan Witkowi za skradziony obraz?
- Nic! Witek ofiarował mi go w posagu...
- Czy pana miłość potrzebowała materialnego wsparcia?
- U nas panuje zwyczaj dawania posagu przez rodzinę panny młodej. Nie widzę powodu, bym miał od tego zwyczaju odstąpić.
- To znaczy, że gdyby pan nie chciał posagu, Witek nie ukradłby obrazu?
- To jego sprawa. Nie mówiłem mu, że musi mi dać ten obraz. – Rossi wzruszył ramionami.
- Ale mówił pan Witkowi, że chce mieć obraz z Grzybienia?

- Tak! To mówiłem!
- Zna pan Carla Benzi? – Osial zaatakował z innej strony.
- Owszem, znam! – spokojnie potwierdził Rossi.
- Handluje antykami i dziełami sztuki? – Osial był zadowolony. Nareszcie jakiś krok do przodu.
- Nie! Ma małą fabryczkę, w której produkuje święte wota i obrazki.

Osial zachnął się.

- Tu? W Warszawie?
- Nie! W Varese... Prowadzi ją od kilkunastu lat.
- Co robi w Polsce?
- On nigdy nie był w Polsce! – roześmiał się Rossi. – Nie wyjeżdżał z Varese dalej niż pięćdziesiąt kilometrów!...

Osial zacisnął zęby.

- A nie zna pan żadnego Benzi tu, w Warszawie?

Rossi myślał chwilę.

- Nie, nie znam..

Osial postanowił skończyć tę rozmowę. Był zdenerwowany albo ci dwaj drwią z niego, albo jest zbyt zmęczony i nie może znaleźć właściwych pytań. Postanowił opracować sobie na jutro dokładny plan przesłuchania. Odesłał Włocha do aresztu.

Kiedy został sam, zaczął porządkować papiery na biurku. Natknął się na kopertę wręczoną mu przez Witka. Psiakrew! Jeszcze muszę się bawić w listonosza! – zaklął w duchu. Obracał

kopertę w rękę. Była otwarta. Zgodnie z przepisami. Postanowił sprawdzić, o czym pisał Witek? A nuż będzie tam jakaś cenna informacja. Musi coś być, skoro Witek nie dał listu profesowi.

Wyjął z koperty gęsto zapisaną kartkę. Patrzył chwilę uważnie. Coś tu się nie zgadzało! Po raz pierwszy widział ten charakter pisma. A przecież miał upoważnienie od Benziego i oglądał księgi rachunkowe w warsztacie Witka. Czyli Witek to nie Benzi?! Ależ tak! Jest jeszcze ten pracownik! To on mógł prowadzić księgi! Trzeba szybko go odnaleźć!

Rozdział 13

– Benzi jest w domu! – złożył krótki meldunek wywiadowca, obserwujący willę przy ulicy Lipińskiej.

Kapitan Osiał czuł, jak drga w nim każdy nerw.

– Jesteście uzbrojeni?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie!

– Czekajcie na mnie! Zaraz tam będę! – Trzymając jedną ręką mikrotelefon, drugą wkładał pistolet do futerału, umocowanego pod pachą. – Gdyby inwigilowany wyszedł, nie spuszczaście go z oka! Radiotelefon macie dobrze ukryty?

– Pod marynarką!

– Utrzymujemy łączność na kanale drugim!

Fiat kapitana Osiała pędził w kierunku Żoliborza.

Niedaleko Lipińskiej kapitan zaparkował wóz. Szedł teraz powoli, spacerowym krokiem nieparzystą stroną ulicy. Żadnego ruchu. Cisza i spokój. Tylko ze sto metrów przed nim pracownik przedsiębiorstwa oczyszczania miasta zamiatął ulicę. Osiał mijając go usłyszał cichy szepot:

– Bez zmian, kapitanie!

Kiwnął nieznacznie głową i szedł dalej w stronę willi oznaczonej numerem 64. Zamiatacz stopniowo, krok po kroku, posuwał się w tym samym kierunku.

Osiał przyspieszył kroku. Przeciął jezdnię i po chwili zatrzymał się przed furtką. Znajdowały się przy niej dwa przyciski z wizytówkami. „Carlo Benzi” – widniało na górnej, „Jan Skowron” – na dolnej. Nacisnął górny przycisk. Odpowiedziało mu ciche brzęczenie. Pchnął furtkę i szedł ładną, wysadzaną niskim jałowcem alejką. Drzwi do willi były otwarte. Z niewielkiego korytarzyka wiodły na piętro drewniane schody, o poręczy wyrzeźbionej w kształcie węża. Na lewo drzwi do mieszkania numer 1. Znów wizytówka – „Carlo Benzi”. Osiał nacisnął klamkę. Zamknięte. Wyszedł do ogrodu i zaczął obchodzić dom dookoła. Z tyłu znajdował się obszerny taras ze ścianą oszkloną na całą długości. Klął w duchu swój pospiech! Trzeba było wziąć jeszcze przynajmniej dwóch funkcjonariuszy. Obstawiliby teren. A teraz Benzi może mi umknąć jakąś szczeliną.

Nie było czasu na zastanawianie. Osiał uderzył kolbą pistoletu w szybę drzwi tarasowych. Rozległ się dźwięk

tluczonego szkła. Posłyszał, że na piętrze otwiera się okno. Sięgnął ręką przez wybity otwór i od wewnątrz nacisnął klamkę. Był w salonie. Szybko rozejrzał się dokoła. Stylowe meble, na ścianach obrazy dawnych mistrzów. Wszystkie utrzymane w ciemnej tonacji szkóły holenderskiej. Nagle posłyszał ciche skrzypnięcie. Odwrócił głowę. Było już jednak za późno! Zza lekko uchylonych drzwi rozległ się strzał. Poczł silny cios w prawe przedramię. Zachwiał się i powoli osunął za duży, ciężki stół. To uratowało go przed następnym trafieniem. Przełożył pistolet do lewej ręki i wycelował w szparę drzwi. Dwa kolejne strzały i cisza. Powoli, ostrożnie czołgał się do wyjścia. Rana piekła go coraz bardziej. Poczł, jak ciepła struga krwi spływa mu na dłoń. Odłożył pistolet i cisnął w drzwi stojącą w pobliżu figurką. Jego przeciwnik nie zareagował. Kapitan usłyszał tylko głośny tupot w dalszym pomieszczeniu. Poderwał się z podłogi i wpadł do pokoju. W rogu leżała związana kobieta. Poznał ją. To ona odbierała pieniądze w antykwariacie. Podbiegł do okna wychodzącego na ulicę. W furtce stał wywiadowca z wycelowanym w drzwi willi pistoletem. Otworzył okno i wychylił się na zewnątrz. Na progu willi stał mężczyzna z podniesionymi do góry rekami. Poczł, że mdleje. Przed oczami zawirowały mu niebieskie płatki, a w głowie narastał jednostajny szum. Ostatkiem sił chwycił stojący na stoliku syfon z wodą sodową. Zimny strumień spływający po twarzy i szyi przywrócił mu zdolność myślenia.

– Towarzyszu kapitanie! – posłyszał głos wywiadowcy – w porządku!

Oparł się, z trudem o okno.

- Tak! Jestem tylko ranny! Za chwile, wam pomogę.
- Dam sobie radę! – głos wywiadowcy oddał się coraz bardziej.

Gdy odzyskał przytomność, zobaczył pochyloną nad sobą postać kobiety. Kończyła bandażowanie jego ręki. W głębi pokoju siedział skuty kajdankami mężczyzna. Obok niego stał wywiadowca, popijając powoli wodę sodową. Usłyszał narastający dźwięk syreny alarmowej. Zgrzyt hamulców, chwila ciszy i do pokoju weszli dwaj funkcjonariusze w mundurach.

- Jeden z was zostanie tu aż do przyjazdu karetki i ekipy dochodzeniowej, mnie z aresztowanym zawieziecie do Komendy Głównej! – Wywiadowca przejął dowodzenie.

Gdy nadjechała karetka, Osiał już czuł się zupełnie dobrze. Pocisk przeszedł przez mięśnie, nie uszkadzając na szczęście kości. Nie chciał zostać w szpitalu. Teraz, gdy sprawa dobiegała końca nie pozwolił się od niej odsunąć.

*

Następnego dnia był punktualnie w komendzie. Zameldował się u pułkownika.

- Jak się czujecie, towarzyszu kapitanie? Może jednak byście odpoczęli? – zatroszczył się pułkownik Wroński.
- Nie! Czuję się dobrze! Jestem tylko trochę osłabiony.
- Rozumiem was! Chcecie dokończyć sprawę? Dobrze! Tylko nie przemęczajcie się. Właściwie już niewiele macie do zrobienia.

– No, brak nam jeszcze najważniejszego: szefa bandy. Poza tym nie wiemy, kto zabił Haraźnego. I co to za sprawa z Czernikiem.

– To wyjdzie podczas przesłuchań. – Pułkownik sięgnął do szuflady biurka i położył przed Osialem dwa dokumenty. – Zobaczcie. To was zainteresuje.

Osial wziął do ręki pierwszy z brzegu. Był to dowód osobisty na nazwisko Stefana Kraśnego. Później obejrzał drugi – paszport włoski wydany na nazwisko Carlo Benzi. Różne adresy zamieszkania. Z fotografii w obydwu dowodach patrzyła na Osiala twarz tego samego mężczyzny. Mężczyzny, którego ujęli z bronią w rękę w willi na Lipińskiej.

– Wiecie, kto to Stefan Kraśny? – spytał pułkownik.

– Nie! Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

– To pracownik Witka.

Osial był zaskoczony.

– Masz chęć na dalsze przesłuchania? – wyrwał go z zadumy głos pułkownika.

– Tak! Tak! Muszę doprowadzić do końca tę sprawę! – skwapliwie przytaknął Osial.

– No to bierzcie się do pracy! Nie ma na co czekać.

Kapitan zatelefonował do aresztu z sekretariatu szefa. Poleciał przyprowadzić do siebie Kraśnego. Wrócił do swego pokoju i po kilku minutach siedział już przed nim oskarżony.

– Panie Kraśny czy signore Benzi, jak mam pana nazywać? – Kapitan Osial postanowił jak najszybciej wydobyć z

podejrzanego maksimum wiadomości. – Uprzedzam pana, że żadne wybiegi z obywatelstwem włoskim nic panu nie dadzą. Porozumieliśmy się już z ambasadą. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że takiej formy przyjaźni polsko-włoskiej nie życzymy sobie. Ambasada włoska oświadczyła, że paszport został przez pana zdobyty podstępem.

– Tak szybko... – wykrzyknął zdziwiony Kraśny i przerwał w pół zdania.

Osiał spojrział w jego stronę.

– Chciał pan wyrazić zdziwienie, że tak szybko to ustalili? – spytał obojętnym tonem.

– Nie! Nie! – zaprzeczył gwałtownie Kraśny. – Chciałem powiedzieć, że tak szybkie ustalenie tego rodzaju sprawy jest niemożliwe.

– Więc, panie Kraśny, w jaki sposób zdobył pan włoski paszport? Tego Włosi nam nie wyjaśnili, a powinniśmy przecież wiedzieć.

– Mam obywatelstwo włoskie i proszę nie wmawiać mi żadnych oszustw! – zaperzył się Kraśny.

– Panie Kraśny! Wkrótce z biura ewidencyjnego otrzymam dokładne dane dotyczące pana osoby. Odpowiednie informacje przekażą nam też nasi włoscy przyjaciele. To tylko kwestia dni... A wtedy pana sytuacja, signore Kraśny lub panie Benzi, będzie niewesoła... – Osiał był spokojny. – Nie chce pan powiedzieć, w jaki sposób doszedł do tego Benziego, trudno! Może więc pan powie, dlaczego obywatel włoski, człowiek zamożny, pracował u Witka jako zwykły robotnik?

- Wolno mi pracować, gdzie chcę!
- Wolno panu! – przytaknął Osial. – A dlaczego wybrał pan właśnie Witka?
- Z ogłoszenia. Potrzebował pracownika, więc się zgłosiłem.
- Kto wpadł na pomysł handlu dziełami sztuki? Pan czy Witek?
- Byłem zatrudniony jako mechanik. Witek nie wtajemniczał mnie w swoje uboczne interesy. Wykonywałem jedynie części i podzespoły mechaniczne.
- Znał pan Haraźnego?
- Nie! Pierwszy raz słyszę to nazwisko...
- A może nazwisko Czernik coś panu mówi?
- Nie! Nie znam!
- Kto dostarczał do antykwariatu ikony, za które brał pan pieniądze?
- Nie wiem nic o żadnych ikonach!
- Sądzę, że o antykwariacie na Nowym Świecie też pan słyszy po raz pierwszy?
- Jakby pan zgadł! Po raz pierwszy!
- Jeśli tak, to dajmy temu spokój – ustąpił Osial. – Może mi pan powie, co należało do pana obowiązków w warsztacie Witka?
- Już mówiłem.
- Ale ja chciałbym usłyszeć to jeszcze raz. Dokładniej.
- Wykonywałem różne części i podzespoły mechaniczne.
- I co jeszcze?
- Kupowałem materiał. Odwoziłem wykonane prace do klientów.

- Czyli cały warsztat był na pana głowie?
- Tak! Witek nie interesował się warsztatem. Wszystko ja musiałem robić.
- A jak było z księgami zamówień, rozliczeniami?
- Ja je prowadziłem.
- Czy zna pan ten charakter pisma? – Osial położył przed Kraśnym upoważnienie na odbiór pieniędzy z antykwariatu.
- Cholera! – zaklął cicho Kraśny.
- Proszę mówić głośniej, bo nie dosłyszałem!
- Nic, nic! Ja tak, do siebie!
- Proszę, by swoje komentarze i uwagi zostawił pan na czas pobytu w celi. No więc jak? Poznaje pan to pismo?
- Nie, nie poznaję. Podobne do pisma Witka.
- Na ten temat wypowiedział się już grafolog. Porównał tę kartkę z księgami rachunkowymi z warsztatu Witka. Pismo jest identyczne. A przed chwilą pan powiedział wyraźnie, że to pan prowadził te księgi. – Kraśny spojrzął z wściekłością na Osiala. – To jak będzie z tym antykwariatem? – kapitan wrócił do poruszonego już raz tematu.

Po chwili namysłu Kraśny zaczął mówić:

- Nie znałem Haraźnego ani Czernika. To byli ludzie Witka, z którymi ja nie miałem kontaktu. To znaczy znałem ich z widzenia. Przychodzili do Witka, który kierował całą imprezą. Ja tylko odbierałem pieniądze za sprzedane dzieła sztuki.
- To znaczy, że Witek wiedział, iż występuje pan jako Benzi.

- Wiedział. Dostawałem za to udział.
- Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan, człowiek zamożny, przyjął posesję u Witka i brał prowizję za odbiór należności w antykwariacie. Nie było tego dużo... Niech pan powie uczciwie, co was jeszcze łączyło? – Osiała nie przestawał gnębić ten problem.
- Nic! Po prostu to, co już powiedziałem.
- Więc Witek był szefem gangu?
- Tak.
- Kto nadał robotę w Grzybieniu?
- Witek.
- Kto zamordował Haraźnego?
- Co?! – Na twarzy Kraśnego, odmalowało się zdziwienie. – Haraźny zamordowany? Niemożliwe!
- Możliwe, panie Kraśny. Możliwe.
- To chyba też Witek – powiedział zdecydowanym tonem.
- A tak szczerze, panie Kraśny! Był pan tylko małą płótką w tym gangu, tak?
- Tak! Odbierałem tylko pieniądze z antykwariatu.
- A propos, dlaczego to robiła pana gosposia? Dlaczego dawał jej pan upoważnienie?
- Nie chciałem, by mnie widziano. A upoważnienie dawałem, bo chciał tego właściciel antykwariatu. Żeby nie było później żadnych nieporozumień.
- No tak! W tym środowisku trzeba się zabezpieczyć. Wróćmy jednak do poprzedniego pytania. Był pan w gangu tylko małym kółeczkiem?

- Tak.
- Dlaczego więc strzelał pan do mnie?
- Myślałem, że to włamywacz!
- Można takie tłumaczenie przyjąć – zgodził się Osial. –
Dlaczego więc związał pan gospozię?

Milczenie.

- Panie Kraśny! Bo się pogniewamy! Znów pan kręci! –
Osial cmoknął z niesmakiem. – Co z tą gospozią?

- Myślałem, że jest w zмовie z włamywaczem!
- Ja wybijam szybę, otwieram drzwi, wchodzę do pokoju. Wszystko to trwa jakieś trzydzieści sekund. W tym czasie pan wiąże gospozię, bierze pistolet i czeka na mnie! Nawet w kowbojskich filmach nie są tacy prędcy. Pozwolenie na broń pan ma?

– Nie, nie mam!

- Jak na drobnego współnika, za bardzo się pan bał. –
Osial siadł wygodniej. – Dam panu teraz chwilę wytchnienia.
W jaki sposób zdobył pan włoskie dokumenty?

– Jako młody chłopak wstąpiłem do armii Andersa. Byłem we Włoszech. Nauczyłem się języka. Po wojnie zostałem tam. Wystąpiłem z prośbą o przyznanie mi obywatelstwa włoskiego. Prośbę uwzględniono. Przyjąłem nazwisko Carlo Benzi. To wszystko.

Kapitan poczuł, że słabnie, nie może skupić myśli. W głowie jak na zepsutej płycie gramofonowej brzmiał jeden fragment zdania: „W armii Andersa! W armii Andersa!” Gdzie ja to słyszałem? – próbował przypomnieć sobie Osial.

Ale myśli uciekały. Czuł pustkę w głowie. Nalał sobie wody sodowej. Wypił kilka łyków. Poczul się lepiej. Tylko ten ból w ramieniu! Coraz bardziej dokucza. Zmusił się do skupienia myśli. Jego umysł pracował jak projektor, rzucający na ekran poszczególne kadry filmu. Od początku. Od przyjazdu do Grzybienia. Wreszcie mignął poszukiwany fragment: organista Witek, wycieczka Włochów w kościele, ostry zatarg między jednym z Włochów a przewodnikiem, przewodnik daje Witkowi orzełka. Z tyłu litery S.K, i data... S.K. Stefan Kraśny!

- Był pan w Grzybieniu?
- Nie, nie znam takiej miejscowości...
- Oprowadzał pan wycieczkę Włochów po kościele. Jednym z nich był niejaki Rossi.
- Nie, nic o tym nie wiem.
- Mamy świadków, panie Kraśny. Chce pan spotkać się z Rossim? I z organistą, któremu dał pan orzełka z literami S.K.?

Przesłuchiwany opuścił głowę.

- Jak wszystko wiecie, to po co pytacie?
- Chcemy to wszystko usłyszeć od pana...
- Dobrze! Niech i tak będzie. Byłem w drugim korpusie, to prawda. Pewnego razu natknąłem się na umierającego żołnierza włoskiego.

Prosił, bym wziął jego dokumenty i przekazał je rodzinie. Wziąłem. Żołnierz nazywał się Carlo Benzi. Nie spełniłem jego prośby. Zmieniłem fotografię w jego dokumentach i zatrzymałem je dla siebie. Później wróciłem do Polski. Byłem

dobrym ślusarzem. Nie chciałem pracować w zakładzie państwowym. Bałem się, że w kadrach odkryją oszustwo. Znalazłem pracę u Witka. To on wciągnął mnie do handlu dziełami sztuki. Czasami kontaktował mnie z Włochami. Byłem ich tłumaczem, przewodnikiem. Tak trafiłem do Grzybienia.

– O co wybuchła kłótnia z Rossim w kościele?
– Nie podobało mu się, że obraz pozostaje w Polsce...
– Znał pan historię i wartość obrazu?
– Historię trochę znałem. Ale na dziełach sztuki nie znam się.

– Dlaczego pan do mnie strzelał? Za udział w gangu dostałby pan kilka lat. A teraz co?

– Wie pan, jak to jest, gdy się ma coś na sumieniu. – Kraśny wrzucił ramionami. – Nerwy mnie poniosły.

W tym momencie rozległo się głośnie stukanie do drzwi.

– Proszę! – Osiał nie był zadowolony z tej niespodziewanej przerwy w przesłuchaniu.

Do pokoju wszedł łącznik z Zakładu Kryminalistyki.

– Obywatelu kapitanie, przyniosłem wyniki ekspertyz do sprawy Haraźnego!

– Dajcie szybko! Czekam na nie od rana! – Pokwitował odbiór i szybko rozerwał kopertę. Przebiegł wzrokiem treść protokołu. Nic szczególnego: *uduszony pętlą z drutu, brak cech morderstwa rabunkowego*. Był rozczarowany. Odkładał już protokoły, gdy jeden z fragmentów tekstu przyciągnął jego uwagę:

Za paznokciami denata znaleziono włosy koloru ciemno-blond, wykazujące skłonności do falowania...

Prawdopodobnie denat broniąc się złapał mordercę za włosy...

Osiał spojrział na Kraśnego. Miał gęste ciemnoblond falujące włosy. Witek był szatynem, a Czernik brunetem.

Osiał odłożył protokół.

– Panie Kraśny! Niech pan mi powie tak szczerze, żebyśmy już skończyli tę zabawę w kotka i myszkę, znał pan Haraźnego?

– Już mówiłem, że tylko z widzenia...

– Jego adres pan znał?

– Nie, nie znałem!

– Ale był pan u niego?

– Kiedy?! Nigdy nie byłem!

– Protokoły mówią co innego. To pan zamordował Haraźnego! Dlaczego?

– Nie zamordowałem! – Kraśny nie przyznawał się do winy.

Osiał uderzył dłonią w leżące na biurku wyniki ekspertyzy:

– Tu są niezbite dowody. Wystarczą sądowi. Może pan już nic nie mówić. Za wprowadzenie władzy w błąd prokurator doliczy panu jeszcze kilka lat.

– To Witek kazał go zabić! Bo wpadliście na jego ślad. Trzeba było ten ślad przeciąć.

Osiał czuł się coraz gorzej. Krople potu zrosiły mu czoło. Wiedział, że nic więcej od Kraśnego nie wydobędzie. Na razie... Musi pewne wypowiedzi skonfrontować z wypowiedziami Witka. Dopiero wtedy będzie mógł wyciągnąć ostateczne wnioski.

– Nie, panie Kraśny! – powiedział już słabym głosem. – To nie Harażny naprowadził nas na ślad. Wyście sami to zrobili, podpalając kościół! To był błąd!

Rozdział 14

Witek wszedł, jak zawsze, z opuszczoną głową. Mimo to nie spuszczał z Osiala oczu, śledząc z napięciem każdy jego ruch.

Kapitan popił pastylki na uśmierzanie bólu. Ręka dokuczała mu coraz bardziej, poza tym bolała go głowa. Chętnie położyłby się do łóżka. Niestety. Trzeba jak najszybciej dokończyć przesłuchania. Skończyć, z tą sprawą!

– W jaki sposób poznaliście się z Kraśnym? – zaczął bez żadnych wstępów.

– Zgłosił się do mnie z ogłoszenia.

– Czy wiedzieliście, że posługuje się także dokumentami obywatela włoskiego na nazwisko Benzi?

– Nie! Skąd to mogłem wiedzieć?

– Pan polecał go Włochom jako tłumacza i przewodnika?

– Mówiłem panu, że to on przysyłał mi klientów. Ja nie znam włoskiego! – bronił się Witek.

– Dlaczego kazał mu pan zabić Harażnego?

– Ja?! Zabić? To nie ja! To on!

– Ale na pana polecenie!

Witek objął głowę rękami. Jego ciałem wstrząsnął z trudem stłumiony szloch.

- O Boże, Boże! Po co mi to było? Po co? – lamentował.
- Panie Witek! Bez teatralnych scen! Proszę odpowiadać.

Kto zabił Haraźnego?

- Kraśny!
- Na pana polecenie?
- Nie.
- Pan był szefem gangu?

Witek bez przerwy zaciskał i otwierał dłonie. W końcu zerwał się z krzesła z krzykiem:

- Nic wam nie powiem! Nic!

Osiął przywołał profosa. Wiedział, że niczego już się nie dowie.

– Zaprowadźcie go po drodze do lekarza. Niech mu da coś na uspokojenie! – polecił profosowi.

Sam napił się zimnej herbaty, stojącej na biurku od dłuższego czasu. Połknął proszek od bólu głowy. Ręka już nie dokuczała tak bardzo. Ale czuł, że puls wali w niej rytmicznie. Jak młotem.

Witek szefem? Myśli kłębiły się w obolałej głowie. Coś mi tu nie pasuje! Jeden sypie, drugi za szybko się przyznaje... Bez konkretnego dowodu Witek nie przyzna się. Do czego? Że był szefem? Ależ on na to nie wygląda! Że kazał Kraśnemu zabić? To Kraśny sprawia wrażenie twardszego faceta. Nie słuchałby tego ograniczonego gbura, jakim był Witek. Ikony... Sprzedawali ikony... Skąd je brali? Przypomniał sobie słynne afery związane z kradzieżą ikon w Bieszczadach. Było to przed paru laty. Niektórych złodziei złapano, ale nie wszystkich. Może ci dwaj też kradli? Ale na to trzeba mieć dowody.

Początkowo pułkownik nawet słuchać nie chciał o wyjeździe Osiala do Rzeszowa.

– Chłopie, ledwie trzymasz się na nogach. Poza tym jest to sprawa drugorzędna. Wyjaśnimy ją później. Ja chcę mieć już teraz odpowiedź na pytanie, który z nich był szefem, który zabił Haraźnego. To, że kradli ikony, nie zmieni sytuacji.

– Jednak obaj nadal nie przyznają się. Haraźnego zabił Kraśny. Ale kto tym kierował? Kraśny czy Witek? Tego nie wiem...

– A co wam, kapitanie, da sprawa kradzieży ikon? Nawet jeśli zdobędziecie dowody, że obaj kradli... Co z tego wynika?

– Jeden z nich musiał być mózgiem. Ten sam jest nim i dziś.

– Jeśli ich nie złapano, skąd się dowiecie o tym?

– Może chwyć jakiś ślad.

Osial tracił początkową pewność siebie. Kiedy już chciał zrezygnować z przekonywania szefa, pułkownik zmienił nagie zdanie:

– Dobrze! Jedźcie! Macie na to jeden dzień. Zadzwoncie do Rzeszowa, niech przygotują materiały. Pojedziecie, zapoznacie się z nimi i wracacie do Warszawy. Dla was byłoby lepiej, gdybyście wrócili z konkretnymi informacjami.

*

W wydziale dochodzeniowo-śledczym Komendy Wojewódzkiej w Rzeszowie czekała na Osiala dość pokaźna sterta dokumentów. Mimo iż naczelnik wydziału przydzielił mu do pomocy jednego ze swych funkcjonariuszy, dobrze

zorientowanego w tych sprawach, przeglądanie dokumentów szło powoli. Przystudiowane dotychczas akta nie zawierały nic, co mogło wskazywać na Witka lub Kraśnego. Osiał powoli tracił nadzieję. Zaczął przyznawać rację pułkownikowi. To nie miało sensu.

Do przejrzania zostało jeszcze kilka teczek. Postanowił zostać do wieczora i przejrzeć wszystkie. Tak dla własnego spokoju. Że nie pominął niczego, że zrobił wszystko, co było możliwe. Wziął do ręki kolejną teczkę. Protokoły, zeznania świadków, zdjęcia. To była poważna sprawa. Podczas kradzieży ikon z małej cerkiewki został zabity leśnik, który niespodziewanie zjawił się w tym rejonie. Przystępców było dwóch. Tak odczytano ze śladów. I tu następowiała informacja, która wywołała przyspieszone bicie serca. Leśnik został uduszony pętlą z drutu stalowego. Dokładny opis pętli i jej zdjęcie pasowały do tej, którą znaleziono w mieszkaniu Haraźnego. To już było coś! Dwóch przestępców, identyczny sposób morderstwa! Osiał czuł, że znalazł właściwy ślad! Przerzucał arkusze dokumentacji. Zdjęcia niektórych skradzionych ikon. Jedna z nich to ikona znaleziona w samochodzie Rossiego! To ikona, którą Rossi otrzymał w antykwariacie przy Nowym Świecie!

Już ciemną nocą wracał do Warszawy, wioząc ze sobą cenne materiały. W domu trochę się przespał, umył, ogolił. Po drodze do komendy zjadł śniadanie w garmażerii. Wszedłszy do biura postanowił przystąpić natychmiast do przesłuchania.

Tylko kogo? Kraśny powie jak dotychczas: „to Witek!” Witek się łamie, może wyjaśni więcej?

I w ten sposób Witek znalazł się znów w pokoju kapitana Osiala. Siedział ponury, milczący. Spoglądał co jakiś czas złym wzrokiem na bladego, zmęczonego oficera.

– Panie Witek! Skąd pan brał ikony, którymi pan handlował wraz z Kraśnym? – Kapitan od razu przystąpił do sprawy.

– Już mówiłem. Kupowałem u chłopów w Bieszczadach.

– Po zakup ikon jeździliście razem z Kraśnym?

– Tak. Prawie zawsze z nim jeździłem.

– Czy poznaje pan tę ikonę? – Osial podsunął Witkowi ikonę znaną w samochodzie Rossiego.

– Dlaczego miałbym ją poznać? – Witek zrobił zdziwioną minę.

– Bo znaleziono ją u Rossiego podczas rewizji na granicy.

– No to co?

– Do antykwariatu, na Nowym Świecie dostarczył ją Haraźny. To była ikona sprzedana przez pana...

– Być może. Dużo ikon sprzedałem. Nie pamiętam wszystkich.

– Wolałbym, żeby pan sobie przypomniał.

– Jeśli panu tak bardzo na tym zależy... Tak, to ja ją sprzedałem. Ale sprzedawałem również inne, dlaczego o nie pan nie pyta?

– Bo ta została zrabowana w pewnej cerkiewce – Osial

zawiesił na chwilę głos – osiemnastego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Byliście wtedy z Kraśnym w Bieszczadach? Prawda?

Witek znieruchomiał. Chwilę siedział sprężony jak do skoku. W końcu napięcie ustąpiło.

– A skąd mogę pamiętać? – Wzruszył ramionami. – Może byliśmy, może nie byliśmy.

– Cerkiewkę w Wyhatej pamięta pan?

– Nie byłem w żadnej cerkiewce. Kupowałem ikony u chłopów.

– Powinien pan ten fakt pamiętać. Złodzieje zamordowali wówczas leśnika. Udusili pętlą z drutu. Taką samą pętlą, jaką uduszono Haraźnego.

Witek sprawiał wrażenie, że za chwilę straci przytomność. Jego twarz stała się purpurowa, oczy wyszły z orbit. Zaczął ciężko oddychać. Ostał podał mu szklanę wody. Wypił kilka łyków.

– To już koniec! Wygrał pan! – powiedział, odstawiając szklanę.

– Więc jak to było, panie Witek?

– Kraśnego poznałem w Bieszczadach. Szukał ikon, tak jak i ja. Ale ja je kupowałem. Dopiero on namówił mnie do kradzieży. Dwa razy nam się udało. Za trzecim razem, gdy wychodziliśmy z cerkwi, nie wiem, jaka to była miejscowość, natknęliśmy się na leśnika. Zobaczył nas. Zaczął krzyczeć, żebyśmy się zatrzymali. Właściwie to zobaczył Kraśnego. Ja byłem jeszcze w cerkiewce. Kraśny podszedł do niego. Zaczęli rozmawiać. Po chwili szli już obaj w kierunku cerkwi. Z

kawałka drutu, który mieliśmy do związania ikon, zrobiłem pętlę. Zaczaiłem się za drzwiami. Kraśny szedł pierwszy, leśnik za nim. Gdy mnie minął, wyskoczyłem z ukrycia i zarzuciłem mu pętlę na szyję. Zacisnąłem. Chciałem, aby zemdłał. Wtedy byśmy uciekli. Ale on bronił się rozpaczliwie. Pętla zacisnęła się za mocno. Nie żył. Uciekliśmy. Od tego czasu Kraśny zaczął mnie szantażować. Zażądał, aby przyjąć go do pracy. Musiałem to zrobić. Teraz zaczął organizować gang przemytu dzieł sztuki. On szukał Włochów, z którymi omawiał warunki przerzutu. Niektórzy z nich, jak Rossi, zgadzali się. Ja miałem gromadzić towar i zorganizować siatkę. Zwerbowałem do paczki Haraźnego. Interes z kradzieżą obrazu w Grzybieniu zaproponował Rossi. Obraz ukradłem ja z Haraźnym. Przewiózł go jakiś kierowca. Nie znałem go. Ale Haraźnego nie zamordowałem. Kraśny udusił go pętlą, taką jak w Bieszczadach, by w razie czego na mnie padło podejrzenie...

Gdy wyprowadzono Witka, Osiał zameldował się u szefa.

Pułkownik przyjął go z uśmiechem.

– No, myślę, że sprawa Witka została zakończona?

– Tak, towarzyszu pułkowniku! Właśnie powiedział wszystko. To Kraśny był szefem całego interesu, on również zamordował Haraźnego. Witek też nie jest czysty. Ma na sumieniu morderstwo w Bieszczadach.

– Zbrodnia rodzi zbrodnię... To znana maksyma. Aha, a propos tych zamordowanych. Mam tu wyniki ekspertyzy dotyczące niejakiego Czernika. Zdaje się, że też należał do gangu Kraśnego?

– Tak, należał. Ale on wiedział najmniej. Popęcił samobójstwo...

– Wyniki mówią co innego. Zapoznajcie się z nimi.

Kapitan Osial już w drodze do swego pokoju rozerwał kopertę.

Czernik został zamordowany! Ta wiadomość uderzyła w Osiala jak grom. Usiadł za biurkiem. Z szarej koperty, przyozdobionej różnego rodzaju i koloru pieczęciami, wyjął kilka arkuszy.

Stwierdza się, że denat znajdował się pod wpływem alkoholu – czytał powoli. – We krwi denata wykryto obecność 1,3 promili alkoholu... W mieszkaniu czuć było silny zapach gazu. W kuchence gazowej były otwarte dwa palniki... Zabezpieczono kurki gazowe i główny zawór gazu. Śladów palców nie znaleziono... Na wiszącym nad stolikiem nocnym obrazkiem o tematyce religijnej odkryto ślad warg...

Osial odsunął od siebie zapisane arkusze. Jego palce bezwiednie wystukiwały na blacie biurka jakiś oszalały rytm. Sięgnął po mikrotelefon.

– Kapitan Skwarek! Cześć, tu Osial! Mówił ci stary, że masz przesłuchać niejaką Danutę Witek? Tak? Wiesz? Możesz teraz? Dobrze! Przyjdź do mnie, to ci wyjaśnię, w czym rzecz.

Po paru minutach w drzwiach pokoju Osiala stanął kapitan Skwarek. Był z tego samego rocznika co Osial. Razem kończyli Szczytno, razem rozpoczęli pracę.

– Co z tą dziewczyną? Co za hece wyprawiasz? – Skwaraka nigdy nie opuszczał dobry humor. Teraz też próbował żartować.

– Siadaj! To dla mnie poważna sprawa!
– Co za poważna sprawa?
– Widzisz... Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ale nie śmiej się ze mnie... – Osial nie wiedział, w jaki sposób wyjawić swoją tajemnicę.

– Mów otwarcie, w czym rzecz! Bo jak się będziesz tak jąkał, to nie zakończymy sprawy za rok.

– To jest tak... Ja znam tę Witkównę, i to dość dobrze...
Rozumiesz chyba!

– Rozumiem! Normalna rzecz u normalnego mężczyzny. Nie widzę problemu. Martwisz się, że musisz ją przesłuchiwać?

– No właśnie! Nie chciałbym, żeby mnie widziała. –
Osial westchnął ciężko.

Skwarek rozejrzał się po pokoju.

– Dobra! Zakasuj rękawy! Odsuwamy tę szafę. Siądiesz sobie za nią, a ja resztę załatwię!

Odsunęli szafę i wstawili za nią krzesło. Następnie Osial poinformował Skwarka o sprawie Czernika. Przekazał mu wyniki ekspertyz.

– Tu trzeba cisnąć! To ważne! Ona coś może wiedzieć! –
Połączył się z aresztem. – Tu kapitan Osial! W sprawie „Obraz”. Przeprowadźcie do mnie zatrzymaną Danutę Witek!

Usiadł za szafą. Po chwili postyszał, że drzwi do pokoju otwierają się.

– Obywatelu kapitanie! Zgodnie z poleceniem przypro-wadziłem obywatelkę Witek Danutę...

To profos wyrecytował meldunek. Znów drzwi trzasnęły i Osial postyszał głos Skwarka:

– Pani Danuta Witek?

– Tak!

Na dźwięk głosu Danki serce Osiała zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

– Pani została zatrzymana w Kłodzku?

– Po co pan pyta? Wiecie o tym dobrze! – W głosie Danki nuta rezygnacji.

– Wolę się upewnić, czy mi przypadkiem nie zamieniono pani po drodze!

– Tak! Mnie zatrzymano w Kłodzku.

– Zna pani Rossiego?

– Znam!

– Haraźnego?

– Znam.

– Czernika?

– Znam.

– Kraśnego?

– Znam.

– Którego z nich znała pani najlepiej?

– Kraśnego. To pracownik ojca. Bywał u nas codziennie.

– A Czernik?

– Też często przychodził do nas.

– U którego z nich bywała pani w mieszkaniu?

– U żadnego...

– W pani torebce znaleziono klucze do mieszkania Czernika...

– Dał mi te klucze. Ale nie byłam u niego.

– Ani razu?

– Ani razu!

– To po co dał pani klucze?

– Myślał, że wyjdę za niego za męż... Dał mi te klucze w dowód zaufania. Mówił, że czeka na mnie, że w każdej chwili mogę przyjść do niego...

– Ale pani z tego nie skorzystała?

– Nie!

Osiał posłyszał szelest.

– Zapali pani?

– Nie, dziękuję!

– Pani nie pali?

– Palę, ale tylko „Carmeny”!

– Muszę stwierdzić, że papieros do pani nie pasuje. Psuje ten śliczny wykrój ust...

– Czy przyszedłam na przesłuchanie, czy posłuchać komplementów? – Danka nie kryła ironii.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Nie mogę się oprzeć, by nie wyrazić zachwyty dla pani urody.

– Trochę za późno... I nie to miejsce...

– Na komplementy pod adresem ładnej kobiety nigdy nie jest za późno...

– Niech pan skończy te wygłupy! Mam już tego dosyć! – Opryskliwe parsknięcie.

– Już kończę! Wracamy do tematu. Nie była pani nigdy w mieszkaniu Czernika?

– Nie! Nigdy!

– Skąd pani wiedziała, że Czernik popełnił samobójstwo?

– Od Kraśnego...

– A Kraśny skąd wiedział?.

– Nie wiem. Prawdopodobnie był u Czernika W mieszkaniu...

– Po co?
– Nie wiem! Widocznie miał do niego jakąś sprawę.
– Czy wiedziała pani o tym, że Czernik pośredniczył w handlu ikonami?

– Nie! On mnie w ogóle nie interesował. Ani jako mężczyzna, ani jako człowiek.

– Był pani narzeczoną.

– Tak mówili moi rodzice. Ja go nie chciałam.

– A co wie pani o Kraśnym?

– Był pracownikiem ojca. Kulturalny, grzeczny, pracowity. Wystarczy?

Skwarek nie zdążył zadać następnego pytania, gdyż nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Proszę!

Skrzypnięcie.

– Melduje się kapral Flis z Zakładu Kryminalistyki. Oto wyniki ekspertyzy.

– Dobrze. Zostawcie. Gdzie pokwitować? Dziękuję! – Osiał postyszał trzask zamykanych drzwi.

– Pozwoli pani, że przeczytam... – To głos Skwarka.

– I tak musi pan przeczytać. Po co więc te ceregiele.

Przez chwilę panowała cisza. Osiał postyszał chrobot odsuwanego krzesła. Kapitan Skwarek spacerował po pokoju. Jego kroki zbliżały się do szafy. Zobaczył rękę Skwarka, podającą mu jakieś papiery. Wziął je. Były to wyniki ekspertyzy dostarczone przed chwilą z Zakładu Kryminalistyki. Zaczął czytać:

Wstępne oględziny śladu utrwalonego na obrazku w mieszkaniu Czernika wykazały, że ma on dość wyraźnie zarysowane

kontury górne i dolne oraz liczne bruzdy o różnych wgłębieniach i konfiguracjach. Ślad zabezpieczono. Pobrano materiał porównawczy od osób mających styczność z zamordowanym Czernikiem: od Stefana Kraśnego, Romana Witka, Danuty Witek, Karola Haraźnego, Zygmunta Rudolfa. Ekspertyzę materiału dowodowego i porównawczego przeprowadzono w Wydziale Daktyloskopii Zakładu Kryminalistyki KGMO.

Analiza wykazała, że odciski warg poszczególnych osób różnią się pod względem kształtu płaszczyzny powierzchni oraz mikronierówności, tworzących bruzdy... Na podstawie cech indywidualnych odcisków warg z materiału dowodowego i materiału porównawczego stwierdzono, że odcisk warg pozostawiony na obrazku w mieszkaniu zamordowanego Czernika należy do Danuty Witek...

Osiał nie wierzył własnym oczom. Czytał kilkakrotnie ostatnie zdanie ekspertyzy. Danuta Witek! Danuta Witek! Z odrętwienia wyrwał go głos kapitana Skwarka.

– Więc jak to było z tym Czernikiem? Była pani u niego, czy nie?

– Mówiłam już panu, że nie byłam!

– To w jaki sposób pani go zamordowała?

– Nie zamordowałam go! – Danka krzyczała.

– Ja pani przypomnę, jak to było! Przyszła pani do Czernika. Otworzyła drzwi kluczami, które miała w torebce. Chciała pani dowiedzieć się, o czym Czernik rozmawiał z kapitanem Osiałem.

– Niech pan przestanie! – To był dziki, rozpaczliwy wrzask. – Dobrze! Powiem wam! Zabiłam go, bo mi przeszkadzał. – Osiał nie poznawał głosu Danki. Do jego uszu docierał okropny, chrapliwy wrzask przekupki. Gdzie jest Danka, pełna wdzięku i kokieterii Danko? Jego ideał! – Czernik był pijany! Ale mówił trzeźwo! – Znow krótkie urywane zdania. – Przysiągł mi, że zgłosi się do was i wszystko powie! O handlu ikonami! O moim ojcu. O Kraśnym. O Rossim. A ja następnego dnia miałam wyjechać. Do Włoch! Byłabym narzeczona wielką panią! Świat stałby przede mną otworem! Miałabym wszystko! Wszystko! A ten ślimak chciał to zniszczyć! Dlatego odkręciłam kurki!

Kapitan Skwarek milczał. A Danko krzyczała dalej:

– Jesteście dranie! Dranie! I ten Osiał też! Niech mu pan powie, że były mi potrzebne tylko jego informacje. A on się zakochał! Głupiec! Wszyscy jesteście głupcami! – Krztusiła się złością. – Przez was moja kariera na nic!

– Proszę się uspokoić! – krzyk Skwarka przywołał Osiała do rzeczywistości. – Niech mi pani powie, dlaczego pocałowała pani święty obrazek w mieszkaniu Czernika?

Dotarło do niego kolejne, wypowiedziane już spokojnie pytanie.

– Ja... pocałowałam? Święty obrazek! – Danko wyszeptowała te słowa, prawie ich nie słyszał.

– Pocałowała pani święty obrazek, czy nie? – Pocałowałam... – Znow ten cichy szept.

– Dlaczego?

– I tak mi pan nie uwierzy. Jest pan przecież niewierzący...

– To nie ma nic do rzeczy! Dlaczego pocałowała pani obrazek?

– Gdy odkręciłam kurki, zobaczyłam ten obrazek. Podeszłam i pocałowałam go... Pan i tak tego nie zrozumie... Nie ma o czym mówić. Więc skończcie już! Nie chcę tego słuchać! Niech was piekło pochłonie! – krzyknęła Witkówna nieswoim głosem.

Osiął posłyszał jakiś ruch Wychylił ostrożnie głowę zza szafy. Danką stała naprzeciwko Skwarka z ręką podniesioną do góry. Trzymała popielniczkę. Skwarek delikatnie wyjął ją z dłoni Danki i postawił na biurku. Podniósł mikrotelefon.

– Proszę odprowadzić zatrzymaną do aresztu!

Danka opuściła rękę. Stała nadal bez ruchu do czasu, gdy zjawił się profos i poprowadził ją w kierunku drzwi. Szła zgarbiona, krokiem starej kobiety.

Osiął wyszedł zza szafy. Podeszedł powoli do biurka. Poczł, że kapitan Skwarek kładzie mu rękę na ramieniu. Milczeli Skwarek klepnął go jeszcze kilka razy po plecach i skierował się ku drzwiom. Gdy je otwierał, przypomniał sobie:

– Aha, Antek! Prosiłeś mnie kiedyś o pośrednictwo w sprawie jakiegoś kompozytora-organisty. Rozmawiałem na ten temat ze stryjkiem. Niech ten twój talent z prowincji umówi się z nim. Stryjek zobaczy te kompozycje, przesłucha. Powiedział, że jeśli pozostałe utwory są tak dobre, jak ten, który dałeś do przesłuchania, wydadzą mu zbiór utworów. No to trzym się, stary!

Trzasnęły drzwi. Kapitan Osiał pozostał sam. Danka! Nie mógł w to uwierzyć. Nie spojrzął już więcej na żadną kobietę.

Dzwonek telefonu wyrwał go z zadumy. Podnosił słuchawkę powoli, z niechęcią.

– Halo! Osiał! Słucham?

– Dzień dobry! Poznaje mnie pan? – W słuchawce dźwięczał wesoły głos.

– Przepraszam. Nie mogę sobie przypomnieć.

– Złapał pan tego Włocha w ciemnozielonym samochodzie?

– Ach, to pani Janka! – Kapitan ożywił się. – Bardzo mi miło, że pani zatelefonowała. Bo Włocha złapałem! I to dzięki pani! Ma pani u mnie duży tort! I w ogóle, co pani sobie zażyczy!

– Ej, niech pan się tak nie deklaruje. Co będzie, jak potraktuję to poważnie.

– Zaryzykuję! Kiedy mogę zacząć się rewanżować?

– To nie takie ważne. Najważniejsze, że złapał pan przestępcę. Cieszę się, tym bardziej że i moja w tym zasługa.

– Więc jak? Kiedy się spotkamy?

– Proszę sobie nie wyobrażać, że telefonowałam po to, by sprowokować spotkanie. Po prostu byłam ciekawa, co ze sprawą. Teraz, gdy już wiem, mogę się rozłączyć. Do widzenia panu! Życzę dalszych sukcesów! – Osiał postąpił trzask odkładanej słuchawki. Połączenie zostało przerwane.

Westchnął ciężko i powoli odłożył mikrotelefon. Sprzątnął leżące na biurku papiery i schował je do szuflady.

Gdy przekręcał klucz w zamku, telefon znów zaterkotał.

– Kapitan Osial, proszę!

– Tu pułkownik Wroński. Przyjdźcie do mnie kapitanie.

Mam dla was nową sprawę!